

Obezwładniająca,  
wyrafinowana  
i wciągająca...  
apetycznie mroczna  
rosyjska korupcja  
i dekadencja  
Simon Sebag  
Montefiore

# przełajsmiej

A.D. Miller

Świat Książki

**Przebiśnieg w moskiewskim slangu  
– zwłoki pochowane lub ukryte zimą,  
wynurzające się spod śniegu  
w czasie roztopów.**

*Przebiśniegi* to przyprawiająca o dreszcze opowieść o miłości i moralnym upadku trzydziestokilkuletniego Anglika, którego skorumpowała kusząca obietnicami nowa Rosja, kraina hedonizmu, desperacji, rozpacz, korupcji, dobra i zła, bajecznych zakątków i rozpustnych nocnych klubów.

**A.D. Miller** pracował jako korespondent „The Economist” w Moskwie. *Przebiśniegi* to jego pierwsza powieść, okrzyknięta jednym z najlepszych debiutów roku. Prawa do tłumaczenia sprzedano już do kilkunastu krajów.

www.swiatksiazki.pl

ISBN 978-83-247-2190-0



9 788324 721900

Cena 32,90 zł Nr 7948

# przebiśnieqi

A.D. Miller

Z angielskiego przetoczył  
*Jan Kraśko*

  
Świat Książki

Przebiśnieg - 1. Wczesno kwitnąca roślina cebulowa, charakteryzująca się białym zwisającym kwiatem. 2. W moskiewskim slangu - zwłoki pochowane lub ukryte zimą, wynurzające się spod śniegu w czasie roztopów.

Poczułem to, zanim zobaczyłem.

Na chodniku i na jezdni stał tłum ludzi, głównie milicjantów, z których kilku rozmawiało przez komórkę, kilku paliło, kilku patrzyło, kilku odwracało wzrok. Zastłaniali mi widok i ujrawszy te wszystkie mundury, w pierwszej chwili pomyślałem, że to jakiś wypadek albo nalot na imigrantów. I wtedy doszedł mnie ten zapach. Przypominał odór, jaki czuć w domu po powrocie z urlopu, gdy przed wyjazdem zapomni się wynieść śmieci, ostry, lecz kwaśny, silny na tyle, by zabić normalny letni zapach piwa i rewolucji. To właśnie zapach go zdradził.

Z odległości jakichś dziesięciu metrów zobaczyłem stopę. Tylko jedną, jakby jej właściciel bardzo powoli wysiadał z limuzyny. Wciąż mam to przed oczami. Ta stopa w tanim czarnym wsuwanym bucie i szarej skarpetce, nad którą widać kawałek zielonkawego ciała.

Powiedzieli, że zimno go zakonserwowało. Nie wiedzieli, jak długo tam leżał. Może nawet całą zimę, spekulował jeden z milicjantów. Załatwili go młotkiem albo cegłą. Amatorszczyzna. Spytał, czy chcę zobaczyć resztę. Powiedziałem, że nie, dziękuję. Tej ostatniej zimy widziałem już i dowiedziałem się więcej, niż chciałem i musiałem.

Ciągle wyrzucasz mi, że nigdy nie mówię o Moskwie ani o tym, dlaczego stamtąd wyjechałem. Masz rację. Zawsze wynajdowałem jakieś preteksty i wkrótce zrozumiesz dlaczego. Ale ponieważ nie przestajesz mnie wypytywać, jakiś czas temu zacząłem o tym myśleć i nie mogę przestać. Może dlatego, że już za trzy miesiące jest nasz „wielki dzień” i że trzeba to jakoś rozliczyć. Po prostu chcę opowiedzieć komuś o Rosji, nawet jeśli mnie to zaboli. Zresztą, chyba powinnaś o tym wiedzieć, bo już niedługo złożymy sobie przysięgę i może nawet jej dotrzemy. Tak, masz prawo wiedzieć o wszystkim. Pomyślałem, że łatwiej będzie, jeśli to spiszę. Ty nie będziesz musiała nadrabiać miną, a ja nie będę musiał na ciebie patrzeć.

Tak więc masz tu to, co napisałem. Pytałaś, jak to się skończyło. Właściwie to tym popołudniem ze stopą. Ale koniec zaczął się tak naprawdę rok wcześniej, we wrześniu, w metrze.

A propos. Kiedy wspomniałem o tej stopie Steve'owi Walshowi, powiedział:

- Przebiśnieg. Twój znajomy to przebiśnieg.

Tak Rosjanie ich nazywają - ciała, które wynurzają się spod śniegu podczas roztopów. Większość to pijacy i bezdomni, którzy po prostu poddają się i kładą w bieli, oraz ofiary morderstw ukryte w zaspach przez zabójców.

Przebiśniegi: zło, które już tam jest, które jest tam zawsze i bardzo blisko, ale którego jakoś nigdy nie udaje się zobaczyć. Grzechy, które ukrywa zima, czasem na zawsze.

# 1

Jestem pewny przynajmniej tego, jak się nazywała. Maria Kowalenko, dla przyjaciół Masza. Kiedy zobaczyłem ją pierwszy raz, stała na peronie stacji Płoszczad' Rewolucji, Plac Rewolucji. Zanim ukryła się za lusterkiem, takim małym, do makijażu, przez pięć sekund widziałem jej twarz. Drugą ręką włożyła okulary przeciwsłoneczne i pamiętam, pomyślałem wtedy, że kupiła je pewnie w kiosku w podziemnym przejściu. Opierała się o kolumnę na końcu peronu, tam, gdzie są te rzeźby, sportowców, inżynierów, piersiastych rolniczek i matek z muskularnymi niemowlętami na ręku. Patrzyłem na nią dłużej, niż powinienem.

Żeby przesiąść się na zieloną linię, trzeba opuścić peron z rzeźbami. Można zaobserwować wtedy szczególny efekt wizualny. Otóż, gdy się wejdzie na niski pomost nad torami, po jednej stronie widać flotyllę dyskowatych żyrandoli ciągnących się wzdłuż peronu i znikających w mrocznym tunelu, z którego wyjeżdżają pociągi, a po drugiej ludzi idących w tę samą stronę co ty, tyle że po równoległym pomoście, niby blisko, a jednak oddzielnie. I kiedy tego dnia spojrzałem w prawo, zobaczyłem, że dziewczyna w ciemnych okularach idzie w tym samym kierunku.

Jechałem na Puszczińską; z placu Rewolucji to tylko jeden przystanek. Wsiadłem do metra i stojąc pod wyłożonym boa-

zerią sufitem, w świetle przedpotopowej jarzeniówki znowu poczułem się jak statysta w paranoicznym filmie z Donaldem Sutherlandem z lat siedemdziesiątych. Na Puszczyńskiej wszedłem na ruchome schody z fallicznymi lampami, wjechałem na górę, jak zwykle przytrzymałem ciężkie szklane drzwi dla osoby idącej za mną, po czym zagłębiłem się w labirynt niskich podziemnych korytarzy pod placem Puszkina. Wtedy krzyknęła.

Była pięć metrów za mną i przeraźliwie krzycząc, szarpała się z chudym mężczyzną z kucykiem, który próbował wyrwać jej torebkę (rzucającą się w oczy podróbkę Burberry). Wołała o pomoc, a ta druga, ta, która jak spod ziemi wyrosła u jej boku - później okazało się, że ma na imię Katia - stała i po prostu krzyczała. Początkowo tylko się przyglądałem, ale w pewnej chwili mężczyzna wziął zamach, jakby chciał uderzyć ją pięścią i ktoś za mną też krzyknął, chcąc zainterweniować. Zrobiłem krok do przodu i chwyciłem faceta za kołnierz.

Puścił torebkę i chciał mnie uderzyć łokciami, ale nie dosięgnął. Zabrałem rękę, wtedy stracił równowagę i upadł. Wszystko działo się tak szybko, że nawet mu się dobrze nie przyjrzałem. Był młody, dziesięć centymetrów niższy ode mnie i chyba trochę zawstydzony. Wyciągnął nogę, kopnął mnie niezbyt boleśnie w piszczel, szybko wstał i przejściem podziemnym uciekł w kierunku schodów wychodzących na ulicę Twerską - moskiewski odpowiednik naszej Oxford Street, tyle tylko, że pełen nielegalnie parkujących samochodów - biegnącą od placu Puszkina do placu Czerwonego. U stóp schodów stało dwóch milicjantów, ale byli zbyt zajęci paleniem papierosów i wypatrywaniem imigrantów, których mogliby zatrzymać i podręczyć.

- *Spasibo* - powiedziała Masza. Zdjęła okulary.



Była w obcisłych džinsach z nogawkami wetkniętymi do brązowych skórzanych kozaczków na wysokim obcasie i w białej bluzce rozpiętej o jeden guziczek za dużo. Na wierzchu miała jedną z tych śmiesznych jesiennych kurtek z epoki Breżniewa, które często nosiły ubogie Rosjanki. Z bliska wydają się zrobione z dywanu albo ręcznika plażowego obszytego kocim futrem, ale z daleka ubrana w taką kurtkę dziewczyna wygląda jak „słodka pułapka” z zimnowojennego thrillera. Miała prosty kościsty nos, bladą cerę, długie płowe włosy i przy odrobinie szczęścia mogłaby siedzieć pod wyłożonym złoconymi liśćmi sufitem w jakiejś upiornie drogiej restauracji, choćby The Ducal Palace czy The Hunting Logde, jedząc czarny kawior i uśmiechając się z pobłażaniem do swego aktualnego opiekuna, magnata nikłowego czy dobrze ustawionego nafcjarza. Może i siedzi tam teraz, chociaż wątpię.

- *Oj, spasibo* - powiedziała jej koleżanka, chwytając mnie za czubki palców. Miała lekką, ciepłą dłoń. Tej w okularach przeciwsłonecznych dawałem dwadzieścia, dwadzieścia trzy lata, ale ona była chyba młodsza i miała najwyżej dziewiętnaście, może nawet mniej. Była w białych botkach, różowej minispódnicy ze sztucznej skóry i w różowej kurteczce. Miała zadarty nosek, proste, jasne włosy i uśmiechała się tym szczerym, zapraszającym, typowo rosyjskim uśmiechem, któremu zawsze towarzyszy pełny kontakt wzrokowy. Uśmiechała się jak ten malutki Jezusik, którego kiedyś widzieliśmy - pamiętasz? - w tym wiejskim kościółku pod Rimini, uśmiechem mądrego starca o młodej twarzy, uśmiechem, który mówi: wiem, kim jesteś i czego chcesz, wiem to od urodzenia.

- *Niczewo* - odparłem. - Nie ma za co. I po rosyjsku spytałem: - Wszystko w porządku?

- *Da, wsio normalno* - odrzekła ta w okularach.

- *Choroszo* - powiedziałem. To dobrze.

Uśmiechnęliśmy się do siebie. Od mdłej wilgoci, panującej w metrze przez okrągły rok, zaparowały mi okulary. Pamiętam, że z głośników w pobliskim kiosku z płytami leciała ludowa piosenka i że jej słowa zagłuszał jeden z tych pijanych rosyjskich zapiewajłów, którzy chrypią tak, jakby zaczęli palić już w łonie matki.

We wszechświecie równoległym, w innym życiu, wszystko by się na tym skończyło. Powiedzielibyśmy sobie do widzenia, poszedłbym do domu, a nazajutrz, jak co dzień, wróciłbym do pracy. Może w tym innym wszechświecie, tym innym życiu wciąż jestem tam, w Moskwie, może znalazłem inne zajęcie i zostałem, może nie wróciłem i się nie poznaliśmy. Dziewczyny poszłyby pewnie dalej, gdzieś czy do kogoś, kto pojawiłby się na horyzoncie, gdyby nie ja. Ale mnie załało to ciepłe uczucie, które ogarnia człowieka, kiedy postawi wszystko na jedną kartę i wygra, fala euforii, zadowolenia z dobrego uczynku. Szlachetnego uczynku w okrutnym mieście - byłem drugorzędnym bohaterem. Pozwoliły mi nim zostać i bardzo się z tego cieszyłem.

Ta młodsza wciąż się uśmiechała, druga tylko patrzyła. Była wyższa od swojej koleżanki - miała sto siedemdziesiąt dwa, może nawet sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu - i jej zielone oczy znajdowały się na wysokości moich. Oczy bardzo urocze. Ktoś musiał coś powiedzieć, więc spytała po angielsku:

- Skąd jesteś?

- Z Londynu - odparłem, też po angielsku. Jak wiesz, nie jestem z Londynu, ale prawie. I po rosyjsku rzuciłem: - A wy?

- Teraz mieszkamy w Moskwie.

Zdążyłem już przywyknąć do tych językowych gier. Rosjanki zawsze chcą rozmawiać po angielsku, żeby trochę poćwiczyć. Ale czasem chcą również, byś miał wrażenie, że chociaż nie jesteś u siebie, to mówiąc w swoim ojczystym języku, w pełni panujesz nad sytuacją.

Znowu zamilkliśmy, znowu wymieniliśmy uśmiechy.

- *Tak spasibo* - powiedziała ta niższa.

Nie drgnęliśmy z miejsca, ani ja, ani one. Wtedy Masza spytała:

- Gdzie idziesz?

- Do domu - odparłem. - A wy?

- My na spacer.

- *Tak pogulajem*. - To chodźmy pospacerować.

No i poszliśmy.

Była połowa września. U Rosjan to tak zwane babie lato, gorzko-słodki pocałunek aksamitnego ciepła, które kiedyś otulało miasto, gdy chłopki zwiozły z pola całe zboże, a które teraz jest w Moskwie ostatnią okazją do porządnego uchłania się na bulwarze (starej, uroczej drodze wokół Kremla, prawie na całej długości dwujezdniowej, poprzecinanej pasmami zieleni i upstrzonej ławkami oraz pomnikami słynnych pisarzy i zapomnianych rewolucjonistów). To najładniejsza pora, żeby tam pojechać, chociaż nie wiem, czy kiedykolwiek pojedziemy. Na straganach przed stacjami metra straganiarze wykładali już chińskie rękawice ze sztucznego futra na nadchodzącą zimę, ale przed mauzoleum Lenina, przed tym gabinetem osobliwości na placu Czerwonym, wciąż stały długie kolejki turystów. W ciepłe popołudnia połowa moskwianek chodziła prawie rozebrana.

Wąskimi, na gładko wytartymi schodami wyszliśmy z podziemi przed ormiańskim supermarketem. Przecieliśmy zakor-

kowaną jezdnię i dotarliśmy do szerokiego chodnika pośrodku bulwaru. Na niebie była tylko jedna chmurka - jedna chmurka i rozmyty pióropusz dymu z jakiejś fabryki czy elektrowni, ledwo widoczny na tle wczesnowieczornego błękitu. Było pięknie. Powietrze pachniało tanią benzyną, grillowanym mięsem i żądzą.

- Czym się tu zajmujesz, jeśli to nie tajemnica? - spytała ta starsza po angielsku.

- Jestem prawnikiem - odparłem po rosyjsku.

Dziewczyny zamieniły ze sobą kilka słów, zbyt szybko, żebym mógł cokolwiek zrozumieć.

- Ile lat ty w Moskwie? - spytała ta młodsza.

- Cztery lata. Prawie cztery.

- Lubisz tu mieszkać? - odezwała się Masza. - Lubisz naszą Moskwę?

Odparłem, że tak, bardzo, bo pewnie to chciała usłyszeć. Odkryłem, że większość Rosjank ma coś w rodzaju automatycznej dumy narodowej, chociaż wszystkie pragną tylko jednego: wyrwać się stamtąd do Los Angeles albo na Lazurowe Wybrzeże.

- A ty czym się zajmujesz? - spytałem po rosyjsku.

- Pracuję w sklepie. Z komórkami.

- Gdzie jest ten sklep?

- Za rzeką. Koło Galerii Trietiańskiej. - Masza zamilkła i po kilku krokach dodała: - Pięknie mówisz po rosyjsku.

Przesadzała. Mówiłem lepiej niż większość mieszkających tam bankowych kombinatorów i oszustów: pseudowytwornych Anglików, zębiastych Amerykanów i pokrętnych Skandynawów, których przywiodła do Moskwy gorączka czarnego złota, bo ci - jeżdżąc między biurem, strzeżonym apartamentem, burdelem na koszt firmy, luksusową restauracją i lotniskiem - z po-

wodzeniem radzili sobie za pomocą dwudziestu paru słów. Byłem na najlepszej drodze do pełnej biegłości, ale już w połowie pierwszej sylaby zdradzał mnie akcent. Masza i Katia musiały zakwalifikować mnie jako obcokrajowca, zanim zdążyłem otworzyć usta. Pewnie łatwo mnie było namierzyć. Wracałem właśnie z krępującego niedzielnego spotkania urzędasów na obczyźnie, które zorganizował u siebie pewien samotny księgowy. Pamiętam, że byłem w prawie nowych dzinsach, zamszowych butach, ciemnym swetrze w serek i koszuli od Marksa i Spencera. Moskwanie tak się nie ubierali. Każdy, kto miał kasę, kupował włoskie buty i koszule a la gwiazdor filmowy, a biedni, czyli większość, nosili przemywane z zagranicy ubranie z demobilu albo tanie białoruskie buty i smętne szare spodnie.

Z kolei angielszczyzna Maszy była naprawdę piękna, chociaż trochę niegramatyczna. Mówiąc po angielsku, niektóre Rosjanki przesadzają z dykcją, czego rezultatem bywa piskliwy dyszkant, natomiast ona mówiła głosem niskim, opadającym niemal do pomruku, a nawet gniewnego warkotu przy głosce „r”. Matowym jak po całonocnej imprezie. Albo po bitwie.

Szliśmy w kierunku namiotów z piwem, które rozstawiano pierwszego cieplejszego majowego dnia, kiedy na ulice wylęgało całe miasto i kiedy zdarzyć się mogło niemal wszystko, a które zwijano w październiku, po babim lecie.

- Powiedz - rzuciła ta młodsza. - Moja znajoma mówi, że macie w Anglii...

Urwała, by naradzić się po rosyjsku ze swoją towarzyszką. Z ich rozmowy wyłowiłem słowa takie jak „gorąca”, „zimna” i „woda”.

- Jak to się nazywa? - spytała ta starsza. - To, z czego leci woda. W łazience.

- Krany.

- Właśnie, krany - ciągnęła ta młodsza. - Znajoma mówi, że w Anglii macie dwa. Dlatego gorąca woda parzy ręce.

- *Da* - potwierdziłem. - *Eto prawda*. - Byliśmy na ścieżce biegnącej środkiem bulwaru, niedaleko huštawek i rozchwierutanych zjeżdżalni. I grubej babuszki, która sprzedawała truskawki.

- A to prawda, że w Londynie jest zawsze gęsta mgła?

- Mer - odparłem. - Sto lat temu tak, teraz już nie.

Katia wbiła wzrok w ziemię. Masza, ta w ciemnych okularach, uśmiechnęła się. Kiedy próbuję sobie przypomnieć, co mi się w niej spodobało tego pierwszego dnia, oprócz ciała gazeli, głosu i oczu, dochodzę do wniosku, że chyba jej ironiczność. Zachowywała się tak, jakby już wtedy wiedziała, jak się to skończy i jakby chciała, żebym ja też wiedział. Może odbieram to tak dopiero teraz, ale myślę, że na swój sposób mnie przepraszała. Że ludzie i ich czyny były dla niej czymś zupełnie odrębnym, jakby dało się pogrzebać to, co się zrobiło, i zupełnie o tym zapomnieć. Jakby przeszłość należała do kogoś innego.

Doszliśmy do skrzyżowania z moją ulicą. Ogarnęło mnie to pijane uczucie, które przed tobą ogarniało mnie zawsze w towarzystwie kobiet z pierwszej ligi: ni to zdenerwowanie, ni lekomyślny pośpiech, jakbym przed nimi grał, jakbym żył czymś innym i musiał to wykorzystać, dopóki jeszcze mogę.

Wyciągnąłem rękę i powiedziałem:

- Mieszkam tam. - I dodałem: - Wpadniecie na herbatę?

Wiem, pomyślisz, że to idiotyczne, ja i takie teksty. Ale jeszcze parę lat wcześniej, kiedy obcokrajowcy byli w Moskwie widokiem rzadkim i egzotycznym, taka odzywka mogła zadziałać. Zadziałała i wtedy.

Katia powiedziała „nie”.

- Ale jeśli będziesz chciał do nas zadzwonić, to możesz. - Spojrzała na koleżankę, a ta wyjęła długopis z kieszeni na lewej piersi i zapisała numer na bilecie trolejbusowym. Podała mi go, a ja wziąłem.

- Mam na imię Masza. A ona Katia. Katia jest moją siostrą.

- A ja jestem Nick.

Katia nachyliła się ku mnie w tej swojej różowej spódniczce i pocałowała mnie w policzek. I znowu się uśmiechnęła, ale inaczej, bo tym razem posłała mi ten pusty azjatycki uśmiech. Odeszły, a ja patrzyłem za nimi dłużej, niż powinienem.

Na bulwarze roiło się od pijaków, śpiących na trawie bezdomnych i od całujących się par. Wokół siedzących w kucki gitarzystów stały grupki nastolatków. Wciąż było na tyle ciepło, że wszystkie okna restauracji na rogu mojej ulicy były szeroko otwarte, by zapewnić dostęp świeżego powietrza średniej klasy prostytutkom i „minigarchom”, najniższego szczebla oligarchom, którzy zbierali się tam latem. Musiałem iść jezdnią, żeby ominąć długi rząd zaparkowanych bez wyobraźni mercedesów i hummerów. Skręciłem w moją ulicę i minąłem cerkiew o musztardowych ścianach.

Nie wiem, może było to innego dnia - zarejestrowany przeze mnie obraz mógł zlać się z tymi z metra, dlatego zapamiętałem je razem - ale wydaje mi się, że to właśnie wtedy po raz pierwszy zauważyłem to ziguili. Stał po mojej stronie ulicy wciśnięty między dwa bmw jak duch z rosyjskiej przeszłości albo rozwiązanie zagadki z cyklu „znajdź niepasujący element”. Wyglądał tak, jakby narysowało go dziecko: pudełko na kołach, a na nim jeszcze jedno pudełko, w którym dziecko mogłoby dorysować pa-

tykowego kierowcę, kierownicę i śmieszne okrągłe reflektory - gdyby było w nastroju, mogłoby dla zabawy ozdobić je żrenicami, żeby wyglądały jak oczy. Na samochody takie jak ten większość moskwian ciułała pół życia - tak przynajmniej twierdzili - zazdrośnie go pożądam, oszczędzając i zapisując się na listy oczekujących tylko po to, by odkryć - po upadku muru zobaczyli w telewizji Amerykę, a ich lepiej ustawieni rodacy zaczęli sprowadzać z zagranicy najnowsze modele wozów - że nawet ich marzenia były nędzne i sfatygowane. Dokładnie nie pamiętam, ale ten był chyba rdzawopomarańczowy. Z bokami obryzganymi błotem i olejem wyglądał jak czołg po bitwie, taki w grubej, ciemnej skorupie, i jeśli było się wobec siebie zupełnie szczerym, oczyma wyobraźni można było zobaczyć, jak wyglądają nasze wnętrzości po kilku latach pobytu w Moskwie. Wnętrzości, a może nawet i dusza.

Prowadzący do wejścia chodnik przechodził w ścieżkę, tak jak chyba wszystkie rosyjskie chodniki. Minąłem żiguli i przykościelny cmentarz, wystukałem kod na domofonie i wszedłem do środka.

Mieszkałem w jednej z moskiewskich kamienic, które skazani na bogactwo kupcy zbudowali tam przed rewolucją. Podobnie jak całe miasto, tę wspaniałą niegdyś rezydencję przebudowywano i przemaalowywano tyle razy, że wyglądała teraz jak kilka ściśniętych w całość budynków. Na zewnątrz zainstalowano brzydką windę i dodano piąte piętro, zachowano jednak oryginalne kręte żelazne schody. Większość prowadzących do mieszkań drzwi zrobiono ze stali odpornej na ciosy siekierą - upięszono je za to skóropodobną wykładziną, dzięki czemu miało się wrażenie, że Moskwa, ta najbardziej ekskluzywna i reprezentacyjna, jest jednym wielkim zakładem dla obłąkanych,



domem wariatów o złagodzonych rygorach. Z mieszczącego się na trzecim piętrze mieszkania Olega Nikolajewicza, mojego sąsiada, dochodził smród kocich odchodów i piskliwe dźwięki rozstrajającej nerwowo rosyjskiej symfonii. Na piętrze czwartym otworzyłem trzy wpuszczone w wykładzinę zamki i otworzyłem drzwi. Wszedłem do kuchni, usiadłem przy moim małym kawalerskim stole i wyjąłem z portfela bilet z numerem telefonu Maszy.

W Anglii, jeszcze przed tobą, miałem tylko jeden romans, który można by nazwać prawdziwym związkiem. Natalie. Chyba ci o niej mówiłem. Poznaliśmy się w college'u, ale aż do czyjejs urodzinowej balangi w Shoreditch nie uważaliśmy się za parę. Kiedy już zaczęliśmy, żadne z nas nie miało siły tego skończyć i sześć czy siedem miesięcy później wprowadziła się do mojego starego mieszkania, na co ani się nie zgodziłem, ani zgodziłem. Nie ulżyło mi, kiedy się wyprowadziła, mówiąc, że musi to sobie przemyśleć i radząc, żebym zrobił to samo, ale nie byłem również zdruzgotany. Straciliśmy kontakt na długo przed moim wyjazdem do Moskwy. Potem było kilka Rosjanek i chociaż wszystko wskazywało na dłuższy romans, żadna nie wytrzymała ze mną dłużej niż jedno lato. Jedną frustrowało to, że nie mam i że nie będę miał tego, czego oczekiwała: samochodu, szofera czy małego śmiesznego pieska, z którym mogłyby chodzić po designerskich butikach na brukowanych uliczkach koło Kremla. Inna, chyba miała na imię Dasza, po drugiej czy trzeciej nocy zaczęła ukrywać u mnie swoje rzeczy, w szafie i małej szafce nad umywalką w łazience: szalik, buteleczkę po perfumach, karteczki z napisem „Kocham Cię”. Spytałem o to Steve'a Walsh (na pewno go pamiętasz, tego zbereźnego zagranicznego korespondenta: umówiłem się z nim kiedyś w Soho, ty do

nas dołączyłaś i bardzo ci się nie podobał). Powiedział, że Dasza znakuje swój teren, żeby dziewczyny, które do siebie zapraszam, wiedziały, że ona zaanektowała go jako pierwsza. Był już wrzesień i obcokrajowcy zaczęli uważać, z kim się zadają - ze względu na AIDS, tak, ale i dlatego, że łazili po klubach, gdzie poznawali miejscowe dziewczyny i kiedy zostawiwszy na stole drinka, szli się wysikać, często ocykali się bez portfela w tak-sówce, nie pamiętając, żeby do niej wsiedli albo budzili się z twarzą w kałuży; kilku, pewnie na skutek źle odmierzonej dawki, nie obudziło się wcale.

Nigdy nie zaznałem tego, czego zaznali ludzie tacy jak mój brat, czego doświadczyła moja siostra, nim doszła do wniosku, że to jednak pomyłka - tego, na co piszemy się teraz my: umowy, ustatkowania się, tego samego ciała tylko i zawsze, w zamian za to oczekując wsparcia, zdrobniałych psich imion i głaskania po głowie nocą, kiedy chce się płakać. Szczerze mówiąc, zawsze myślałem, że tego nie potrzebuję, nie chcę, że należę do tych, którzy są bez tego szczęśliwsi. Chyba przez rodziców, którzy zaczęli zbyt młodo, płodząc bezmyślnie dzieci i zapominając, dlaczego się kiedyś sobie podobali. Bo wydawało się, że mama i tato po prostu wysiadują, że wzięli na przeczekanie, że są jak dwa psy uwiązane do jednej budy, ale zbyt zmęczone, żeby ze sobą walczyć. Całymi dniami oglądali telewizję, więc nie musieli już rozmawiać. Jestem pewien, że w tych rzadkich sytuacjach, kiedy wychodzili razem do restauracji, byli jedną z tych żalonych par, które siedzą przy stoliku, bez słowa przeżywając jedzenie.

Ale kiedy tamtego wrześniowego dnia poznałem Maszę, wydawało mi się, że jest tą, której szukałem. Cudowne było już samo to, że zaistniała taka szansa. Tak, zdominowało mnie po-

żądanie, ale nie tylko. Może była to po prostu właściwa chwila, bo oczyma wyobraźni natychmiast ujrzałem, jak z włosami opadającymi na szlafrok frotte robi mi kawę, jak opiera na moim ramieniu głowę w samolocie. Gdybym miał być z tobą zupełnie szczerzy, powiedziałbym, że tak, że chyba zaczynałem się w niej zakochiwać.

Przez otwarte okna wpadał do kuchni zapach topoli wraz z wyciem syren i brzękiem tłuczonego szkła. Jakaś część mnie pragnęła, żebym związał z nią swoją przyszłość, podczas gdy część inna chciała zrobić to, czego jednak nie zrobiłem: wziąć ten bilet i wyrzucić go przez okno w przesycony obietnicą różowy zmrok.

## 2

Zadzwoiłem do niej już nazajutrz. W Rosji nie ma fałszywej powściągliwości, tego pozorowanego czekania i wyczekiwania, tych wszystkich randkowych manewrów czy gierek, w jakie ty i ja graliśmy w Londynie - zresztą i tak bym chyba nie wytrzymał. Włączyła się poczta głosowa, więc zostawiłem jej numer mojej komórki i numer telefonu w biurze.

Nie odzywała się przez trzy tygodnie i prawie o niej zapomniałem. Prawie. Bardzo pomagało mi to, że miałem od groma pracy, jak wszyscy zachodni prawnicy w Moskwie. Na Syberii z ziemi tryskały pieniądze, jednocześnie inna fala pieniędzy zalewała kraj od zewnątrz. Nowo powstałe rosyjskie konglomeraty zapamiętałe rozrywały się wzajemnie na strzępy, a zagraniczne banki pożyczwały im na to miliardy dolarów. Bankierzy i rosyjscy biznesmeni przychodzili do nas, by uzgodnić warunki transakcji, tak więc byli tam oni, przedstawiciele tego czy innego banku w koszulach z podwójnymi mankietami na spinkę i z wybieloną uśmiechem na ustach, ubrani w obcisłe garnitury nafciarze o grubym karku, głównie byli funkcjonariusze KGB, oraz my, ci, którzy, odwalając papierkową robotę, pobierali za to stosowną prowizję. Nasze biuro mieściło się w zwieńczonym zębami beżowym wie-

zowcu na placu Paweleckim, w gmachu, który nie sprostał, co prawda, wizji reprezentacyjnej doskonałości, z jaką zaplanowali go architekci, ale który za dnia był klimatyzowanym domem dla połowy zagranicznych pracowników w Moskwie. Po drugiej stronie placu był dworzec kolejowy, królestwo pijaków, wyrzutek i wachających klej dzieci, nieszczęśliwych biedaków, linoskoczków, którzy spadli z rosyjskiej liny. Dworzec i wieżowiec spoglądali na siebie jak dwie nierównej wielkości armie przed bitwą.

Przyjeliśmy do pracy nową sekretarkę, Olgę, która nosiła obcisłe bluzki i pochodziła chyba z Tatarstanu, szefującej teraz pewnie jakiejś firmie importującej rury czy szminki, i żyjącej nowym rosyjskim snem czy marzeniem. Miała ciemnobrązowe oczy, obłędne kości policzkowe i często żartowaliśmy, że ja pokażę jej kiedyś Londyn, a co ona pokaże mnie?

A potem, gdzieś w połowie października, zadzwoniła Masza i swoim matowym, chrapliwym głosem spytała, czy chcę pójść na kolację z nią i Katią.

- Dzień dobry, Nicholas - powiedziała. - Mówi Masza.

Najwyraźniej uznała, że nie musi dodawać, która i miała rację. Poczułem, że czerwienieje mi szyja i kark.

- Cześć, Masza, jak się masz?

- Dobrze, dziękuję. Powiedz proszę, co robisz dziś wieczorem?

Są zabawne, prawda?, te pierwsze telefony, kiedy rozmawiasz z kimś nowo poznanym, kto od tak dawna mieszka w twojej głowie, chociaż wcale go nie znasz. Te niezręczne chwile, które mogą okazać się punktem zwrotnym w twoim życiu, które mogą zmienić wszystko albo nic.

- Nic - odparłem.

- Zapraszamy cię na kolację. Mieczta Wostoka. Znasz tę restaurację?

- Marzenie Wschodu. - Pewnie, że ją znałem. Była to jedna z tych kiczowatych kaukaskich knajp na wielkich platformach zacumowanych przy nabrzeżu naprzeciwko Parku Gorkiego, restauracja, do której w Londynie na pewno byś nie poszła, ale która w Moskwie kojarzyła się z letnimi spacerami brzegiem rzeki, krwistoczerwonym kaukaskim winem, smutną tęsknotą za słonecznymi sowieckimi świętami, z głupimi tańcami i wolnością.

Już zarezerwowały stolik, na wpół do dziewiątej wieczorem.

Tego samego dnia, tego samego popołudnia - tym razem jestem tego pewny - poznałem Kozaka. Z pogardliwym uśmiechem pojawił się w naszym biurze na dziewiątym piętrze wieżowca na placu Paweleckim.

Konsorcjum zachodnich banków wynajęło nas do obsługi kredytu na pięćset milionów dolarów, który miał być wypłacony w trzech transzach i spłacony z sutymi odsetkami. Kredytobiorcą była spółka joint venture, o której nigdy nie słyszeliśmy, i Narodnieft. (Może coś o niej czytałaś: to gigantyczna państwowa spółka energetyczna; swego czasu wchłonęła aktywa, które Kreml odebrał oligarchom za pomocą serii ustawionych procesów sądowych i zmyślonych zaległości podatkowych). Firmy te chciały zbudować pływający terminal naftowy gdzieś na Morzu Barentsa - szczerze mówiąc, nie zwracałem wtedy uwagi na geografię i dowiedziałem się o tym dopiero wtedy, kiedy tam w końcu pojechałem. Zamierzali przebudować olbrzymi radziecki zbiornikowiec tak, żeby stał nieruchomo na wodzie, i podłączyć do niego naftociąg z nabrzeża.

Narodnieft przygotowywał się właśnie do wejścia na nowojorską giełdę i chciał dobrze wypaść. Żeby wyeliminować z budżetu niepotrzebne ryzyko, kierownictwo firmy znalazło współnika i dla potrzeb tego jednego przedsięwzięcia założyło oddzielną spółkę, którą zarejestrowano na brytyjskich Wyspach Dziewiczych. Jej reprezentantem był właśnie Kozak.

Szczerze mówiąc, lubiłem go, przynajmniej początkowo, i myślę, że na swój sposób - bardzo specyficzny sposób - on lubił mnie. Było w nim coś ujmującego, może bezwstydnym hedonizmem albo zblazowanym bandytyzmem. Może lepiej będzie powiedzieć, że mu zazdrościłem. Niski - miał najwyżej sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, co najmniej piętnaście mniej niż ja - o fryzurze chłopaka z boysbandu, w garniturze za dziesięć tysięcy dolarów, uśmiechał się do nas uśmiechem mordercy. Był uosobieniem czystej radości i zagrożenia, tak pół na pół. Wsiadł z windy dosłownie bez niczego - bez teczki, bez dokumentów czy prawnika u boku - jedynie z wielkim jak czołg łysym ochroniarzem z głową w kształcie wieżyczki.

Napisałem list intencyjny, rodzaj porozumienia czy umowy wstępnej, którą miał parafować w imieniu swojej firmy. Parę dni wcześniej przefaksowaliśmy ją ich prawnikom: bank prowadzący zobowiązywał się do zgromadzenia pieniędzy, łącząc się z kilkoma innymi bankami, żeby zmniejszyć ryzyko, a Kozak obiecywał, że nie będzie pożyczal od nikogo innego. Zaprowadziliśmy go do przeszklonej sali konferencyjnej w kącie pozbawionej boksów sali głównej. Byłem tam ja, mój szef Paolo i Siergiej Borysowicz, jeden z kilku młodych, bystrych Rosjan z departamentu korporacyjnego. Paolo już dawno przekroczył czterdziestkę, mimo to wciąż był szczupły i do przesady

uprzejmy, jak to Włosi w jego wieku. Miał malowniczą kępę siwych włosów na skroni i żonę, której unikał jak ognia. Na początku lat dziewięćdziesiątych obudził się pewnego dnia w swoim wygodnym mediolańskim łóżku, zwietrzył bijący ze wschodu zapach pieniędzy, poszedł za nim i został tam zdecydowanie za długo. Siergiej Borysowicz z kolei był niski i miał twarz jak zdziwiony kartofel. Skończył uczyć się angielskiego na międzynarodowej wymianie w Karolinie Północnej, ale zaczynał przed telewizorem, od MTV, i jego ulubionym słowem było „ekstremalnie”.

Podaliśmy Kozakowi dokumenty. Ten przewrócił pierwszą kartkę, odłożył ją na kupkę, odsunął papiery, usiadł wygodniej i nadął policzki. Rozejrzał się, jakby na coś czekał, na striptiz, może na morderstwo. Zza rzeki mrugały do nas przez okno niebiesko-złote kopuły monasteru Nowospaskiego. Wtedy Kozak zaczął dowcipkować.

Jego poczucie humoru było swego rodzaju bronią. Śmiejąc się z jego żartów, mieliśmy wyrzuty sumienia, nie śmiejąc się, czuliśmy się z kolei zagrożeni. Jego pytania osobiste zawsze brzmiały jak wstęp do szantażu.

Powiedział, że jest Kozakiem, chyba ze Stawropola czy innej dziury na południowych stepach. Czy wiemy, kim są Kozacy? Ich historyczną misją, wyjaśnił, jest pilnowanie „czarnuchów” i trzymanie ich pod pachą Rosji. Może przyjedziemy odwiedzić go na nowej placówce na północy? Pokazałby nam, co znaczy kozacka gościnność.

- Może kiedyś - odparł Paolo.

Powiedziałem, że mam żonę w Moskwie, która mnie nie puści. Stąd wiem na pewno, że było to tego samego dnia, kiedy Masza i Katia zaprosiły mnie na kolację, bo pamiętam, że wy-



powiadając te słowa, czułem, że kłamię tylko w trzech czwartych, tak tymczasowo.

- Cóż - rzucił po rosyjsku Kozak. - Możecie mieć dwie żony, jedną w Moskwie, drugą w Arktyce.

Zapałił papierosa, odsłaniając zęby. Potem podpisał list intencyjny, nawet nań nie spojrzawszy, beknął i posłał nam szeroki uśmiech. Odprowadziliśmy go do windy, jego i jego opiekuna. Kiedy się żegnaliśmy, nagle spowaźniał.

- Posłuchajcie - powiedział, ściskając nam ręce. - To jest coś naprawdę wyjątkowego. Rosja jest wam wdzięczna.

- Farbowany lis - mruknął Paolo, kiedy zamknęły się drzwi.

Mówiliśmy tak, ilekroć mieliśmy do czynienia z nieokrzesanymi biznesmenami takimi jak on - z biznesmenami i kontraktami, które, między nami mówiąc, zapewniały nam wtedy połowę dochodów i których nie mogły uperfumować najsukuczniej nawet dezynfekujące umowy, przedsięwzięcia, zabezpieczenia, klauzule czy ujawnienia. Czasem wydawało się, że robimy coś złego, że legalnie pierzemy brudne pieniądze. Ale wmawiałem sobie, że tamci poradziliby sobie i bez nas, że jesteśmy jedynie pośrednikami, że to nie my finansujemy to, w co Rosjanie pakują cały ten szmal. My mieliśmy tylko dopilnować, żeby klientowi zwrócono pożyczone pieniądze. Ot, zwykły prawniczy wykręt.

- Farbowany lis - potwierdziłem.

- Ekstremalnie - zgodził się z nami Siergiej Borysowicz.

Resztę popołudnia spędziłem w stanie rozkojarzonego otumanienia, jaki nachodzi cię, kiedy czekasz na rozmowę w sprawie pracy albo na złowróbną wizytę u lekarza, kiedy tylko kiwasz głową i automatycznie odpowiadasz na pytania, podczas gdy tak naprawdę nikogo nie słyszysz i nie słuchasz. Każda mi-

nuta wlecze się wtedy w nieskończoność, zawsze jest jeszcze dużo czasu, tak mało go upłynęło, odkąd sprawdzałaś ostatni raz. A pod koniec, kiedy zaczynasz się nagle denerwować i chcesz się wycofać, czas gwałtownie przyspiesza i raptem przekonujesz się, że to już, już pora. O szóstej poszedłem do domu, żeby zrzucić swój gangsterski garnitur i sprzątnąć w łazience, tak na wszelki wypadek.

### 3

Zanim zacząłem go unikać, widywałem Olega Nikołajewicza prawie codziennie. Kiedy wchodziłem na górę albo schodziłem na dół, stał zwykle na podeście schodów pod drzwiami swego mieszkania, udając, że na mnie nie czeka. Kiedy się tam wprowadziłem i nie miałem jeszcze żadnych znajomych, lubiłem z nim rozmawiać. Cierpliwie znosił moją prymitywną ruszczyznę i udzielał mi rozsądnych rad na temat miejsc, których lepiej w Moskwie unikać. Potem, kiedy już się zadomowiłem, często ucinałem z nim krótkie pogawędki, bo nic mnie to nie kosztowało. Czułem, że jestem mu to winny, poza tym były ciekawe.

Mieszkał sam, nie licząc kota. Miał siwą kocią bródkę i włosy w uszach. Powiedział mi raz, że pracował kiedyś w redakcji czasopisma literackiego, ale nie jestem pewien, czy czasopismo to naprawdę istniało. Był jednym z tych ostrożnych rosyjskich kramów, które zawsze trzymają się dna oceanu, wiedząc, kiedy się ukryć i siedzieć cicho, nikomu się nie narażać i nikogo nie narażać na niebezpieczeństwo. Był stary i samotny. Kiedy szedłem na kolację do Mieczty Wostoka, szwendał się pod drzwiami w artystycznym jedwabnym szaliku na szyi.

- Dobry wieczór, Nikołaju Iwanowiczu - powiedział po rosyjsku. - Jak tam życie, nasz prawniku?

Tak mnie zawsze witał. Gdy się dowiedział, że mój ojciec ma na imię Iwan, zaczął zwracać się do mnie per „Nikołaju Iwanowiczu”, jak do rodowitego Rosjanina. W Rosji, dopóki kogoś dobrze nie poznasz, zwracasz się do niego, używając imienia i *otczestwa*, imienia ojcowskiego, a do ludzi starszych i swoich szefów mówisz tak zawsze, w każdej sytuacji. Ponieważ nikt inny tego nie robił, nawet mi się to podobało, ta swoista akceptacja i staromodna kurtuazja. Powiedziałem, że dobrze i spytałem, jak jemu się żyje.

- *Normalno* - odparł.

Przeprosiłem go, mówiąc, że bardzo się spieszę. Było chyba oczywiście dokąd. Zlałem się płynem po goleniu - tym samym, którego używam i teraz, a który według ciebie pachnie jak końskie siki - i byłem w szpanerskiej turkusowej koszuli. Chodzę w niej zazwyczaj na śluby. Podjąłem również zupełnie niewskazaną próbę przylizania włosów.

fr Nikołaju Iwanowiczu. - Oleg Nikołajewicz podniósł włochaty palec. Czułem, że zaraz usłyszę kolejne rosyjskie przysłowie, które uwielbiał. - Jedynym miejscem, gdzie rozdają za darmo ser, jest pułapka na myszy.

Otworzył drzwi, a ja, pokonując po dwa stopnie naraz, uciekłem na dół przed smrodem kociego futra, pleśniejącej encyklopedii i stęchłej kiełbasy.

Jeśli zamknę oczy, widzę ten wieczór pod powiekami jak stary, ziarnisty amatorski film z lat siedemdziesiątych.

Kiedy wychodziłem, robiło się już ciemno, a panujący na dworze chłód niósł zapowiedź deszczu. Idąc w kierunku bulwaru, zobaczyłem dwóch mężczyzn w pomarańczowym żiguli. Dziecko by takich nie narysowało. Jeden z nich spojrzął na

mnie, więc szybko uciekłem wzrokiem w bok, jak robi się to w Londynie, a już na pewno w Moskwie, gdzie zawsze widzisz coś w zwieńczonych łukiem przejściach, na parkingach czy w przejściach podziemnych, by poniewczasie zdać sobie sprawę, że lepiej na to nie patrzeć. Potruchtałem na róg, żeby złapać taksówkę. Podniosłem do góry rękę i wreszcie się zatrzymała, druga albo trzecia. (W Rosji nie miałem własnego samochodu. Zaraz po przyjeździe Paolo poradził mi, żebym od razu zaczął prowadzić, bo jeśli będę czekał, żeby zapoznać się z panującą w Moskwie uliczną anarchią, lodem, śniegiem i drogówką, nigdy za kierownicą nie usiądę. Miał rację, ale ich nieoficjalny system taksówkowy jest zaskakująco bezpieczny, dopóki przestrzega się dwóch prostych zasad: nie wsiadasz, jeśli taksjarsz jest z kumplem, a już na pewno nie wtedy, kiedy jest bardziej pijany od ciebie).

Mój był chyba Gruzinem. Na desce rozdzielczej miał dwie miniaturowe ikony, dwie malutkie Matki Boskie, przy których zawsze czułem się bezpieczniej i jeszcze bardziej niepewnie zarazem - wiedziałem, że z jednej strony, jest mniejsza szansa na to, że facet poderżnie mi gardło, ale z drugiej, moje życie mogło spoczywać w rękach kogoś, kto uważał, że to nie on, tylko Bóg powinien martwić się o spoglądanie w lusterko i hamowanie. Chciałem zapiąć pas, co sprowokowało surowe ostrzeżenie, że pasy są niebezpieczne i zapewnienie, że jest świetnym kierowcą. Uciekłem od jednej z tych małych, brudnych wojen, które zaczęły wybuchać na Kaukazie po upadku imperium zła, wojen, o których nigdy nie słyszałem, dopóki nie zacząłem jeździć moskiewskimi taksówkami. Opowiadał mi o tym, kiedy wpadliśmy do tunelu pod całodziennym korkiem na Nowym Arbacie (szeroką, niebezpieczną aleją pełną butików i kasyn) i kiedy śmig-

nęliśmy obok pomnika Gogola. Zanim dojechaliliśmy do stacji metra Kropotkińska, do rzeki i katedry, którą odbudowano tu w pośpiechu w latach dziewięćdziesiątych, zdążył już zdjąć z kierownicy obie ręce i wymachiwał nimi, demonstrując, co ktoś zrobił z czyimiś częściami ciała.

W końcu dotarliśmy na nabrzeże. Dałem mu umówione sto rubli i pięćdziesiąt rubli napiwku i przebiegłem przez ulicę. Zaczęło mżyć, mimo to po drugiej stronie czarnej rzeki dostrzegłem białą plamę promu kosmicznego i pętłę rozklekotanej kolejki górskiej w Parku Gorkiego. Pamiętam, że wchodząc małym pomostem do pływającej restauracji, widziałem mężczyznę w obcisłych kąpielówkach, który wychodził z rzeki na sąsiednią platformę.

W restauracji panował typowy zgiełk i wrzawa, bo wszyscy próbowali się wzajemnie przekrzyczeć. Orkiestra w jaskrawych strojach ludowych grała Sinatrę z azerskim przytupem. Drogę zaszła mi kelnerka, więc zacząłem jej tłumaczyć, że jestem z kimś umówiony, ale nagle zdałem sobie sprawę, że nie wiem, na jakie nazwisko Masza zarezerwowała stolik, a nawet czy naprawdę ma na imię Masza. I pomyślałem: co ja tu robię, w tym zwariowanym kraju, w tej turkusowej koszuli - jestem na to za stary, mam trzydzieści osiem lat, jestem z Luton. Wtedy zobaczyłem, jak machają do mnie z drugiego końca restauracji, z części przerobionej na średniowieczny galeon. Wstały na powitanie, kiedy, przeciskając się między stolikami, ruszyłem w ich stronę.

- Witaj, Nicholas - powiedziała po angielsku Katia.

Kontrast był niepokojący. Głos uczennicy albo postaci z kreskówek, a tu proszę: długie nogi w białych skórzanych kozacz-

kach, nagie od kolan po skraj krótkiej plisowanej spódniczki, którą mogłaby nosić cheerleaderka albo kelnerka w Hooters. Na ramiona opadały rozpuszczone blond włosy. Dla wielu moich znajomych byłaby główną atrakcją wieczoru, ale dla mnie była trochę za młoda, zbyt oczywista. Wciąż siebie testowała i wypróbowywała, krok, włosy, wszystkie krągłości, wciąż sprawdzała, dokąd może ją to zaprowadzić.

- Witaj, Nikolaï - powiedziała Masza.

Była w mini koloru niemal identycznego jak moja koszula i względnie skromnym pulowerze. Do tego szminka i tusz do rzęs, ale bez niepotrzebnego błazeństwa, jak u innych. I czerwone jak krew paznokcie.

Usiadłem naprzeciwko nich. Przy stoliku za mną siedziało sześciu hałaśliwych biznesmenów z siedmioma czy ośmioma dziewczynami, które mogłyby być ich córkami, chociaż na pewno nie były.

Oczywiście nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia.

Przeglądaliśmy menu o wiele dłużej, niż było trzeba, jadłospis z tymi wszystkimi czasochłonnymi listami dań i sosów (i widniejącymi tuż obok dwiema kolumnami liczb z ceną i - w większości moskiewskich restauracji - wagą składników każdej potrawy, co miało upewnić gości w przeświadczeniu, że nikt ich tu nie naciąga). Pamiętam, że podświadomie powędrowałem wzrokiem do ceny szaszłyka po królewsku i do Morskiej Nie spodzianki. Chociaż jesteś przy forsie, życie w stanie kawalerskim może zrobić z ciebie sknerę.

- Więc powiedz, Kola - zaczęła w końcu Masza, używając jednego z tych pretensjonalnych rosyjskich zdrobnień. - Dlaczego przyjechałeś do Rosji?

- Mówmy po rosyjsku - odparłem. - Tak będzie łatwiej.

- Nie, proszę - zaprotestowała Katia. - Musimy ćwiczyć nasz angielski.

- Dobrze.

Nie przyszedłem się z nimi kłócić. Potem rozmawialiśmy już tylko po angielsku, chyba że towarzyszyli nam jacyś Rosjanie.

- *Da, tak* - powiedziała Katia. - No więc? Dlaczego do Rosji? Udzieliłem jej mojej standardowej odpowiedzi.

- Szukałem przygód.

Nie była to prawda, nie do końca. Powodem, dla którego tu przyjechałem, był mój wiek. Wkraczałem właśnie w strefę rozczarowania, w lata trzydzieste, okres, kiedy rozpęd i ambicje zaczynają powoli przygasać, a rodzice przyjaciół umierać. Czas pytań z cyklu: „I co? I to wszystko?”. Znajomi z Londynu, którzy się kiedyś pobrali, zaczęli się już rozwodzić, a samotni bracia koty do domu. Niektórzy biegali maratony albo zostawali budystami, żeby przez to przejść. Ty wybrałaś wtedy to podejrzane seminarium ewangeliczne, na które poszłaś parę razy, zanim się poznaliśmy. A mnie firma poprosiła, żebym pojechał do Moskwy - tylko na rok, namawiali, góra na dwa. Zostaniesz współdziałowcem, to droga na skróty. Powiedziałem „tak” i uciekłem do Londynu i od tego, że nie byłem już taki młody.

Dziewczyny się uśmiechnęły.

- Szefowie poprosili mnie, żebym tu przyjechał - dodałem. - Do naszej moskiewskiej filii. To była dobra okazja. Poza tym, zawsze chciałem zobaczyć Rosję. Mój dziadek służył tu podczas wojny.

Jak wiesz, naprawdę służył. Nie zdążyłem go dobrze poznać, ale kiedy byłem mały, ciągle się o tym mówiło.

- Gdzie służył? - spytała Masza. - Był szpiegiem?

- Nie - odparłem. - Marynarzem. Pływał w konwojach.



Wiecie, na okrętach z Anglii do Rosji, takich z zaopatrzeniem. W konwojach do Arktyki. Do Archangielska. I Murmańska.

Masza nachyliła się i wymruczała coś do Kati, tłumacząc, co powiedziałem, chyba na rosyjski.

- Naprawdę? - spytała. - To nie żart? Był w Murmańsku?

- Tak. Kilka razy. Miał szczęście. Jego okrętu nie storpedowano. Po wojnie chciał wrócić do Rosji. Ale to były sowieckie czasy i nie mógł. Ojciec mi to opowiadał. Dziadek umarł, kiedy byłem mały.

- To dla nas bardzo ciekawe - powiedziała Katia. - Bo my jesteśmy stamtąd. Murmańsk to nasz dom.

Wtedy nadeszła kelnerka. Obie zamówiły szaszłyk z jesiotra. Ja wziąłem jagnięcinę, placki po azersku, z serem i ziołami, kilka małych bułeczek z oberżyną i mielonymi orzechami włoskimi, do tego sos z granatów i pół butelki wódki.

To, że dziadek odwiedził ich rodzinne miasto, wydało mi się wtedy ważnym przypadkiem lub wskazówką. Spytałem, dlaczego ich rodzina tam mieszkała. Wiedziałem, że Murmańsk należał kiedyś do zamkniętej strefy wojskowej, gdzie trafiało się tylko z określonego powodu albo kiedy ktoś cię z jakiegoś powodu tam ściągał.

Masza spojrzała mi w oczy i czerwonymi paznokciami prawej ręki postukała się w ramię. Uznałem, że powinienem coś powiedzieć, jakoś zareagować, ale nie wiedziałem jak. Po kilku sekundach ja też poklepałem się dłonią w ramię. Roześmiały się, Masza odrzuciła do tyłu głowę, Katia zaczerwieniła się i stłumiła chichot jak wtedy, kiedy na lekcji dostajesz głupawki i chcesz ukryć to przed nauczycielem.

- Nie - odparła Masza. - Jak się nazywa, ta rzecz, którą wojskowi tu noszą? - Znowu postukała paznokciami w ramię.

- Pagony?

- Kiedy Rosjanin tak robi, to znaczy, że chodzi o wojskowego, o milicjanta czy o kogoś takiego.

- Wasz ojciec był wojskowym?

- Tak. Marynarzem. Jego ojciec też. Jak twój dziadek.

- Tak - dodała Katia. - Nasz dziadek też walczył w konwojach. Może znał twójego.

- Może - odparłem.

Uśmiechnęliśmy się. Nerwowo poprawiliśmy się na krzesłach. Spojrzałem na Maszę i szybko odwróciłem wzrok, kiedy ona spojrzała na mnie, ot, taka zabawa w kotka i myszkę, jak to na pierwszej randce. Przez zaparowane okno i padający na rzekę deszcz widziałem niewyraźny zarys śpiącej kolejki górskiej, Most Krymski, a nieco dalej poświętę bijącą z pomnika Piotra Wielkiego, gigantycznego i absurdalnie śmiesznego monumentu na sztucznej wyspie naprzeciwko wytwórni czekolady Czerwony Październik.

Spytałem je o dzieciństwo. Oczywiście było ciężko, odparła. Murmańsk to nie Moskwa. Ale latem było jasno przez całą dobę i w środku nocy mogły chodzić na spacer do lasu.

- I mieliśmy takie coś! - dodała Katia, wskazując zebrowane koło diabelskiego młyna w Parku Gorkiego. Znowu się uśmiechnęła jak grzeczna, niewinna dziewczynka, która myśli, że diabelski młyn to prawdziwy Disneyland.

- Tylko dla nas było za drogo - powiedziała Masza. - Żeby tym jeździć. Kiedy byłem mała, w latach osiemdziesiątych, za Gorbaczowa, mogłam tylko na nie patrzeć, na to koło. Było piękne.

- Dlaczego wyjechałyście? Dlaczego przyjechałyście do Moskwy?

Chyba znałem już odpowiedź. Większość młodych Rosjanek z prowincji przyjeżdżała tu z pieniędzmi, które wystarczały, żeby ledwie przez parę tygodni jako tako wyglądać - sypiały u kogoś na podłodze i szukały pracy, a najlepiej mężczyzny, który zabrałby je do swego domu za elektrycznym ogrodzeniem przy „elitarnej” Rublowce. Albo, jeśli był już żonaty, żeby zainstalował je w mieszkaniu na Patriarszych Prudach, nad Stawami Patriarszymi, w moskiewskim Hampstead, tyle tylko, że z większą ilością automatycznej broni palnej - gdzie nachodziłyby je tylko parę razy w tygodniu, a potem, kiedy już by się mu znudziły, może pozwoliłby zatrzymać mieszkanie. W tamtych czasach te długonogie zdesperowane dziewczyny były głównym produktem narodowym Rosji, zaraz po ropie naftowej. Można było zamówić je przez Internet w Leeds czy Minneapolis.

- Przez rodzinę - odparła Masza.
- Wasi rodzice przeprowadzili się do Moskwy?
- Nie. Zostali w Murmańsku. Ale ja musiałam.

Zrobiła inny gest i tym razem załapałem. Podniosła rękę i dała sobie pstryczka w szyję. Alkohol. Pijaństwo. Znak zrozumiały w całej Rosji.

- Wasz ojciec?
- Tak.

Wyobraziłem sobie te awantury i lzy, te przepite pensje i dwie małe dziewczynki chowające się w pokoju i marzące o wielkim diabelskim młynie, którym nie mogą się przejechać, bo je na to nie stać.

- Teraz żyje tylko mama - dodała Masza.
- Nie wiedziałem, czy powiedzieć, że mi przykro, czy nie.
- Ale - wtrąciła Katia - w Moskwie też mamy rodzinę.
  - Tak - potwierdziła Masza - nie jesteśmy tu same. Mamy

ciocię. Może ją poznasz. Jest starą komunistką. To będzie dla ciebie ciekawe.

- Bardzo chętnie ją poznam - odparłem.

- W Murmańsku - ciągnęła Masza - nie wiedziałyśmy nic. Wszystkiego nauczyłyśmy się w Moskwie. Tego, co dobre. I tego, co złe.

Potrawy przyniesiono wszystkie naraz, jak to w kaukaskich restauracjach, gdzie nie ceni się zbytnio stopniowania satysfakcji zawartej w kulinarnym koncepcie: przystawki - danie główne. Zaczęliśmy jeść. Siedzący za nami biznesmeni już dawno przestali, żeby macać towarzyszące im dziewczyny, bynajmniej nie ukradkiem. Przy ich stoliku trwała nikotynowa orgia. Oni palili chyba nawet pod prysznicem.

Spróbowałem dowiedzieć się, gdzie mieszkają, Masza i Katia. Powiedziały, że wynajmują kawalerkę przy Szosie Leningradzkiej, wiecznie zakorkowanej, prowadzącej na lotnisko Szeremietiewo na północ od Moskwy. Potem spytałem Maszę, czy lubi swoją pracę w sklepie z telefonami.

- Praca jak praca - odparła. - Nie zawsze jest ciekawa. - Posłała mi krótki ironiczny uśmiech.

- A ty, Katiu? Czym się zajmujesz?

- Studiuję w MGU.

MGU to Uniwersytet Moskiewski, rosyjska wersja naszego Oxfordu, gdzie studenci dostają się za łapówkę, by za łapówkę zrobić dyplom.

- Zarządzanie - dodała.

Byłem pod wrażeniem, tak jak powinienem. Zacząłem opowiadać im o moich studiach w Birmingham, ale Masza mi przerwała.

- Chodźmy potańczyć.

Orkiestra grała / *will survive*, w dwa razy szybszym tempie, a kiedy muzycy zaczęli śpiewać, zabrzmiało to jak żałobny chór na kaukaskim pogrzebie. Jedynymi tancerzami byliśmy my i podekscytowana dziewczynka z pijanym ojcem, którego wyciągnęła na parkiet. Masza i Katia - ponętne krągłości i znaczące ruchy biodrami - tańczyły tak, jak tańczyć mogą tylko ci, którzy nie mają nic do stracenia, bez żadnego skrępowania, z odrobiną symulowanej lesbijskości, która na moskiewskich parkietach była wtedy *de riguer*. To też mi się w niej podobało, w Maszy: umiała cieszyć się chwilą, odcinając od niej wszystko to, co było przedtem i co miało być potem.

Kiwałem się, płąsałem, próbowałem nawet tańczyć twista, wreszcie doszedłem do wniosku, że chyba trochę przesadziłem (tak, wiem: zanim zatańczymy razem w naszym wielkim dniu, muszę pójść na kurs, pamiętam). Masza wzięła mnie za rękę, przywarłem do niej jak do tarczy i przez parę minut podrygivaliśmy chwiejnie w duecie. Ulżyło mi, kiedy piosenka się skończyła i mogłem wrócić do stolika.

- Pięknie tańczysz - powiedziała Katia i obie wybuchnęły śmiechem.

- Za kobiety! - zakrzyknąłem, wznosząc standardowy toast awaryjny, a ponieważ w Rosji jest tak, że ten, za kogo się pije, też musi wypić, dziewczyny stuknęły się ze mną kieliszkami i wypiliśmy do dna.

Wciąż nie byłem pewien, co się za tym kryje - jeśli w ogóle coś się kryło - czy nie jest to zwykła ciekawość albo okazja, żeby zjeść darmową kolację. W Moskwie główne, najważniejsze wydarzenie ma zwykle miejsce na trzeciej randce, podobnie jak u nas, w Londynie, na Marsie pewnie też, a latem na drugiej. Nie wiedziałem tylko, co będzie z Katią.

- Może chcesz obejrzyć nasze zdjęcia? - spytała Masza.

Dała znak Kati, która wyjęła telefon. Uwielbiały się fotografować, jak wszystkie młode Rosjanki. Może dlatego, że komórki wciąż były tam nowością, a może myślały, że jako kobiety są ważnym obiektem do utrwalania.

- Z Odessy - powiedziała Katia.

Okazało się, że były tam na początku lata. I że mają tam krewnych. Chyba wszyscy mieli krewnych w Odessie (czymś w rodzaju Teneryfy skrzyżowanej z Palermo).

Nachyliliśmy się nad telefonem i zrobiła nam pokaz slajdów na malutkim ekranie. Na pierwszym zdjęciu były w barze, one i jakaś dziewczyna. Katia patrzyła w bok i śmiała się, jakby opowiadała kawał komuś poza kadrem. Na drugim stały obok siebie na plaży, w bikini, na tle czegoś, co wyglądało jak egipska piramida. Na kolejnym była tylko Masza. Robiła zdjęcie swemu odbiciu we wbudowanym w szafę lustrze: stała z jedną ręką na biodrze, drugą trzymając komórkę, która zasłaniała jedną czwartą twarzy. Miała na sobie czerwone majtki i nic więcej.

Usiadłem prosto i spytałem, czy chcą wpaść do mnie na herbatę.

Masza spojrzała mi prosto w oczy i powiedziała: „Tak”.

Pomachałem do kelnerki, rysując w powietrzu wymagany rachunek, międzynarodowy znak z cyklu „wypuście mnie stąd”, jeden z tych, w których skuteczność nie wierzysz, gdy jesteś nastolatkiem, choć widzisz, że czynią tak rodzice.

Na dworze było jeszcze zimniej niż przedtem. Po trzech latach w Rosji wiedziałem, że to jest to: wielki chłód, napowietrzne kryształki lodowe, który zostaną tam aż do kwietnia.

Na tle ciemnego nieba stęzał biały dym z elektrowni nad rzeką. Wciąż mżyło i spływające po okularach krople wody zamazywały obraz, więc wszystko wydawało się jeszcze bardziej fantastyczne, niż było. Masza włożyła swoją kurtkę z kota, Katia fioletowy ortalion.

Machnąłem ręką na taksówkę i kierowca, który już nas minął i był dwadzieścia metrów dalej, gwałtownie zahamował i podjechał na wstecznym. Kierowca krzyknął dwieście rubli i chociaż był to rozbój w biały dzień, zgodziłem się i usiadłem z przodu. Taksiarz, tęgi, naburmuszony Rosjanin z wąsami, siedział za pękniętą przednią szybą, która wyglądała, jakby ktoś ją przestrzelił albo grzmotnął w nią głową. Miniaturowy telewizor był podłączony do gniazdka zapalniczki, a grubas wioził nas nabrzeżem, oglądając brazylijską telenowelę z dubbingiem. W oddali widzieliśmy pulsujące gwiazdy na kremłowskich wieżach i baśniowe kopuły cerkwi na placu Czerwonym, a obok nas płynęła gęsta jak zupa rzeka, jeszcze nie zamrznięta, wijąca się tajemniczo przez miasto. Masza i Katia szeptały coś do siebie na tylnym siedzeniu. Taksówka rosyjskiego grubasa była ruchomym niebem, dziesięciominutowym rajem pełnym nadziei i zdumienia.

Gdybyś przyjrzała się mojemu sufitowi, tam, w Moskwie, zobaczyłabyś sieć przecinających się bruzd, które opowiadały historię mieszkania, niczym słoje na pniu ściętego drzewa albo zmarszczki na twarzy poety. Kiedyś była to komunałka, mieszkanie komunalne, w którym trzy czy cztery rodziny mieszkały razem, lecz oddzielnie. Często wyobrażałem sobie, jak ci ludzie tam umierali, jak znajdowali ich potem współlokatorzy albo nie znajdował ich nikt. Jak miliony innych, chcąc się załatwić,

musieli najpierw zdjąć ze ściany własną deskę klozetową, i jak inni, klócili się z sąsiadami o mleko we wspólnej kuchni, donosili na siebie i ratowali sobie życie. A potem, w latach dziewięćdziesiątych, ktoś zburzył ścianki działowe, przebudował mieszkanie na luksusową garsonierę i z przeszłości, z tego dawnego życia, pozostały jedynie blizny na suficie, miejsca, gdzie kiedyś spotykały się ściany. Blizny, dwie sypialnie, w tym jedna dla gości, którzy prawie nigdy nie przychodzili, i nieciekawa historia tamtych dni, dlatego miałem wyrzuty sumienia, że tak mi się poszczęściło, przynajmniej początkowo.

Zdjęły buty, tak jak uczeni są tego wszyscy Rosjanie, i weszliśmy do kuchni. Masza usiadła mi na kolanach i pocałowała mnie. Usta miała zimne i silne. Spojrzałem na Katię, a Katia siedziała, uśmiechała się i patrzyła. Wiedziałem, że mogą coś ode mnie wyłudzić albo coś ukraść, ale w mieszkaniu nie miałem nic, czego pragnąłbym bardziej niż Maszy, a wątpiłem, żeby chciały mnie zabić. Masza wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do sypialni.

Podszedłem do okna, żeby zasunąć zasłony - ciemnobrązowe, takie z falbanami, wyglądały jak kurtyna w operze - i zanim się odwróciłem, Masza zdążyła zdjąć już pulower i siedziała na brzegu łóżka w krótkiej spódnicy i czarnym staniku. Wciąż uśmiechnięta Katia usiadła na krześle. Potem już tego nie robiła, ale wtedy przesiedziała z nami całą noc, może dla bezpieczeństwa. Nie wiem. Było to trochę perwersyjne i wprawiało w zakłopotanie, ale z drugiej strony, wszystko to razem miało w sobie coś surrealistycznego, a wódka zabiła wstyd.

Masza była inna niż angielskie dziewczyny. Inna niż ty. I ja. Była mniej w tych sprawach powściągliwa, mniej grała czy udawała. Kiedy, zawsze chętna do improwizowania i dawania przy-



jemności, śmiała się, dotykała mnie i zachęcała, było z niej coś w rodzaju pragmatycznej energii. W pewnej chwili podniosłem głowę i zobaczyłem Katię, która całkowicie ubrana i uśmiechnięta, jakby oglądała eksperyment naukowy, siedziała tak blisko nas, że widziałem ją dobrze nawet bez okularów.

Potem, kiedy leżeliśmy już na łyżeczkę i, ni to śpiąc, ni nie śpiąc, Masza ciężko oddychała, w pewnej chwili poczułem, że strząsa z siebie moją rękę, gdy chciałem dotknąć jej ręki - strząsnęła jak zepsuta zabawkę, ale zrobiła to po to, bym jeszcze mocniej ją objął albo żeby sprawdzić, czy moja ręka i ja jesteśmy prawdziwi i namacalni, jakby tego właśnie potrzebowała, mojej ręki i mnie. Przynajmniej tak mi się wtedy wydawało. I pamiętam, że na drugim końcu łóżka, blisko, choć hen, kilometry dalej, objęła nogą moją nogę, tak że czułem, jak jej pomalowane paznokcie wbijają mi się w łydkę.

Kiedy do pokoju wśliznęło się ukradkiem światło poranka, zobaczyłem Katię - wciąż ubrana, z podkurczonymi nogami i w welonie jasnych włosów na twarzy spała na krześle. Masza leżała obok mnie z odwróconą głową, z włosami na mojej poduszce i swoim zapachem na mojej skórze. Przysnąłem, a kiedy się znowu obudziłem, ich już nie było.

## 4

- To tutaj - powiedziała Masza.

Staliśmy przed starą, klasyczną moskiewską kamienicą z popękana pastelową fasadą i szerokim dziedzińcem, gdzie szlachta trzymała kiedyś konie i spiskującą czeladź. Teraz były tam tylko dwa gubiące brązowe liście smętne drzewa i trzy czy cztery samochody na tyle eleganckie, aby zwrócić uwagę, że mieszkają tam ludzie z dużymi pieniędzmi. Przeszliśmy pod łukowatym sklepieniem bramy i stanęliśmy przed metalowymi drzwiami ze starym domofonem w lewym rogu dziedzińca. Powietrze było mokre, ciężkie od czegoś, co nie jest ani deszczem ze śniegiem, ani śniegiem, wilgotne rosyjską wilgocią, która smakuje spalinami i wciska się do oczu i ust. Niemal jak skazaniec na widok ostrza gilotyny, miało się ochotę spojrzeć w niebo i powiedzieć, by wreszcie się na coś zdecydowało.

Masza wystukała na domofonie numer mieszkania. Trochę poczekaliśmy, w głośniku zatrzeszczało i odezwał się głos jakiejś kobiety.

- Da?

- To my - powiedziała po rosyjsku Masza. - Masza, Katia i Nikołaj.

- Wchodźcie - odparł głos. - Trzecie piętro.

Wpuszczono nas i weszliśmy na brudne marmurowe schody.

- Kiedyś była komunistką - szepnęła Masza - ale już chyba nie jest.

- Ma słabą pamięć - dodała Katia - lecz jest bardzo miła.

- Chyba nie jest zadowolona - powiedziała Masza. - Ale spróbujemy.

Czekała na nas na podeście. Miała figurę miniaturowej kulomiotki i twarz młodszą niż siwe włosy, które uczesała w praktyczny rosyjski kok. Była w czarnych sznurowanych butach, brązowych pończochach, schludnej, choć znoszonej wełnianej spódnicy i rozpinanym swetrze, który otwarcie mówił, że pieniędzy to ona nie ma. Wszystko wynagradzały bystre oczy i ładny uśmiech.

- Moja droga - zaczęła Masza - to jest Nikołaj... - W tym momencie zdała sobie sprawę, że nie zna nawet mojego nazwiska. Widzieliśmy się chyba dopiero czwarty raz, nie licząc spotkania w metrze. Tak naprawdę zupełnie się nie znaliśmy, może nawet nie znaliśmy się nigdy potem. Ale wtedy czułem, że tak trzeba, że to dobrze, że chcą przedstawić mnie ciotce. Że może nasz związek przetrwa.

- Platt - powiedziałem i ściskając jej rękę, dodałem po rosyjsku: - Bardzo mi miło.

- Wejdźcie - odrzekła z uśmiechem.

Chyba wyprzedzam fakty. Ale chciałem ci powiedzieć, jak ją poznałem. Jak poznałem tę starszą panią: Tatianę Władimirowną.

W czasach gorączki złota - kiedy połowę budynków w centrum miasta pokrywały wielkie jak okręt podwodny reklamy Roleksa, a mieszkania w stalinowskich drapaczach chmur

w kształcie tortu weselnego sprzedawały się po cenach z Knightsbridge - moskiewskie pieniądze miały szczególne zwyczaje. Wiedziały, że ktoś z Kremla może je w każdej chwili zabrać. Dlatego nie odpoczywały przy kawie czy na promenadzie z trójkołowym wózkiem spacerowym w Hyde Parku, jak te londyńskie. Pieniądze moskiewskie emigrowały na Kajmany, do willi w Cap Ferrat czy gdziekolwiek indziej, tam, gdzie czekał na nie ciepły dom i gdzie nikt nie zadawał żadnych pytań. Albo się po prostu wydawały, najdyskretniej, jak to tylko możliwe, wlewając się do wypełnionych szampanem jacuzzi lub odlatując prywatnym helikopterem. Najbardziej lubiły salony samochodowe najdroższych marek przy Prospekcji Kutuzowa, ulicy prowadzącej do Muzeum Wielkiej Wojny Ojczyźnianej i Parku Zwycięstwa. Ozdabiały swoje mercedesy i opancerzone hummery niebieskimi „kogutami”, które usłudźnicy z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych sprzedawali po trzydzieści tysięcy dolarów za sztukę, tak zwanymi „migalkami”, dzięki którym tkwiące w korkach samochody rozstępowały się przed nimi jak egipskie morze. Mercedesy i hummery zbierały się przed modnymi restauracjami i klubami nocnymi jak wygrzewające się w słońcu drapieźniki przy wodopoju, podczas gdy pieniądze wchodziły do środka, by objadać się kawiozem i opijać szampanem marki Cristal.

W piątek wieczorem, pod koniec zimnego października - dwa, trzy tygodnie przed tym, jak przedstawiono mnie Tatianie Władimirownej w drzwiach jej mieszkania, czyli trzy tygodnie po mojej pierwszej nocy z Maszą - zabrałem dziewczyny do Rasputina. Był to najbardziej *elitny* klub nocny na rogu ulicy między Ogrodami Ermitażu i komisariatem na Pietrowce (gdzie kręca rosyjską wersję *Crimestoppersów*, serial okraszony tru-

parni i subtelnie wyreżyserowanymi strzelaninami). A przy- najmniej próbowałem je tam zabrać.

Przebiwszy się przez stado samobieżnych potworów z przy- ciemnionymi szybami, doszliśmy do wejścia. Pilnowało go kilku tak zwanych „lico-kontrolczyków”, wysokich jak góra bram- karzy i wyniosła blondyna w słuchawkach, których zadaniem było niewpuszczanie za mało efektownych kobiet i niedoposa- żonych mężczyzn. Blondyna obcinała dziewczyny od stóp po głowę z otwartą wrogością, jak wszystkie Rosjanki. Katia miała na sobie mini w lamparcie cętki i białe kozaczki; pamiętam, że Masza miała rozpuszczone włosy, które wyglądały jak potargana lwia grzywa, i srebrną bransoletkę z malutkim zegarkiem w kształcie serca. Chyba zatrzymali nas przeze mnie. Próbowa- łem wtopić się w to gangsterskie tło, wkładając ciemny garnitur, ten do pracy, i czarną koszulę, ale wyglądałem pewnie jak chó- rzysta ze szkolnego przedstawienia musicalu *Guys and Dolls*. Widziałem, że blondyna patrzy na mnie, sprawdzając, czy bar- dzo będą musieli się ze mną namęczyć, jeśli wpadnę w gniew i oceniając solidność mojej *kryszy*, ochronnego „dachu”, którego potrzebuje każdy Rosjanin, najlepiej kogoś ze służby bezpie- czeństwa, kto wyciągnąłby go z kłopotów, pomógł mu prze- skoczyć do niższej grupy podatkowej czy załatwił wejście do Rasputina w piątkowy wieczór. Od ulicznego handlarza z za- przyjaźnionym milicjantem, który w porę odwróci wzrok, po oligarchę z uslužnym suzerenem na Kremlu - każdy, kto chce odnieść w życiu sukces, potrzebuje *kryszy*: kogoś, kto w razie czego da komuś porządny ochrzan albo przyciśnie go do muru, może krewnego czy starego przyjaciela albo po prostu kogoś wpływowego, kto miał niefart zdradzić mu kiedyś kompromi- tującą tajemnicę. Blondyna szepnęła coś do jednego z bramka-

rzy, a ten zaprowadził nas za róg, do zagrodzonej strefy dla odrzuconych. Powiedział, że może wejdziemy potem, jeśli znajdzie się dla nas miejsce wśród tych z elity.

Padał śnieg. Lekki październikowy śnieg - *mokryj*, jak mówią Rosjanie - który osiada na wszystkich płaszczyznach, na gałęziach drzew i dachach samochodów, ale który szybko niknie na nieprzyjaznych moskiewskich chodnikach. Niektóre płatki nawet tam nie docierały, bo niesione do góry podmuchem powietrza wirowały w sztucznym świetle latarni, jakby nagle zmieniły zdanie. Było zimno - nie mroźno, jeszcze nie, ale temperatura musiała wahać się w okolicach zera. Ci z kolejki odrzuconych pochowali ręce do rękawów i wyglądali jak uczestnicy wyścigu dla kalek z obciętymi dłońmi. Tymczasem blondyna i tamci wpuszczali do klubu gangsterów, odpoczywających po służbie pułkowników ze służby bezpieczeństwa, urzędników średniego szczebla z Ministerstwa Finansów, z których każdy ciągnął za sobą swój prywatny harem. Zły i zawstydzony, byłem gotów zrezygnować i odejść. Wtedy pojawił się Kozak.

Był z dwoma czy trzema mężczyznami i czterema wysokimi dziewczynami. Zawołałem do niego i ruszył w naszą stronę, podczas gdy jego świta zniknęła za aksamitną zasłoną w drzwiach klubu. Była to jedna z tych chwil, kiedy wpada się nagle na kogoś, na kogo nigdy nie miało się wpaść, na przykład na swego szefa w holu kina czy w przebieralni na basenie.

- Dobry wieczór - powiedział. Mówił do mnie, ale patrzył na dziewczyny. - Nieźle.

- Dobry wieczór - odparłem.

Widziałem go parę dni przedtem. Przyjechał do nas podpisać papiery, obiecywać i bekać. Zgodził się na naszego kontrolera, który miał jeździć nad Morze Barentsa i co kilka tygodni spraw-

dzać, czy prace postępują zgodnie z harmonogramem. Takie kontrole potwierdziłyby ostatecznie, że dług zostanie w końcu spłacony i - co opisaliśmy szczegółowo w kontrakcie - że banki będą miały co przejąć, jeśli on i jego kumple okażą się niewypłacalni. Kontroler, mały kurdupeł, nazywał się Wiaczesław Aleksandrowicz. Kiedyś już z nami pracował, przy obsłudze finansowej nabrzeża portowego nad Morzem Czarnym.

- Nie przedstawiś mnie?

- Przepraszam. To są moje znajome, Masza i Katia.

- *Enchante* - powiedział Kozak. - Która z was jest żoną Nicholasa?

Wyszło na jaw moje małe kłamstewko, ale spłynęło to po nim jak woda po kacze. Zaczerwieniłem się. Katia zachichotała. Masza uściśniła mu rękę. O ile wiem, spotkali się tylko raz, właśnie wtedy, i nawet się z tego cieszą. To upraszcza sprawę, przynajmniej dla mnie, to wspomnienie Maszy i jego razem.

- Problemy? - spytał.

- Nie - odparłem.

- Tak - poprawiła mnie Masza.

Zawsze była spokojna, zdeterminowana i pewna siebie. Zawsze. To też mi się w niej podobało.

- Może - mruknąłem.

- Zaczekajcie - powiedział Kozak.

Podszedł do blondyny w słuchawkach. Stał tyłem do nas, więc nie widziałem jego twarzy. Widziałem za to, jak poruszył ramieniem i w tej samej chwili blondyna spojrzała w naszą stronę. On mówił, a jej powoli rzedła mina i opadała głowa. W końcu powiedziała coś do mikrofonu i pokiwała na nas palcem.

- Bawcie się dobrze! - rzucił Kozak.

Widziałaś może w filmach akcji, jak wyglądają żołnierze

w noktowizorze, jak toną w takiej migotliwej ciepłej poświacie? Kozak wyglądał tak chyba przez cały czas. Otaczała go aureola przemocy. Niewidoczna, a jednak dostrzegalna.

- Dzięki.

- Nie ma za co.

Uścisnęliśmy sobie ręce, a on przytrzymał moją dłużej, niż było trzeba, tylko troszkę, najwyżej parę sekund, żebym po prostu wiedział, że może to zrobić.

- Pozdrów ode mnie mego przyjaciela Paola - powiedział.

W środku był parkiet z trojgiem tancerzy na podium, dwiema energicznymi Murzynkami bez stanika i wijącym się między nimi karłem w stringach w tygrysie paski. Katia wskazała ręką do góry. Nad naszymi głowami fruwały dwie pomalowane na złoto nagie dziewczyny z anielskimi skrzydłami. Ruszyliśmy do baru. W barze była szklana podłoga, a pod nią akwarium z jesiotrami i kilkoma smętnymi rekinami. Tłoczyło się tam mnóstwo kosztownych kobiet i niebezpiecznych mężczyzn.

Zamówiłem trzy mojito u barmana, minę miał typową dla wszystkich źle opłacanych i zaganianych barmanów, oraz trzy porcje sushi, które były wtedy standardową potrawą w moskiewskich knajpach. Czułem się tak, jakbym wygrał na loterii, siedząc tam z tymi wszystkimi utracjuszami i ich chirurgicznie upiękuszonymi flamami - ja z moimi bezsensownie gęstymi włosami, ściągniętymi angielskimi rysami i trzydziestokilkuletnim wałkiem tłuszczu pod brodą, który codziennie rano oglądałem w lustrze z nadzieją, że sam zniknie. Czułem się kimś, a nie zerem, które wraz z tłumem innych zer mogło w tej chwili prze-walać się Mostem Londyńskim w drodze do pracy. I chyba tak powinienem był się czuć.



Katia znowu zaczęła wypytywać mnie o Anglię. Tradycyjne pytania: czy Sherlock Holmes naprawdę żył? Czy trudno jest dostać wizę? Dlaczego Churchill czekał aż do tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego, żeby ruszyć z drugim frontem? Pomyślałem, że pod tą króciutką mikro-mini kryje się dobra dziewczyna, że pełna szacunku dla siostry, na swój zrozumiale ograniczony sposób, chce utrzymać ze mną jak najlepsze stosunki.

Masza spytała mnie o pracę.

- Kola, znasz tylko angielskie prawo, czy i rosyjskie?

Odparłem, że uczyłem się tylko angielskiego, ale rosyjskie też znam całkiem nieźle, zwłaszcza korporacyjne.

- Jakie załatwiasz interesy?

Powiedziałem, że zajmuję się głównie kredytami, czasem fuzjami i przejęciami.

- To znaczy, że nie sprawami majątkowymi? - Jej głos utonął w rytmicznym łomocie rosyjskiej muzyki tanecznej i skrzekliwym krakaniu okolicznych bandziorów.

Powiedziałem, że nie. Liznąłem trochę prawa majątkowego, ale tylko trochę, w części związanej z długoterminową dzierżawą budynków komercyjnych.

Wiem, te pytania powinny były dać mi do myślenia bardziej, niż dały. Ale ja myślałem tylko o Maszy, o powrocie do domu i o tym, czy to jest naprawdę to.

Katia szła na czyjeś urodziny. Zaproponowałem, że ją odprowadzimy, ale odmówiła, powiedziała, że poradzi sobie sama, i szybko odeszła w kierunku Teatru Bolszoi, ginąc we wczesnym śniegu niesfornej rosyjskiej nocy.

Chciałem wziąć taksówkę, ale Masza wołała się przejść. Po-

szliśmy więc w stronę placu Puszkina, mijając po drodze oszczędzoną przez komunistów piękną cerkiew, klub ze striptizem obok kina imienia Puszkina (gdzie kilka miesięcy później w boksach na górze spłonęła grupa węgierskich biznesmenów) i mieszczące się naprzeciwko kina kasyno ze sportowym samochodem w przekrzywionej szklanej gablocie przed wejściem. Kanty budynków rozmywały się w mokrym śniegu, jak u impresjonistów, i miasto zdawało się łagodnieć. W oddali, niczym jarmarczne obozowisko mongolskie, błyszczał wielki neon.

Masza powiedziała, że martwi się o Katię, że, nie licząc ciotki, nie mają w Moskwie nikogo, że zawsze marzyły, by tu przyjechać i jakie to było trudne. Aby dostać pracę, musiała zdobyć pięćset dolarów na łapówkę dla kierownika sklepu i aż przez pół roku spłacała dług. Miała nadzieję, że pewnego dnia zamieszka gdzieś, gdzie jest bezpieczniej, czystiej.

- Na przykład w Londynie - powiedziałem. - Może w Londynie.

Byłem za szybki, wiem, zwłaszcza w porównaniu z tym, jak było między nami. Ale myśl ta nie wydała mi się wtedy dziwaczna, nie na początku. Próbuję być z tobą szczerzy. Myślę, że tak będzie najlepiej dla nas obojga.

- Może - odparła.

Na śliskich schodach do podziemnego przejścia, tam gdzie się poznaliśmy, wzięła mnie za rękę i nie puściła jej, kiedy zesliśmy na dół.

Po drugiej stronie Twerskiej szliśmy przez chwilę wzdłuż bulwaru. Władze miasta powyrywały kwiaty z klombów, tak jak co roku, i wywiozły je nocą jak skazańców, żeby nie umierały na widoku. Rosjanie powkładali swoje płaszcze przejściowe, kobiety wełniane albo w lamparcie cętki, które noszą, dopóki nie

przyjdzie kolej na nadjedzone przez mole futra. Na ławkach spali włóczędzy oproszeni śniegiem, jak mięso solą na rzeźniczym stole. Maska zardzewiałego żiguli na mojej ulicy była upstrzona topniejącymi płatkami.

Kiedy weszliśmy do środka, Masza puściła płytę, zdjęła kurtkę, a potem powoli, jakby już się tak kiedyś rozbierała, całą resztę.

Jeszcze potem zrobiła nam kąpiel. Drapiąc moją kość ogonową przyszyżonymi włosami łonowymi, wcisnęła się do wanny tuż za mną i oplotła nogami mój sflaczały brzuch. Widziała z bliska kępki włosów na moich ramionach i w lewym górnym rogu pleców, asymetryczne wygłupy genów, które wcale mnie nie śmieszyły. Ni to śpiewała, ni nucila jakąś łzawą rosyjską piosenkę ludową i mokrymi rękami przeczesywała mi włosy. Nasze otwarte, rozluźnione ciała, ani eksponaty, ani broń - dla mnie był to nowy rodzaj nagości. I szczerości, bo tak odbierałem to wspólne moczenie się w wodzie. W pokrytej zaciekami wannie ze sztucznego marmuru, z niedziałającymi dyszami natrysków, czułem się jak w małym łonie.

Pamiętam, powiedziała wtedy, że jako mała dziewczynka była bardzo dumna z ojca, ale kiedy upadło imperium i przestał zarabiać, wszystko się zmieniło. Że to właśnie wtedy zaczął dużo pić. Opowiadała, że kiedy była bardzo mała, uczono ją w szkole czcić jakiegoś stalinowskiego gówniarza, który doniósł na własnego ojca, bo ten gromadził zboże. Śpiewali o nim piosenki, rysowali go i malowali, tego małego syberyjskiego sukinsyna, aż pewnego dnia nauczyciel kazał im przestać śpiewać i podrzeć rysunki, stąd wiedziała, że stało się coś strasznego.

- Nie poczuliście się wolni? - spytałem. - Kiedy skończył się komunizm, nie poczuliście się wolni?

- W Murmańsku czuło się tylko biedę - odparła. - I zimno. Ludzie mówili, że „wolnością się nie najesz”.

Kiedy miała siedemnaście lat, jej matka musiała iść na operację. Teoretycznie rzecz biorąc, wszystko zapewniał rząd, od położnej, która sprowadzała cię na świat, po miejsce na cmentarzu, ale tylko teoretycznie, bo oczywiście musiały zapłacić - musiały przekupić lekarza, zdobyć lekarstwa, mydło i nic do zszycia rany. Dlatego już po tygodniu nauki Masza rzuciła studia i zaczęła pracować jako kelnerka w bazie marynarki wojennej. Do tej pory co miesiąc wysyłała matce pieniądze. Prawie zgadłem: okazało się, że ma dwadzieścia cztery lata, a Katia dwadzieścia.

Spytałem, jak zniosła to, że musiała rzucić naukę, pójść do pracy i poświęcić się dla matki.

- Normalnie - odparła. - Kola, w tamtych czasach nie mieliśmy wielkich nadziei. Pech. Złe jedzenie. Żli ludzie. To nie była niespodzianka.

Siła wewnętrzna i seria nieszczęść - wybrała odpowiednią kombinację, to oczywiste. Była twarda i mądra, na swój sposób starsza ode mnie i młodsza zarazem (choć według moskiewskich standardów dzieląca nas różnica wieku była do przyjęcia). Jednocześnie zdawało się, że jest bezbronna i prawie sama. Wykorzystała odpowiednią mieszankę potrzeb: potrzebę, żeby kogoś uratować - albo przekonanie, że może da się to zrobić - jaką odczuwają chyba wszyscy mężczyźni, i potrzebę bycia uratowaną.

Wiedziałem, że nie mam pieniędzy, jakich się pewnie spodziewała. Ale pomyślałem, że mogę jej zapewnić bezpieczeństwo.

Spytałem, na jakim okręcie służył jej ojciec. Odparła, że nie wolno jej tego mówić, zwłaszcza obcokrajowcowi. Potem roześmiała się głośno i dodała, że pewnie nie ma to już znaczenia.

- Służył na... Jak to się mówi? Na takim od lodu. Takim, który robi drogę dla innych okrętów.

- Na lodołamaczu.

- Tak, na lodołamaczu. Na atomowym lodołamaczu. Dziadek też pływał na lodołamaczu. Podczas wojny łamał lód dla zachodnich statków. Może dla twojego dziadka też.

- Jak nazywał się ten okręt? Twego ojca. - Uznałem, że powinienem o to spytać.

Odrzekła, że nie jest pewna, zapomniała. Ale pomyślała chwilę i powiedziała:

- „Pietrograd”. Lodołamacz nazywał się „Pietrograd”. Na cześć rewolucji. - I uśmiechnęła się jak ktoś, komu udało się wydobyć z pamięci zapomniany, lecz cenny fakt.

Rano, kiedy spała, na wysokości dwóch trzecich jej nosa wypatrzyłem malutką zakrzywioną bliznę, zupełnie niewidoczną od przodu - pamiątkę, jak się domyśliłem, po ojcowskim ciosie na odlew albo po brutalnym chłopaku, pewnie marynarzu. Na środku obydwu białych jak księżyc pośladków znalazłem dwa ciemne pieprzyki. Zauważyłem również malutkie zmarszczki w kąciку oczu. Pamiętam, że zmarszczki te sprawiły, że jeszcze bardziej jej zapragnąłem, bo była dzięki nim realna, prawdziwa, bo była kimś fizycznie namacalnym, kto może umrzeć i nie tylko.

Potem, kiedy piliśmy w kuchni herbatę z plasterkiem cytryny - kubki z Ikei, krzesła z Ikei, większość mebli pochodziła z Ikei, która w Moskwie była wtedy równie nieunikniona jak śmierć i uchylanie się od płacenia podatków (i marskość wątroby) - znowu zaczęła opowiadać mi o ciotce, tej, która mieszkała w Moskwie. Odwiedzały ją z Katią tak często, jak tylko mogły, mimo to za rzadko. Chciała mi ją przedstawić.

- Może po niedzieli - zaproponowała. - Albo za dwa tygodnie. Jest zupełnie sama i tak się cieszy z naszych odwiedzin. Spodobasz się jej. Chyba nie zna zbyt wielu obcokrajowców. Może nawet żadnego. Proszę...

Powiedziałem, że tak, oczywiście. Chętnie poznam jej ciotkę. Masza dopiła herbatę, pocałowała mnie w nos i poszła do pracy.

Była prawie połowa listopada. *Mokryj śnieg* stopniał, ale resztki powstałego podczas październikowych mrozów lodu przetrwały, ukrywając się w szczelinach popękanych chodników i ranach na jezdni, gdzie niczym otoczony przez wroga pluton czekały na odsiecz. Tatiana Władimirowna powiedziała:

- Wejdźcie.

Mów sobie, co chcesz, ale Sowietci są absolutnymi mistrzami świata w układaniu parkietów. Jej parkiet ciągnął się od drzwi zazębającą się jodełką z czasów Chruszczowa, rozległą płaszczyzną, którą na środku podłogi zaburzał wypłowiały turkmeński dywan. Pod sufitem wisiał błyszczący komunistyczny żyrandol, który wyglądał wspaniale, dopóki nie przyjrzało mu się z bliska.

Zdjęliśmy buty, powiesiliśmy płaszcze i Tatiana Władimirowna poprowadziła nas w głąb korytarza. Pamiętam jej mieszkanie lepiej, niżbym chciał. Minęliśmy sypialnię z dwoma pojedynczymi łózkami - tylko jedno było pościelone - z ciemną drewnianą szafą i małą białą toaletką z ozdobnym lustrem. Dalej był drugi pokój, na wpół zastawiony kartonami, potem drzwi do łazienki i ślepa kuchnia z przetartym linoleum i prymitywną lodówką. Ściany saloniku, do którego weszliśmy, były wytapetowane włóchatym brązowym papierem, trochę odstającym w rogu pod sufitem: stała tam półka pełna starych

sowieckich encyklopedii i sprawozdań i duże drewniane biurko pokryte zielonym sukniem. Na biurku czekał rosyjski poczęstunek, jeden z tych, jakie zawsze mnie odrzucały, równie niejadalny, jak ekstrawagancki. Kosztował ją pewnie miesięczną emeryturę i dwa tygodnie przygotowań, wszystkie te kapiące od tłuszczu ryby, trudne do zidentyfikowania kawałki zwierząt w galarecie, połamana rosyjska czekolada, stygnące bliny, śmietana i specjalny słodki ser, który zapieka się w małych bułeczkach.

Okna były zamknięte, a centralne ogrzewanie - wciąż centralnie sterowane przez władze miasta, jak za dawnych czasów - grzało wprost nieludzko. Tatiana Władimirowana wskazała nam wyliniałą sofę.

- Herbata. - To była decyzja, nie pytanie. Powiedziała to i wyszła.

Dziewczyny usiadły i zaczęły coś do siebie szeptać. Wstałem, żeby trochę się rozejrzeć. Okna mieszkania wychodziły na bulwar i staw w Czystych Prudach (czysta woda była oczywiście typowym dla Rosjan pobożnym życzeniem, lecz okolica - centrum Moskwy - cieszyła się coraz większą popularnością). Największe okno wychodziło prosto na staw i otaczające go drzewa. Zlikwidowano już restaurację pod beduińskim namiotem, który rozstawiano latem na pływającej platformie, i wyciągnięto na brzeg gondole oferujące chętnym horrendalnie drogie serenady. Po drugiej stronie stawu stał dziwny niebieski budynek ozdobiony płaskorzeźbami prawdziwych i wyimaginowanych zwierząt, jedna z tych pięknych rzeczy, na jakie można się czasem natknąć w Moskwie, coś jak kwiaty na polu bitwy. Były tam sowy, pelikany, dwugłowe gryfy, krokodyle o dwóch językach i rzucające się na coś, ale jakby ospałe psy.

Skonsternowane listopadowe niebo przypominało ekran niedostrojonego czarno-białego telewizora.

Na ścianie pokoju wisiał komplet talerzy w klasyczny niebiesko-złoty petersburski wzorek i dyplom wyższej uczelni technicznej z Nowosybirsk. Było tam również stare radio z udającego mahoń bakelitu, wielkie ustrojstwo z otwieranym wierzchem. Na półce z książkami stały dwa oprawione w ramkę czarno-białe zdjęcia. Na jednym była młoda para na smaganej wiatrem nadmorskiej skale: ona patrzyła ze śmiechem na niego, on, przedwcześnie łysiejący okularnik, spoglądał w obiektyw aparatu. Nie przypuszczałem, że ludzie w Związku Radzieckim mogli być tacy szczęśliwi. W prawym dolnym rogu zdjęcia widniał biały napis: „Jałta 1956”. Na drugim była dziewczyna rozciągnięta na czymś, co przypominało wielkie koło dla chomika - z zaciśniętymi na brzegu rękami brała chyba udział w jakimś synchronizowanym ćwiczeniu gimnastycznym, bo w kadr weszły dwie inne dziewczyny na identycznych kołach. Przekrzywiwszy głowę i przyjrawszy się uważniej, poznałem, że jest to ta sama szczupła dziewczyna, ta ze zdjęcia na skale, może kilka lat młodsza, z przyklejonym szerokim uśmiechem i w niezamierzenie seksownych szortach. To ona, zrozumiała w końcu moja przekrzywiona głowa. Tatiana Władimirowna.

Za bufetem na biurku stała kolejna fotografia, mężczyzny w okularach, teraz już trochę starszego, siedzącego przy tym samym biurku, na zdjęciu zasłanym starannie poukładanymi dokumentami, wśród których stał stary telefon na korbkę i popielniczka. Mężczyzna odwrócił głowę w stronę fotografującego, ale tylko trochę, jakby praca była zbyt ważna, by mógł się od niej oderwać.



- To mój mąż - powiedziała po rosyjsku Tatiana Władimirowna. Stała za mną z małym srebrzystym samowarem w rękach. - Piotr Arkadjewicz.

Podawała herbatę w tradycyjny rosyjski sposób, wlewając do szklanki trochę mocnej esencji z imbryczka i dolewając do niej gorącej wody z samowara. Każde z nas dostało po miseczce konfitur i łyżeczkę, żebyśmy mogli jeść je z herbatą, na przemian siorbiąc i sącząc w sposób, którego nigdy do końca nie opanowałem.

Rozmawialiśmy. Czasem czułem się jak na rozmowie w sprawie pracy, czasem jak na egzaminie dla przewodników turystycznych po Rosji.

- Kim pan jest z zawodu, Nikołaj?
- Prawnikiem.
- Kim jest z zawodu pański ojciec?
- Nauczycielem. Mama też. Ale są już na emeryturze.
- Podoba się panu w Moskwie?
- Tak, bardzo.
- Gdzie pan był poza Moskwą?

Odparłem, że zwiedziłem parę klasztorów pod Moskwą, ale niestety, zapomniałem, jak się nazywają.

Czy byłem na Syberii, żeby zobaczyć „nasz wielki Bajkał”? Czy wiem, że jest to największe jezioro na świecie? I że w rzekach Kamczatki pływa jedenaście rodzajów łososia?

Przełączyłem się na autopilota. Moje oczy ciągle zerkały na łuk uda Maszy. I wtedy, jak robią to często starzy Rosjanie, Tatiana Władimirowna wspomniała o czymś, co sprawiło, że poczułem się nieskończenie naiwny, jakbym urodził się wczoraj w porównaniu z tym, co przeżyła i widziała ona - była to ekstremalna wersja tego, co się czuje, kiedy się ma dwanaście lat,

a rodzice rozmawiają o czymś tak niezrozumiałym jak podatki czy rozwód. W Rosji może to być opowieść o tym, jak takiego to a takiego wujka skazano na Gułag, skąd już nie wrócił, lub opowieść o banalnym codziennym heroizmie i poniżeniu, o tym, jak ktoś musiał dzielić pokój z rodzicami aż do czterdziestego roku życia, jak cenzurowano mu listy albo jak przez trzy dni stał w kolejce po ziemniaki.

Spytała mnie, czy byłem w Petersburgu. Odparłem, że nie, jeszcze nie, ale że moja matka zamierza mnie odwiedzić, pewnie już wkrótce (nie kłamałem, naprawdę groziła, że przyjedzie), więc może wybierzmy się tam razem.

- Ja stamtąd pochodzę - powiedziała. - Z Leningradu. Urodziłam się w małej wiosce pod Leningradem.

Na wsi, ciągnęła, jej matka doiła krowy i potajemnie się modliła. Ojciec pracował w kołchozie. Po jego śmierci przeprowadziły się do miasta, tuż przed Wielką Wojną Ojczyźnianą, miała wtedy siedem czy osiem lat. Matkę i siostrę straciła podczas oblężenia. Starszy brat, powiedziała wciąż z uśmiechem, zginął w bitwie pod Kurskiem. Kilka lat po wojnie wraz z nowo poślubionym mężem, tym ze zdjęć, wyjechała do Nowosybirska, miasta uniwersyteckiego na Syberii. To dziwne, mówiła, ale na Syberii czuli się niemal wolni, bardziej wolni niż w Leningradzie przed wojną i w Moskwie po. Mąż był naukowcem i - w tym miejscu zawiódł mnie mój rosyjski, chociaż nie jestem pewien, czy poradziłbym sobie nawet po angielsku - wynalazł chyba farbę do malowania wnętrza silosów raketowych, coś w tym rodzaju, farbę tak odporną, że nie spalała się podczas startu rakiety.

- Był wielkim naukowcem - wtrąciła po angielsku Katia.

- Dlatego Tatiana Władimirowna ma mieszkanie w centrum Moskwy - dodała po rosyjski Masza. - Za zasługi dla ojczyzny.

- Tak - potwierdziła staruszka. - Towarzysz Chruszczow dał mężowi to mieszkanie w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim. Wtedy to było duże zmartwienie, jak wystrzelić raketę tak, żeby nie spaliła silosu. Piotr Arkadjewicz bardzo ciężko pracował i w końcu znalazł rozwiązanie.

Natomiast ona wciąż pracowała w niepełnym wymiarze godzin jako przewodniczka w muzeum jakiegoś słynnego rosyjskiego naukowca, o którym nigdy nie słyszałem, gdzieś koło Parku Gorkiego. Mówiła to wszystko z szacunkiem, jakim starsi ludzie obdarzają czasem młodych i pędzą przez historię swego życia, jakby nie chciała, żeby tracili swój cenny młodzieńczy czas. Polubiłem ją. Polubiłem ją natychmiast i lubiłem do samego końca.

- Nikołaj - spytała - więc co pan myśli o naszym małym planie?

Nie miałem zielonego pojęcia, o czym mówi. Zerknąłem na Maszę. Masza wyprostowała się i kiwnęła głową.

- Myślę, że jest świetny - odparłem, chcąc sprawić jej przyjemność.

- Tak - powiedziała Tatiana Władimirowna. - Świetny.

Uśmiechnęliśmy się wszyscy czworo.

- Nikołaj! - zakrzyknęła Tatiana Władimirowna, zrywając się z miejsca i zmieniając temat. - Dziewczęta! Nic nie jedliście.

Stanęliśmy wokół biurka, a ona rozdała nam talerze i dopilnowała, żebym nałożył sobie ryby, której nie znosiłem. Profaktycznie przykryłem ją zimnymi blinami.

Usiedliśmy. Tatiana Władimirowna spytała Katię o uniwersytet.

- To ciężka praca - odparła Katia - ale bardzo ciekawa.

Zapadła cisza, pełna najlepszych intencji, lecz niezręczna.

- Rybka lubi pływać! - zakrzyknęła Tatiana Władimirowna. Wstała, poszła do kuchni i wróciła z pełną butelką wódki i czterema starymi kieliszkami z wytrawionymi na nich płatkami śniegu. Nalała nam, wstaliśmy i tręciliśmy się szkłem.

- Za wasz sukces, dzieci! - powiedziała i w ten skuteczny rosyjski sposób wychyliła kieliszek do dna.

My też wypiliśmy. Poczulem wódkę w ustach, potem w gardle, jeszcze potem w żołądku i wraz z rozlewającym się po piersi ciepłem natychmiast ogarnęło mnie to pełne uniesienia rozradowanie, które sprawia, że alkohol jest takim przekleństwem. Zaczerwieniły mi się policzki, jęknęła wątroba, nabrałem ochoty na nierozważne wybryki. Nie zwracałem sobie głowy jakimś tam planem.

Dziesięć minut później („Za Rosję!", „Za nas!", „Za królową Anglii!") spytałem Maszę po angielsku, czy chce już iść. Odparła, że nie, że musi porozmawiać z cicią. Wiedziałem, że niegrzecznie jest wychodzić, kiedy w butelce jest jeszcze wódka, mimo to powiedziałem, że przykro mi, ale jestem z kimś umówiony.

- Ale nic pan nie zjadł! - zaprotestowała Tatiana Władimirowna, patrząc na mój rozbabrany talerz i załamując ręce.

- Przepraszam - powiedziałem. Dodałem, że było mi bardzo miło ją poznać.

Cmoknąłem dziewczyny w policzek. Gdy popłynąłem przez parkiet po kurtkę i buty, ich ciotka potruchtała za mną.

- Do widzenia - rzuciłem na pożegnanie. - Wielkie dzięki. Do zobaczenia.

- Nic pan nie zjadł - powtórzyła, zamykając za mną drzwi. Szybko zbiegłem na dół, uciekając przed jej ciężką, duszną bezdzietnością.

Oleg Nikołajewicz stał na podeście schodów między naszymi piętrami, w czarnym garniturze, koszuli i czarnym filcowym kapeluszu. Był mrocznie nieskazitelny, nie licząc paru kocich włosów na klapie marynarki. Chyba przystrzygł brodę. Wyglądał tak, jakby szedł na własny pogrzeb.

- Jak się pan miewa, Olegu Nikołajewiczu? - Wciąż byłem trochę wstawiony.

- Normalnie, Nikołaju Iwanowiczu - odparł. - Jak to się mówi po angielsku? Brak wiadomości to dobra wiadomość. Tylko że nie mogę znaleźć naszego sąsiada, Konstantina Andrejewicza.

- Jaka szkoda. Tak mi przykro.

- Mojego przyjaciela Konstantina Andrejewicza - ciągnął. - Mieszka za cerkwią. Nie odbiera telefonów. - Przyjrzał mi się uważnie, jakbym miał zaraz powiedzieć: Aaa, tego Konstantina Andrejewicza! Trzeba było tak od razu. Siedzi u mnie w kuchni.

Ale ja spróbowałem się tylko uśmiechnąć, przybierając jednocześnie zbolalą minę.

- Zobacz pan, wszystko będzie dobrze.

Pamiętam, pomyślałem wtedy, że Konstantin Andrejewicz, kimkolwiek był, wyłączył pewnie telefon albo tak się schlał, że chwilowo ogłuchł. Ale robiłem, co mogłem, żeby potraktować sąsiada poważnie.

- Może pojechał do swego brata, do Tweru?

- Może - odparłem.

- Nie mógłby pan mi pomóc? Pomóc mi go znaleźć?

- Chętnie - odparłem. - Ale nie jestem pewien, czy potrafię.

- Na pewno. Jest pan prawnikiem. Amerykaninem.

- Nie jestem Amerykaninem.

- Ale ma pan kartę kredytową. Ma pan sekretarkę. Może pan porozmawiać z milicją albo z prokuratorem. Ja jestem stary. To jest Rosja.

- Dobrze. Oczywiście. Jeśli tylko będę mógł, na pewno pomogę. Spróbuję. Obiecuję.

Oleg Nikołajewicz podszedł do mnie i przez chwilę myślałem, że chwyci mnie za kłapy albo uderzy. Ale on położył mi rękę na lewym ramieniu i zbliżył usta do mego prawego ucha tak bardzo, że kiedy zaczął mówić, dosłownie czułem tam jego język.

- Szanowny Nikołaju Iwanowiczu - szepnął. - Tylko idiota śmieje się przez cały czas.

## 5

Przypuszczam, że teoretycznie mógł być taki moment, może wczesnym przedpołudniem, kiedy Steve Walsh przez pięć minut wytrzymywał bez łyka kawy czy łyka czerwonego wina - tak jak teoretycznie w życiu trzydziestokilkuletniej Rosjanki może istnieć faza przejściowa między ekshibicjonizmem na szpilkach i otyłością wieku średniego. Ale ilekroć go widziałem, zawsze pociągał jedno lub drugie. Jak większość mieszkających tam zagranicznych alkoholików, stosował taktykę polegającą na tym, że wmawiał sobie, że nim nie jest: zamawiał wino na kieliszki, nawet jeśli wypijał dwanaście czy dwadzieścia za jednym posiedzeniem, co było gorsze dla jego portfela, ale lepsze dla poczucia wartości własnej. Kiedy spotkałem się z nim na lunchu i powiedziałem mu o Maszy, zdążył już przejść z kawy na wino.

- Hmm - odparł, kiedy opisałem mu status naszego związku. - Prosiła cię już, żebyś coś jej kupił? Brylanty? Samochód? Żebyś zafundował jej nowe cycki?

- To nie tak.

-A jak?

- Inaczej. Lepiej nie zaczynaj.

- Myślisz, że leci na twoją urodę?

Technicznie rzecz biorąc, Steve był Anglikiem, ale unikał Anglii i siebie od tak dawna, był w tyłu dalekich krajach - przez trzy lata siedział w Meksyku, przedtem na Bałkanach, a jeszcze przedtem pewnie już sam nie pamiętał gdzie - że na długo przed tym, nim go poznałem, stał się korespondentem, o jakich czyta się u Grahama Greena, obywatelem republiki cynizmu. Wyciągał ze mnie informacje, jakich nie powinienem był mu przekazywać: cynki o tym, jaki kartel pożyczal ile i od kogo, żeby przejąć spółkę naftową czy aluminiową, równania chciwości, które pomagały mu ustalić, kto na Kremlu szedł w górę, a kto spadał w dół, kto mógł zostać kolejnym prezydentem, a komu groził obóz pracy w Magadanie. Udawał, że te cynki sprawdza, a potem wykorzystywał je w artykułach dla „Independenta” i pewnej kanadyjskiej gazety, o której jego londyńscy pracodawcy nic nie wiedzieli. Ja też go wykorzystywałem, bo z nim mogłem porozmawiać po angielsku nie o premiach. Wykorzystywaliśmy się nawzajem. Innymi słowy, byliśmy przyjaciółmi. Myślę, że Steve, ten obleśny blondyn, był moim jedynym prawdziwym przyjacielem w Moskwie.

Kiedyś musiał być przystojny, ale z czasem twarz mu się pomarszczyła i szzerwieniała od wina. Z wyglądu przypominał trochę Borysa Jelcyna.

- Powiem ci coś, tylko nie rób sobie jaj. Chyba się zakochałem.

Nigdy nie byłaś zazdrosna, chociaż z drugiej strony, nigdy nie miałaś o co. Jakoś to przeżyjesz.

- O kurwa - odparł, machając kieliszkiem.

Jedliśmy bief strogonowa we francuskiej restauracji na tyłach centrum handlowego Smoleńsk, gdzie w przerwie między pedikiurem i manikiurem na drinka przychodzą nałożnice pomniejszych oligarchów. Był chyba koniec listopada. Nocą spadł



ciężki, gęsty śnieg, który jak dla kawału w ciągu jednej godziny nie do poznania zmienił całe miasto. Rzeczy brzydkie stały się piękne, a piękne - cudowne. Plac Czerwony zmienił się błyskawicznie w plan filmowy z uginającym się pod białą czapą mauzoleum i oproszonym białą Kremlem po jednej stronie i isticie królewskim domem towarowym, rozświetlonym jak wesołe miasteczko po drugiej. Na podwórzach i cmentarzach hasały hordy bezpańskich psów, z nadzieją węszących w błotnistej mazi. Taksiarze od razu podnieśli ceny: to, jak długo ten czy inny obcokrajowiec przebywał w Moskwie, można było poznać po tym, jak długo negocjował z nimi cenę, tonąc w bieli. Żebraczki, babuszki-szantażystki, przyjęły zimową pozycję, kłęcząc w śniegu z szeroko rozłożonymi rękami. Ale mimo tych wszystkich futrzanych kurtek i kwaśnych min, widać było, że Rosjanie są względnie szczęśliwi. Bo oprócz fatalizmu i barszczy, śnieg jest tym, co ich tworzy, ich i tylko ich.

- Ona też mnie chyba kocha. Albo może pokochać. Na pewno mnie lubi.

- Powiedziała ci to?

-Nie.

- Posłuchaj: jeśli ci to powie, to znaczy, że naprawdę chciała to powiedzieć. W tej jednej konkretnej chwili. Ale gdy dwadzieścia minut później świśnie ci kartę kredytową, też zrobi to szczerze. One są szczerze aż do bólu.

- Steve, byłeś kiedyś zakochany?

- Wiesz, co musisz zrobić? Musisz przestać być taki moralny. Inaczej źle skończysz.

Zmieniłem temat. Postanowiłem spytać go, czy nie mógłby pomóc mojemu sąsiadowi Olegowi Nikołajewiczowi odnaleźć swego przyjaciela. Tak jak mu obiecałem, byłem już na milicji,

ale niczego nie wskórałem. Poszła ze mną Masza; Oleg Nikolajewicz oświadczył w ostatniej chwili, że ma pilne spotkanie, ale przypuszczam, że od wyjścia odwiódł go wrodzony strach przed mundurem. Pryszczaty młokos w dżinsach, detektyw, który raczył nas przyjąć, słuchał gangsterskiego rapu. Nad jego biurkiem wisiał napis: „Kwiatów i czekolady nie piję” oraz czarno-białe portrety cwane go rosyjskiego prezydenta i Erwina Rommla. Posłał nam to specjalne spojrzenie, jakie - podobnie jak Rosjanki - mają i niektórzy Rosjanie, handlową wersję przepustki, uśmiech z cyklu „kasę przyjmujemy tutaj”.

- Musisz mu zapłacić - szepnęła po angielsku Masza.

Odmówiłem, a on powiedział wtedy, że nie ma żadnych dowodów na to, że popełniono przestępstwo, więc nie może nic zrobić. Kiedy już wychodziliśmy, rzucił, że jeśli kiedykolwiek będę spieszył się na spotkanie czy na lotnisko, to może mi wynająć paru motocyklistów do eskorty. („Cóż - mruknął Oleg Nikolajewicz, kiedy opowiedziałem mu o wizycie na komisariacie. - Dopóki żyjemy, możliwe jest, że pewnego dnia będziemy szczęśliwi”).

Pomyślałem, że może Steve ma zaprzyjaźnionego milicjanta, oswojonego *szpiona* albo włamywacza, który mógłby popytać, poruszyć czyjeś wspomnienia albo sumienie.

Powiedział, że niestety, ale ci, których zna, nie zajmują się takimi sprawami. I że to strata czasu, bo Konstantin Andrejewicz już pewnie nie żyje, wpadł do rzeki czy pod samochód albo urznął się trującym bimbrem i wykitował w lesie.

- Za bardzo się do nich przywiązujesz - dodał. - Oni dożywają tylko sześćdziesięciu lat. Zostaniesz tu jeszcze trochę i zacząną ci wymierać znajomi. Jeśli znasz dwóch Rosjan po sześćdziesiątce, są duże szanse, że jeden z nich wykorkuje.

Zwłaszcza facet. Zapijają się na śmierć, zanim zdążą odebrać pierwszą emeryturę. Nudzi ci się w metrze, zagraj kiedyś w rosyjską wersję gry w spostrzegawczość: spróbuj wypatrzeć kogoś starego.

- Masz jakieś inne pomysły? Żeby mu pomóc. Poważnie. To miły staruszek, mój sąsiad. Nie ma kasy, *kryszy* ani niczego. Jestem jego ostatnią nadzieją.

- To jest Rosja, Nick - odparł Steve. - Módl się.

Poddałem sprawę i spytałem, czy wie coś o moim nowym znajomym, o Kozaku. Kozak zainteresował go o wiele bardziej.

- Taki niski? - spytał. - Blady, z obleśnymi oczkami?

- Tak - odparłem. - To on.

- Nie jest nafcierzem - powiedział Steve. - Pracuje dla FSB. - Pewnie nie rozpoznajesz skrótu: FSB to Federalna Służba Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej, dawne KGB minus komunizm i zasady. - Podobno siedział za morderstwo, gdzieś na Uralu, na początku lat dziewięćdziesiątych. Ci z FSB zwerbowali go w pierdlu, wyciągnęli i wysłali na Daleki Wschód, żeby pomagał przy machlojkach z kłusownikami. Nie znam go osobiście, ale kiedyś, w barze na Sachalinie, pokazał mi go pilot holenderskiego śmigłowca. Powiedział, że Kozak kierował tam siatką przemytników kawioru, ale potem przerwali go do szmuglu łososia. Szykowali go na wicegubernatora wyspy, ale znowu został gdzieś przeniesiony. Od tamtej pory o nim nie słyszałem. Pewnie tak dobrze sprawdził się w rybach, że trafił do nafty. Przestępstwa, interesy, polityka, szpiegostwo, typowa rosyjska karuzela.

- Może rzucił FSB i zajął się interesami.

- Oni wszyscy robią jakieś interesy, ale FSB nie rzuca. Nigdy. Byłych KGB-owców nie ma, jak mawia prezydent.

Spytałem go, czy wie coś o pływającym terminalu naftowym na dalekiej północy, tym, który finansowaliśmy. Jak dotąd, wszystko przebiegało gładko: Kozak miał wkrótce dostać pierwszą transzę kredytu. Chmary konsultantów z banków, które go udzielały, opracowały modele przepływu pieniędzy i analizy celowości przedsięwzięcia, natomiast my sporządziliśmy liczące setki stron akty rezygnacji z praw i potwierdzenia rekompensaty. Żeby wszystko było formalnie, chcieliśmy zapewnić sobie gwarancje gubernatora tamtego regionu, gwarancje Nordnieftu co do ilości ropy, którą będą na tę platformę wpompowywali, i gwarancje samego Kozaka co do rachunku depozytowego, na który miały być przelewane pieniądze na spłatę kredytu. Zapewniono nas, że wszystko jest na dobrej drodze. Że budowa pływającej platformy też przebiega zgodnie z planem: Kozak twierdził, że pierwszy ładunek ropy popłynie do cumujących przy niej tankowców już pod koniec lata następnego roku. Jedyny drobny problemem pojawił się w chwili, kiedy Wiaczesław Aleksandrowicz szykował się do wyjazdu na kontrolę, bo okazało się, że mieli tam mały pożar i poprosili nas o kilka tygodni zwłoki.

- Brzmi wiarygodnie - powiedział Steve. - Jest tam tyle ropy, że rurociągi nie wyrabiają się z przepustowością i Rosjanie rozpaczliwie szukają nowych tras eksportowych. Mówił o tym prezydent podczas ostatniej konferencji z telefonicznym udziałem widzów: „To jedno z największych wyzwań dla naszej gospodarki, dlatego liczymy na pomoc i inwestycje naszych zagranicznych partnerów”; ot, zwykła mowa-trawa. Teraz stawiają na transport morski. Chcą dostarczać ropę na rynki europejskie z pominięciem swoich *bolszych соседow*, z którymi coraz częściej się żrą. Mają tam gdzieś niezamarzającą zatokę, chyba gdzieś w Gofsztromie, to pewnie to. Kim są współnicy?

Tylko ta firma logistyczna, odparłem, no i Nordnieft.

- Ciekawe. Posłuchaj, jestem pewien, że twoim bankom nic nie grozi. Ruscy mają ropę i muszą ją opchnąć. Znają zasady: mogą naciągać swoich pod warunkiem, że będą mili dla zagraniczników. Ale zawsze jest jakiś haczyk. Podejrzewam, że stworzyli tę firmę tylko po to, żeby zgarnąć część kasy, żeby Nordnieft nie musiał dzielić się nią z państwem. Wiesz, co znaczy Nordnieft?

- Wiem.

- Narodowa nafta. Głupi, kurwa, żart.

Wezwano go kiedyś do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, gdzie dostał solidny opieprz za to, że pojechał bez pozwolenia do Czeczenii, a potem napisał artykuł, w którym streścił swoje pogawędki ze skruszonymi rosyjskimi zbrodniarzami wojennymi. Ci z ministerstwa zagrozili mu cofnięciem wizy, na co on - tak głosi legenda - powiedział, śmiało, wyrzucicie mnie, zróbcie mi tę przyjemność. Jeśli tak rzeczywiście było, to blefował, bo tak jak wszyscy dziennikarze, których poznałem w Moskwie, kochał Rosję. Miał piwo z całego świata, miał wszystkie luksusowe restauracje, o jakich mógł tylko zamarzyć, ale zachowała się tam również część złych nawyków ze starej szkoły, nawyków na tyle silnych, że trzymały pismaków w ryzach, pozwalając im jednocześnie uciec na drugi koniec świata od tego, od czego uciekali. Większość z nich, a zwłaszcza on, ukrywało tę miłość pod maską swego rodzaju moralnej męskości. Dlatego zachowywał się tak, jakby umowa zobowiązywała go do tego, by dostrzegać we wszystkim i wszystkich to, co najgorsze, albo przynajmniej udawać. Jak na degenerata, potrafił być naprawdę obłudnym kutasem.

- No, nie wiem - odparłem. - Robią tak wszystkie największe

spółki naftowe, to standardowa praktyka: zakładają oddzielną firmę, żeby wyczyścić budżet z długów. Nie tylko Nordnieft, duże zachodnie spółki też. - Nie zmyślałem, była to normalna zagrywka speców od księgowości. Chociaż z drugiej strony, pewnie próbowałem tylko bronić Kozaka, bo Steve dogryzł mnie i Maszy.

- To nie jest zachodnia spółka, Nick. - Steve pociągnął łyk wina. - Musisz zrozumieć, że spadkiem po Związku Radzieckim jest coś odwrotnego, niż miało być. Wszyscy mieli się wzajemnie kochać, a skończyło się na tym, że wszyscy mają wszystkich w dupie. Wszyscy. Społeczeństwo. Udziałowcy. Nawet ty.

Wiedziałem, o czym będzie teraz gadał: o tym, że to nie komunizm zniszczył Rosję, tylko Rosja komunizm, a potem, trzy kieliszki później, o powstaniu państwa kierowanego przez KGB, spuściznie Iwana Groźnego i o względnej przewadze kobiet z Sankt Petersburga. Patrząc w jego usiane plamkami martwe oczy, doszedłem do wniosku, że jest zazdrosny - o mnie i Maszę, o każdego, kto chciał i miał nadzieję być szczęśliwy. Jego chaotyczny wykład o historii Rosji miał już zahaczyć o długofalowe skutki jarzma mongolskiego, kiedy mu wreszcie przerwałem.

- Podle się czuję - powiedziałem, odsuwając talerz. - Wczoraj zabalowałem z Maszą. Chyba już pójdę. Przepraszam. Musimy to kiedyś powtórzyć.

- Wszyscy tak się czujemy. - Steve zerknął na kelnera, uniósł brew i postukał palcem w kieliszek. - To ta pierdolona Rosja. Wóda. Spaliny. Gówniane jedzenie. Te ich zsrane samoloty. Syf, który spada z nieba podczas deszczu; lepiej nie myśleć, co to. Rosja jest jak polon. Od razu atakuje cały organizm.

- Nad czym teraz siedzisz? - spytałem, zakładając szalik.

- Nad artykułem o energii. Duża sprawa. O wiele większa niż ten twój pływający terminal.

- O co chodzi tym razem? O interesy czy o politykę?

- W Rosji - odparł Steve - nie ma historii o interesach. Nie ma historii o polityce. Ani historii miłosnych. Są tylko historie kryminalne.

## 6

Każda zima przynosiła takie chwile, kiedy myślałem, że nie dam rady. Chwile, kiedy miałem ochotę jechać prosto na lotnisko, gdzie bym pewnie pojechał, gdyby nie koszmar tłoku na ulicach. Po chodniku chodziło się wtedy jak po torze przeszkód pełnym śnieżnych kurhanów poprzecinanych wążiutkimi ścieżkami, o przejście trzeba było walczyć z ludźmi idącymi z naprzeciwka. Wiesz, jak to jest w Londynie: wpadasz na kogoś na chodniku, próbujesz go obejść, a wtedy on robi krok w tę samą stronę co ty, i znowu zachodzicie sobie drogę - ale w końcu jakoś się dogadujecie. I uśmiechnąwszy się na tę odrobinę przypadkowej intymności, idziecie dalej. No więc w Moskwie to się nie zdarza. Mniej więcej raz w miesiącu zapominałem podkurczyć palce u nóg w moich wyłożonych futerkiem butach, a wtedy stopy kręciły młynka i leciały w górę, tyłek spadał, ręce zaczynały młócić powietrze i przeżywałem długą, bardzo długą sekundę grozy, czekając, aż grzmotną zadkiem w lód.

No i są tam jeszcze pomarańczowe ludziki. Raz w roku, po pierwszym porządnym śniegu, ktoś od burmistrza naciska guzik i niczym armia pokojowo nastawionych przybyszów z obcej planety, jak spod ziemi - a raczej zza moskiewskiej obwodnicy - na ulicach wyrasta tłum ubranych w pomarańczowe



kombinezony robotników, współczesnych smerfów z Tadżykistanu, Uzbekistanu czy jakiegoś innego stanu. Jeżdżą po mieście przedpotopowymi ciężarówkami, zgarniają łopatami śnieg na kupę i chemikaliami, które mogłyby służyć jako broń masowej zagłady, usuwają płyty opornego lodu. Na mojej ulicy cały śnieg zgarnęli na jedną stronę, grzebiąc pod nim zostawione tam nieopatrznie samochody, łącznie z coraz bardziej rdzewiejącym żiguli. Noc w noc, mniej więcej o czwartej nad ranem, przychodzili ze szpadlami, żeby skuć lód z chodników, hałasując tak, że obudziliby nawet umarłego - przypominało to zgrzytliwy pisk przesuwanych po tablicy paznokci, przeplatany stoczniowym hukiem i przeraźliwym zawodzeniem napalonych kotów. Najgorsza w tym wszystkim była moja podła niewdzięczność. Nie znosiłem ich, jednocześnie wiedziałem, że to, iż ja siedzę w ciepłe, czasem nawet z kobietą u boku, podczas gdy oni łamią sobie kark na dworze, jest tylko głupim przypadkiem.

Pewnego zręczliwego wieczoru pod koniec listopada, zamiast jechać na lotnisko, uciekłem do Maszy, do sklepu z telefonami niedaleko stacji metra Nowokuźniecka, gdzie pracowała. Nie wiedziała, że zamierzam przyjść. Skręciwszy w prawo, w kierunku Galerii Trietiakowskiej, minąłem opuszczoną cerkiew i mieszczącą się naprzeciwko podziemną restaurację, gdzie uprzywilejowane rosyjskie dzieciaki przychodziły słuchać gniewnej muzyki i udawać dysydentów. Krok dalej był sklep Maszy. Zajrzałem przez okno.

Siedziała za biurkiem w opasce na włosach, słuchając, jak ubrana w marmurkowe dżinsy młoda para wyłuszcza swoje telefoniczne potrzeby. W poczekalni brało się numerek z automatu i czekało, aż zostanie się wezwanym do pomieszczenia, gdzie pracowała Masza i inni sprzedawcy. Panowało tam praw-

dziwę pandemonium, atmosfera jak na arce Noego. (W Moskwie było wtedy więcej telefonów komórkowych niż mieszkańców, podobno dlatego, że wszyscy mężczyźni kupowali osobne komórki do rozmów ze swoimi kochankami). Siedząca w kącie kobieta jęczała jak podczas porodu. Wytarłem zaparowane okulary i już zacząłem przepychać się przez tłum, gdy otworzyły się wewnętrzne drzwi i na spotkanie wyszła mi Masza.

- Kola - powiedziała z tym swoim niesamowitym chrapliwym warkotem, głosem, który przenikał mnie na wskroś. - Zaczekaj na mnie u Raskolnikowa na Piatnickiej. Przyjdę za dwadzieścia minut.

- Dobrze. - Dolna połowa w obcisłych czarnych spodniach, krągłości górnej złagodzone przez firmową zieloną bluzę - długo patrzyłem, jak wraca za biurko.

Zrobiłem, co kazała, i czekałem na nią u Raskolnikowa, w ciepłej knajpce, która ukryła się na małym podwórku tak dobrze, jakby nie chciała, żeby ją znaleziono. W końcu pojawiła się Masza, najpierw na podwórzu. Była w kurtce z czegoś, co przypominało czerwoną kołdrę z patchworku, tyle że seksowniejszą. I w szpilkach na siedmioipółcentymetrowych obcasach, które włożyła po pracy i w których chodziła po śniegu jak Jezus po wodzie. Zimowe zawieszenie miała wprost doskonałe. Weszła do środka, zdjęła kurtkę i usiadła naprzeciwko mnie.

- Jak tam w pracy? - spytałem.

- Co ci jest? - odparła.

Chciałem powiedzieć: nie wiem, co tu robię, nie tylko w Rosji, ale w ogóle, jestem samotny, kocham cię.

Ale tylko chciałem, bo, jak się pewnie domyślasz, oczywiście nie powiedziałem. Zamiast tego wymamrotałem coś bardzo angielskiego. Że jestem trochę przybity, trochę zmęczony, że

chciałem ją zobaczyć i mam nadzieję, że w niczym jej nie przeszkodziłem.

- Posłuchaj, w sobotę jedziemy na daczę.

- Na jaką daczę?

Rosyjska dacza to miejsce materialne, wyjątkowo materialne, pierwotne ustronie, gdzie sady się ziemniaki, marynuje cebulę i chodzi na ryby. Ale jest to również zakątek wyobraźni, miejsce, które nie jest Moskwą, zacisze bez korków, kanciarzy i milicji.

- Na daczę dziadka mojej przyjaciółki Ani. Ale on tam nigdy nie jeździ. Jest tam bania, upieczemy szaszłyk. Z Katią. Poczujesz się lepiej.

- OK - odparłem. - Dobrze.

- Ale najpierw, z samego rana, pojedziemy do Butowa.

- Do Butowa? Po co?

- Z Tatianą Władimirowną.

- Po co Tatiana Władimirowną jedzie do Butowa?

Butowo to dzielnica, która przywarła do południowego skraju stołecznego molocha, coś, co było pewnie oddzielną wioską, zanim Moskwa rozrosła się, by wessać ją, tak jak londyńskie metro wessało wioski w Middlesex.

- Może zechce tam zamieszkać, więc w sobotę pojedziemy, żeby się zdecydowała. - Przypomniało mi się, jak wspominały o jakimś planie, tego popołudnia, kiedy przedstawiły mnie swojej ciotce. Pomyślałem, że pewnie o to chodziło.

Masza włożyła rękę pod stół, położyła ją na moim kolanie i przesunęła paznokciami po wnętrzu uda.

- Nie martw się, Kola - powiedziała. - Kocham cię.

W sobotę zadzwoniliśmy trzeszczącym domofonem do Tatiany Władimirownej i spytaliśmy, czy jest gotowa.

- Zawsze gotowa - odparła, wpuszczając nas do środka, żebyśmy nie musieli czekać w błocie. Masza wyjaśniła mi, że „Zawsze gotowy” było hasłem pionierów, sowieckiego odpowiednika skautów, których uczono demaskować szpiegów, donosić na kułaków i budować ogniska młodzieżowe.

Tatiana Władimirowna zeszła na dół w czymś w rodzaju ocieplonej zimowej bluzy, brązowej i wywatowanej, w jaskrawoniebieskim szaliku, mitenkach i butach, które w Luton, w latach osiemdziesiątych, nazywaliśmy księżycowymi. Niosła dużą plastikową torbę, w której, jak się okazało, miała słoik marynowanych śledzi, kilka ugotowanych na twardo jaj i termos ze słodzoną herbatą. Kiedy tylko przesiadliśmy się na Borowickiej, by wyruszyć w długą trasę do Butowa, zaczęła nam to wszystko wciskać. W brązowym papierku miała zwiniętą sól, żebyśmy mogli posypać nią jajka.

- Dawno temu - szepnęła do mnie po rosyjsku - jeździłam tam z Piotrem Arkadjewiczem na grzyby i popływać w stawie. Ale wtedy nie było metra. Jechaliśmy autobusem, a potem szliśmy piechotą.

Masza powiedziała, że jedziemy do Butowa, ponieważ Tatiana Władimirowna zna niejakiego Stiepana Michajłowicza, którego firma buduje nowy blok na skraju miasta, i zastanawia się, czy się tam nie przeprowadzić. Na wiosnę przechodziła na emeryturę i chciała uciec z centrum Moskwy, gdzie było za dużo samochodów, przestępców i gdzie nie było lasu. Plan polegał na tym, żeby zamienić jej mieszkanie na to nad stawem w Butowie.

Masza wyjaśniła, że to spuścizna po sowieckich czasach, taka zamiana. Dawniej, tłumaczyła, ludzie nie mieli mieszkań na własność - nie mieli na własność nic oprócz grobu - ale mogli

zamienić się prawem do zamieszkiwania w danym lokalu z kimś, kto miał prawo do zamieszkiwania w innym. Niektórzy zamieniali się tak i teraz, częściowo z obawy, że jeśli sprzedadzą mieszkanie za gotówkę, to wszystko przepiją. W tym przypadku, mówiła, Stiepan Michajłowicz pewnie ciotce dopłaci, bo mieszkanie w centrum jest warte więcej niż nowe w Butowie. Nie dogadali się jeszcze ile, zamierzali omówić to później. Tego dnia mieliśmy się z nim spotkać, ze Stiepanem Michajłowiczem, potem wrócić do Moskwy po rzeczy i innym pociągiem pojechać na daczę.

Stara część moskiewskiego metra, ta w centrum miasta, to system komunikacji podziemnej, jaki może powstać, jeśli marniakalnemu tyranowi dać w prezencie cały marmur, onyks i wszystkie zasoby ludzkie jednorazowego użytku, o jakich tylko może sobie zamarzyć. Ale malachit, witraże i fantazyjne płaskorzeźby znikają na długo przed tym, jak, przebiwszy się na powierzchnię, metro dociera do Butowa, gdzie kończy bieg. Kiedy wyszliśmy ze stacji, wokoło zobaczyliśmy bloki, białe, brzoskwińowe i ładniejsze niż te sowieckie, z prześwitującymi między nimi splechawkami szczeciniastych brych trawników.

Zatrzymaliśmy jakiś samochód i pamiętam, że w drodze na budowę kierowca przez cały czas trajkotał jak karabin maszynowy, oplakując straconą młodość i ojczyznę. Za czasów Związku Radzieckiego, mówił, był inżynierem. A dzisiaj, mówił:

- Chińczycy są dla nas za cwani... Rozdajemy wszystkie bogactwa naturalne... a każdy, kto dobieje czterdziestki, jest w Rosji skończony.

Dojechaliśmy do miejsca, gdzie kończyły się bloki, i skręciliśmy w lewo.

Budynek, przed którym się zatrzymaliśmy, znaczył południowy skraj Moskwy. Po jednej stronie drogi było miasto i stres, po drugiej Butowo, jakie Tatiana Władimirowna pamiętała sprzed pięćdziesięciu lat, rozchwierutana rosyjska idylla pełna koślawych drewnianych domków i małych sadów rosnących z boku i za nimi. Za domkami, takimi z bogato zdobionymi ramami okien, krzywymi płotami i zardzewiałymi dachami, była kępa srebrzystych brzoź, a za nią brązowiejący las - las, w którym chyba wciąż można było zbierać grzyby.

Dochodziło wpół do jedenastej. Staliśmy przed wejściem do bloku, przytupując i czekając na Stiepana Michajłowicza. Było zimno, ale zdążyłem już przejść na moją sezonową kurtkę zimową, coś w rodzaju wyłożonego termonuklearną podszewką czarnego kombinezonu narciarskiego, w jakim chodzi ludek Michelina, dzięki któremu krew krążyła w żyłach nawet podczas napoleońskich zim. Powietrze było tam mniej gryzące niż w centrum miasta. Czuliśmy zapach sosen.

Masza gdzieś zadzwoniła. Potem powiedziała:

- Już jedzie, Stiepan Michajłowicz już jedzie.

Przyjechał pięć minut później. Chudy, z małym kucykiem i o nerwowym uśmiechu mógł mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat, ale ponieważ mnóstwo ambitnych rosyjskich biznesmenów było w okresie pokwitania, i to dosłownie, zupełnie mnie to nie zaskoczyło. Uścisnął rękę Maszy, Kati i mnie, uklonił się Tatianie Władimirownej. Weszliśmy do środka, on jako ostatni, macając po ścianie w poszukiwaniu elektrycznego kontaktu. Blok był niewykończony, ściany niepomalowane, podłoga w holu niewyłożona, nie działało ogrzewanie. W środku panowała taka sama zimnica jak na zewnątrz. Windy jeszcze nie zainstalowano, więc odsuwając na bok niesforne kable elektryczne, które ucie-

kały spod obejm na suficie, betonowymi schodami weszliśmy na siódme piętro, gdzie mieściło się przysze mieszkanie ciotki Maszy i Kati. Tatiana Władimirowna nie chciała wesprzeć się na moim ramieniu, ale zatrzymała się dwa razy, żeby się pochylić, odetchnąć i złapać się za kolana. Pachniało farbą i klejem.

Na siódmym piętrze Stiepan Michajłowicz otworzył odporne drzwi kluczem i ramieniem. Mieszkania, nagiego i w kolorze tynku, też jeszcze nie wykończono, ale było już widać, jakie ma być - mały ikeński raj z dużymi oknami, dość wysokim sufitem, dwiema sporymi pudełkowatymi sypialniami i połączoną z salonikiem kuchnią. Miało dwa balkony, jeden w pokoju od strony miasta, drugi w saloniku z widokiem na las.

- Widzi ciocia? - powiedziała Masza, kiedy stanęliśmy na środku saloniku. - Nie będzie już ciocia musiała nosić jedzenia z kuchni, tak jak teraz.

Tatiana Władimirowna nie odpowiedziała, tylko wyszła na balkon. Poszedłem za nią, upewniwszy się, że zdążę odskoczyć, gdyby nagle runął. Z góry widać było chaotyczną szachownicę małych działek po drugiej stronie drogi, parę przywiązanych kóz i błyszczące oko zamarzniętego stawu między drzewami. A nad tym wszystkim, na mlecznym listopadowym niebie, świeciło zamglone słońce, dojrzałe, lecz wciąż silne. W kwietniu - między roztopami i letnią eksplozją zieleni - albo w połowie surowego października widok byłby pewnie nagi i przygnębiający. Ale wtedy, kiedy staliśmy tam i patrzyliśmy, części starych traktorów, porzucone lodówki i ławice butelek po wódce były niewidoczne, jak co roku zepchnięte w niebyt przez warstwę śniegu. Śnieg pozwalał zapominać o bliznach i skazach, był jak chwilowa amnezja dla znękanego sumienia.

Tatiana Władimirowna wzięła głęboki oddech i westchnęła.

Oczywiście wyobraźni widziała już pewnie, jak przez resztę życia, do końca tego szczęśliwego i nieoczekiwanego epilogu, robi maźniowe kompoty, które stare Rosjanki lubią fermentować, i rozmawia z babuszkami w chustce na głowie, udając, że ostatnich siedemdziesięciu lat nigdy nie było.

- Podoba się cioci? - spytała Masza.

Tatiana Władimirowna nie odpowiedziała i tym razem, ale weszła do środka i obeszła salonik. Przystanąła przy oknie wychodzącym na kraniec miasta i początek wsi. Widać było z niego białe wieże przycupniętej w lesie cerkiewki, małe złote kopuły i wieńczące je srebrzyste prawosławne krzyże.

- Tutaj - powiedziała - postawię chyba biurko Piotra Arkadjewicza. Co pan na to, Nikołaju?

- Tak, tu będzie bardzo dobrze - odparłem.

Naprawdę tak myślałem, naprawdę myślałem, że mieszkanie jest ładne i w sam raz dla niej. Ale myślałem za słabo. Chciałem wrócić do miasta i pojechać na dachę, gdzie czekała bania i noc.

- Właśnie - powiedziała Katia, uśmiechając się zagadkowo z zaróżowionym od mrozu słodkim noskiem. - Mieszkanie jest bardzo ładne. Piękne. I jakie świeże tu powietrze!

- Stiepanie Michaj łowiczu. - Masza podeszła do niego w swojej czerwonej kurtce, dotykając jego ramienia. - Jak pan myśli, kiedy skończycie ten blok?

- Gdzieś za miesiąc - odparł. Zabrzmiało to bardzo optymistycznie, chociaż z Rosjanami nigdy nie wiadomo. Przez dziesięć lat mogą taplać się w błocie i wódzie, a potem, jeśli tylko dobrze się przyłożą i znajdą odpowiednią motywację, w pół dnia potrafią wyczarować drapacz chmur albo rozstrzelać carską rodzinę.

Stiepan Michajłowicz zrobił pauzę i dodał:



- Myślę, że cioci będzie tu bardzo dobrze. Czysto tu, ładnie, nie ma samochodów ani imigrantów.

Tatiana Władimirowna uśmiechnęła się i znowu wyszła na balkon, tym razem sama. Podniosła do oczu rękę. Chyba płakała, ale stała tyłem do mnie, więc nie byłem tego pewien.

Nie zrobiłem nic, czego musiałbym się wstydzić, prawda? Co można by obrócić przeciwko mnie. Przecież nie. Jeszcze nie.

Chcieliśmy odwiedzić ją do domu, ale tylko machnęła ręką. Pożegnaliśmy się więc, zostawiliśmy ją w pociągu, a sami przesiadaliśmy się na czerwoną linię, na dwa przystanki do Puszkińskiej, i Bolszoją Bronnoją doszliśmy do supermarketu na rogu mojej ulicy. Przy ladzie w dziale mięsnym zrobiłem kolejny gest zrozumiały chyba dla każdego Rosjanina, podobnie jak ten z niewidzialnymi pagonami, który Masza pokazała mi w Mieczcie Wostoka, i ten z pstryczkiem w szyję. Wyciągnąłem przed siebie ręce i przekręciłem dłonie, jakbym otwierał dwoje wyimaginowanych drzwi. Sprzedawca spojrzał na mnie i o nic nie pytając, zawinął w papier kilo marynowanej baraniny na szaszłyki. Na eleganckim dworcu Białoruskim wsiedliśmy do pociągu podmiejskiego w kierunku przeciwnym niż do Butowa i pojechaliśmy na obiecaną daczę.

W rozklekotanym pociągu spędziliśmy godzinę i pamiętam, że przez cały ten czas niczym trupa kabaretu obdartusów tłoczyli się wokół nas ganiający się po wagonach żebracy i obnośni sprzedawcy, którzy próbowali wcisnąć nam piwo, papierosy, prażone pestki słonecznika, płyty DVD z przemytu i uniwersalne perfumy (do przyskania się i picia). Albo grali na akordeonie lub opowiadali, jak stracili nogę czy męża w Czeczenii. Były tam prostytutki, uciekinierzy, różnego rodzaju ludzkie wraki

i ofiary losu. Dałem sto rubli ubranej w cienkie palto staruszcze z krzywą twarzą. Około trzeciej wysiedliśmy.

I od razu zrobiło się pięknie. Na stacji była tylko drewniana platforma na palach i stara tablica z napisem „Oriekowo” czy „Palinkowo”, w każdym razie z jedną z tych pretensjonalnych przedrewolucyjnych wiejskich nazw, które zmieniono podczas kolektywizacji, a potem, po upadku muru, z powrotem przywrócono. Staliśmy tam samotnie, krzyżując parujące oddechy i rzucając na śnieg ostre cienie. Wokół nas rósł las, drzewa z gałęziami pokrytymi białym lukrem. Z Maszą i Katią pod ramię ostrożnie zszedłem schodkami na końcu platformy i przecięłem tory z drewnianymi podkładami. Zasypaną ścieżką przez kępę srebrzystych brzoź, których przebiegle spadziste gałęzie nie zatrzymywały śniegu, ruszyliśmy w kierunku czegoś, co wyglądało na ludzkie osiedle.

Dziwna jest ta Rosja, kraj tylu utalentowanych grzeszników i kilku świętych, takich prawdziwych, których wydać może tylko wytrawne okrucieństwo, obłąkana kombinacja plugastwa i chwały. Podobnie było tego popołudnia. Osiedle okazało się wioską, jedną z tych rosyjskich wiosek, które wyglądają tak, jakby przed chwilą skończyła się tam wojna, chociaż wcale się jeszcze nie skończyła, jednym z tych miejsc, skąd puciekali wszyscy trzeźwi i zdrowi, pozostawiając za sobą tylko umysłowo chorych, przestępców i milicjantów. Był tam jeden sklep. Pod drzwiami stało dwóch wycieńczonych przez alkohol brodaczy, pewnie czekając na trzeciego, żeby obalić z nim butelkę wódki. Kupiliśmy wodę do picia i węgiel drzewny.

Dziewczyny niosły torby i węgiel, ja wodę, wielkie plastikowe butle z uchwytemi, które wbijały się głęboko w moje zimowe rękawice. Kazały mi skręcić na dróżkę biegnącą wzdłuż szarych

budynków i prowadzącą do małej zardzewiałej furtki. Masza otworzyła ją wielkim, starym kluczem i znowu znaleźliśmy się w Rosji jak z bożonarodzeniowej kartki, takiej naiwnie białej, z brzozaami i stężalymi w ciszy sosnami. Kiedy szliśmy przez śnieg, trzask pękających pod nogami gałązek brzmiał jak trzask bicia odbijający się echem od otaczających nas drzew. Sto metrów dalej był na wpół zamarznięty strumień, strużki wody płynęły wartko między zachodzącymi na siebie tafłami lodu. Pokonaliśmy go dzięki rozkołysanej kładce bez kilku desek. Czułem się na niej jak na wielkiej huśtawce w wesołym miasteczku, jak statysta w syberyjskiej wersji *Indiany Jonesa*.

Po drugiej stronie strumienia, rozrzucone między drzewami, stały dache, zakopane w śniegu rachityczne drewniane domki. Z komina jednego z nich szedł dym, pozostałe zdawały się opuszczone. Niczym ozdobne sztylety, z dachów zwisały długie sople. I nigdzie żywej duszy.

Nasza dacza, piąta czy szósta w rzędzie, stała w położonym trochę niżej ogrodzie, na dziewiczym śniegu naruszonym jedynie przez geometryczne wzory ptasich łapek. Złowieszczo przekrzywiona, jak wieża w Pizie, przypominała domek z niemej komedii slapstickowej, taki, który za chwilę runie i obejmie nas pustą ramą okienną wśród nieszkodliwych gruzów. Ale w środku była zaskakująco przestronna. W pokoju od frontu stał - dosłownie i w przenośni - stary zegar szafkowy, na ścianach wisiały zdjęcia przodków w rozłazących się ramach, a pod sufitem dyndała naga żarówka. Była tam również stara sofa, kiedyś pewnie czyjś skarb, ze złocistym, teraz już połatanym obiciem i bocianami w gnieździe rzeźbionymi w drewnianych oparciach. W drugim pokoiku znaleźliśmy kuchenkę gazową, butlę, stół i - ku mojemu zaskoczeniu - schody prowadzące do

sypialni na stryszku. W sypialni było pojedyncze łóżko i pomalowane przez mróz okno na las.

Masza natychmiast rzuciła się na kolana, by z kosza przy drzwiach wyjąć kilka polan i włożyć je do pieca - starego rosyjskiego pieca wbudowanego w ścianę, takiego, na jakich sypiała kiedyś służba. Katia poszła rozpaścić banię w oddzielnej chatce z własnym piecem i kominem dwadzieścia metrów za domem, prawie wśród drzew. Masza wskazała mi grilla, wielofunkcyjną metalową rynnę z przykręcanymi nogami, która tkwiła pod stołem.

Rozwinąłem mięso, to z Moskwy, i ułożyłem je na pokrytym imponującą warstwą tłuszczu rożnie. Potem wyszedłem na dwór, z grillem i węglem. Stałem tam samotnie, doglądając ognia w zimowej ciszy. Znowu zaczął padać śnieg i na węglach topniały z sykiem szerokie, nieważkie płatki. Pamiętam, że doświadczyłem wtedy uczucia błęgiego zadowolenia, jakiego doświadczają czasem ci, co są na wygnaniu. Byłem daleko od wszystkich i wszystkiego, od ludzi, o których nie chciałem myśleć - łącznie z samym sobą, dawnym mną, obojętnym prawnikiem wiodącym nijakie życie, które zostawił za sobą w Londynie. Mną, jakiego znasz dzisiaj. Byłem gdzieś, gdzie tego dnia, gdzie codziennie mogło zdarzyć się dosłownie wszystko.

Godzinę później siedzieliśmy obok siebie na sofie w ogrzanej już daczy, jedząc baraninę z płaskim armeńskim chlebem i gruzińskim sosem z granatów, pijąc schłodzoną w śniegu wódkę z wyszczerbionych szklanek i zapijając ją piwem. Masza rozpuściła włosy. Dziewczyny jadły z cichym, skupionym oportunistycznym, który Rosjanie zdają się mieć we krwi.

- Podoba mi się twój przyjaciel - powiedziała Katia.
- Który?

- Ten z klubu. Z Rasputina. Ten, który nam pomógł.

- On nie jest moim przyjacielem - powiedziałem.

- Może to szkoda - wtrąciła Masza. - To przydatna osoba.

Uśmiechnęła się, chociaż nie sądzę, żeby żartowała. Zjednywała mnie jej szczerość. Ale nie chciałem rozmawiać o Kozaku.

- Kto to jest Ania? - spytałem.

- Kto? - nie zrozumiała Katia.

- Dziewczyna, do której dziadka należy ten dom.

- Jej dziadek ma tę dacie, bo pracował na kolei - wyjaśniła Katia. - Cały ten teren należał do kolei, więc rozdali wszystkim po kawałku. Ale on tu nigdy nie był, a ona mieszka teraz w Niżnym Nowgorodzie. Zresztą on już chyba nie żyje. Ania też jest naszą siostrą.

- Macie jeszcze jedną siostrę?

Dziewczyny się uśmiechnęły. I zawahały.

- Wiesz - odparła Masza - słowo „siostra” znaczy w Rosji nie tylko córka rodziców. Można tak również mówić na córkę ich brata albo siostry. Po angielsku taka siostra nazywa się chyba inaczej, tak?

- Kuzynka - odparłem. - Nie wiedziałem.

-*Da*- powiedziała Masza. - Kuzynka.

- A jaką siostrą jest Katia? - spytałem.

- Ona też jest kuzynką - odrzekła z wahaniem Masza.

- Tak - potwierdziła Katia z policzkami zaczerwienionymi od sosu i wódki. - Jestem kuzynką. - Młasnęła i oblizała palce.

- Twoja rodzina też mieszka w Murmańsku? Z matką Maszy?

- Chyba tak. Tak, w Murmańsku.

A więc nie były siostrami. W ogóle nie były tymi, za kogo je brałem. Po raz pierwszy poczułem się w ich obecności jak w moskiewskiej taksówce, kiedy, uświadomiwszy sobie, że ta-

ksiazarz jest pijany albo obłąkany, siedziałem z tyłu z ręką na kłamece, zastanawiając się, w którym momencie wyskoczyć i doskonale wiedząc, że nie wyskoczę. Nie wyskoczyłem i wtedy.

Mogłem wypytać je dokładniej o rodzinę i ich pokrewieństwo, ale Masza odsunęła talerz i powiedziała:

- Chodźmy, bania gotowa.

W bani był malutki, oślizły przedpokój wielkości dużej szafy, ciasne pomieszczenie z paroma haczykami w ścianie i drzwiczkami pieca, do którego Katia wrzuciła jeszcze kilka polan. Staaliśmy tam przez kilka sekund jak obcy sobie ludzie stłoczeni w zimnej windzie. Potem zdjęliśmy ubranie, potarając się i ocierając o siebie pupami i łokciami. Obie były w stringach - odniosłem wrażenie, że wszystkie niezamężne Rosjanki noszą je z nakazu prawa - Katia w różowych z falbankami i takim samym staniku, Masza nie pamiętam w jakich. Bieliznę też zdjęły. Ja ściągnąłem moje eleganckie bokserki, które tak starannie wybierałem. Okulary schowałem do buta.

- Dobrze - powiedziała Masza. - A teraz szybko! - I żeby z bani nie uciekło ciepło, na łeb na szyję wpadliśmy do środka.

Nie było tam żadnych u Jogodnień, jakie serwuje się gościom w luksusowych moskiewskich łaźniach, do których chodziłem czasem z Paolem. Ale tę banię na pewno pamiętam najlepiej. Była tam chropowata ława domowej roboty i jedno okno, przez które wpadało gasnące światło dnia. Ze ściany naprzeciwko wystawała metalowa płyta, tył pieca: żeby zrobić parę, wystarczyło chlusnąć na nią wodą z małego kubła. W środku było już nieprawdopodobnie gorąco. Usiedliśmy na ławie, próbując nie dotykać nogami rozgrzanej podłogi. Siedziałem w najgorętszym miejscu, najbliżej pieca, Katia w dość mrocznym kąci pod oknem. Była to jedna

z tych sytuacji, kiedy próbujesz nie patrzeć, lecz patrzysz, pocieszając się tym, że pewnie powinieneś. Miała piersi manekina, jędrne i większe niż Masza, i nie była naturalną blondynką.

Siedzieliśmy tak, ocierając się o siebie, a mój pot mieszał się z ich potem i spływał na podłogę.

- Więc co myślisz o Butowie, Kola? - spytała Katia. - To dobry dom dla Tatiany Władimirownej?

- Tak, bardzo ładny.

- No, nie wiem - powiedziała Masza. Jej nogi były ledwo widoczne, twarz ginęła w mroku. - To bardzo daleko. Bardziej podoba mi się jej stare mieszkanie.

- Ale jeśli Tatiana Władimirowna chce mieszkać w Butowie - ciągnęła Katia - to może jej pomożesz. Z papierami. Tymi prawniczymi. Dla Stiepana Michajłowicza. To stara radziecka kobieta, ona ich nie rozumie.

Trudno było rozmawiać, bo kiedy tylko otwierałem usta, gardło parzył mi strumień gorącego powietrza, powiedziałem więc tylko:

- Tak.

Smażyliśmy się tam może przez dwadzieścia minut. Od wódki kręciło mi się w głowie i chciałem wyjść już po pięciu, ale wstydzilem się uciec jako pierwszy. Wreszcie Masza powiedziała:

- A teraz się umyjemy.

-Jak?

- Śniegiem - odparła Katia.

- Wskoczymy w śnieg - wyjaśniła Masza.

- To chyba niebezpieczne. No, wiecie... - Zrobiłem gwałtowny wddech i wskazałem swoją pierś. - Serce.

- Życie jest niebezpieczne - odparła Masza, obejmując mnie mokrym ramieniem. - Nikt go jeszcze nie przeżył.

Stąpając po zalanej potem podłodze, wyszliśmy stamtąd i zamknęliśmy drzwi. Przebiegliśmy przez szatnię. Masza i Katia zanurkowały z chichotem w łachę nietkniętego, głębokiego śniegu pod płotem, gdzie rosła ociężała sosna. Zadrzałem i trzy sekundy później poszedłem w ich ślady.

Na moment stanęło mi serce. Śnieg błyskawicznie pochłonął całe ciepło i poczułem się tak, jakby ktoś dał mi klapsa ze wszystkich stron naraz albo jakby użądliło mnie tysiąc pszczoł, ale użądliło życzliwie, dla zdrowia. Co więcej, poczułem się tak, jakbym zrobił coś zwariowanego, skoczył ze spadochronem albo obrabował pociąg i wyszedł z tego cało. Mrowiący ból był dowodem, że wciąż żyję, że żyje każdy centymetr kwadratowy mego ciała żyje intensywniej niż kiedykolwiek.

Tę prawdę odkryłem o wiele za późno. Rosjanie potrafią robić rzeczy niemożliwe: rzeczy pozornie nie do zrobienia, takie, które nie przyszyby ci nawet do głowy. Podpałą Moskwę, żeby nie zajęli jej Francuzi albo wytrują się nawzajem w obcym mieście. Zrobią to, a potem będą zachowywali się tak, jakby nic się nie stało. I jeśli pomieszkasz tam wystarczająco długo, też się taka staniesz.

Kiedy wstaliśmy i kiedy spojrzałem na śnieg, w mroku już trochę ściemniały, lecz wciąż świetlisty, w zagłębieniu pozostawionym przez ciało Maszy moje pozbawione okularów słabe oczy dostrzegły kształt anioła. Z drętwiejącymi stopami i lodem we włosach wbiegliśmy do bani. Katia chwyciła swoje rzeczy i popędziła nago do daczy. Sięgnąłem po buty, ale Masza odebrała mi je, rzuciła na podłogę i zaprowadziła mnie z powrotem pod rozgrzany piec.

- Miałycie banię w Murmańsku? - spytałem.

Prawie nie widziałem jej w tej rozpalonej szarówce.



-Tak.

Nie powiedziała nic więcej.

Początkowo czułem się dziwnie, bo od śniegu była zimna jak trup, wszędzie, z wyjątkiem ust, zimna, lecz elektryzująco mokra. Była moim prywatnym niebytem, osobistą lawiną w rzadkim powietrzu bani. Na kilka chwil wymazała z mojej pamięci przyprawiającego o gęsią skórę Kozaka, moje zmarnowane trzydzieści osiem lat i wszystkie wątpliwości.

Obudziłem się w nocy, nie mając pojęcia, gdzie jestem. Pamiętam, uspokajałem się myślą, że leżę w moim łóżku w Birmingham, w ostatnim akademiku, w jakim mieszkałem, przy jednej z niebezpieczniejszych ulic w Edgbaston. I wtedy zobaczyłem Maszę śpiącą obok mnie pod wytartą kołdrą w wąskim łóżku na poddaszu. We wpadającym przez okno świetle księżyca drobniutkie włoski na kręgach jej szyi błyszczały niczym list miłosny napisany na jej ciele niewidzialnym atramentem.

Chciało mi się siusiu, ot, nocna przypadłość, która dopadła mnie w wieku trzydziestu kilku lat - pierwszy znak, że do grobu coraz bliżej, tak jak pierwszy kac, rozrywający głowę i niepokojący, który dopada cię, kiedy masz dwadzieścia parę lat. Skrzyżniętymi schodami zszedłem w bokserkach na dół, minąłem śpiącą na sofie Katię, włożyłem kurtkę i buty i poczłapałem na dwór. Zacząłem siusiać i zobaczyłem, jak wypływające ze mnie zwierzęce ciepło wtapia się w śnieg. W świetle księżyca dostrzegłem zielone liście na dnie dziury, którą zrobiłem w bieli.

Kiedy to wspominam, kiedy piszę o tych straconych w Moskwie latach, mimo tego, co się potem stało, tego, co zrobiłem, wiem, że tamtej nocy przeżyłem najszcześniejsze chwile w życiu, chwile, do których zawsze bym wrócił, gdybym tylko mógł.

# 7

Mieszkając w Moskwie, od czasu do czasu słyszałem na ulicy albo przez okno - bo chyba naprawdę słyszałem - charakterystyczny przeraźliwy pisk, podobny do pisku czarnych londyńskich taksówek hamujących przed śpiącymi policjantami albo przed ostrym skretem za róg. Od czasu do czasu chciałem też, żeby ktoś mnie przeprosił, kiedy nastąpił mi niechcący na nogę w metrze, jak robią to londyńczycy. Na podstawie tych refleksji mogłabyś chyba powiedzieć, że jakaś część mnie tęskniła za Anglią. Tak, niekiedy miałem ochotę, tylko na parę godzin, zanurzyć się w tej znajomej, spokojnej praworządności. Ale to nigdy nie wystarczało, bym chciał wrócić, nigdy, do samego końca. Londyn i Luton nie były już moim domem.

W Wigilię Bożego Narodzenia pojechałem na lotnisko Domodedowo. Po szarej brei wiozł mnie taksiarz, który udawał mi naukowo; że Rosjanki są najładniejszymi kobietami na świecie, może z wyjątkiem Wenezuelek. Pamiętam, że jego teoria miała coś wspólnego z tym, że po wojnie w Rosji zostało niewiele mężczyzn, że mogli wybierać i przebierać w tysiącach kobiet, które z kolei rodziły im piękne córki, i tak dalej, i tak dalej. W pobliżu musiał przejeżdżać ktoś ważny, bo ulice były zablokowane przez milicyjne radiowozy i utknęliśmy pod wy-

ciągnięta ręką Lenina przy Oktiabrskiej. Na stawie roilo się od wędkarzy siedzących nad wyciętymi w lodzie dziurami. Kiedy na lotnisku stemplowano mój paszport, ogarnęła mnie ta charakterystyczna lekkość, jaka ogarnia nawet tych, którzy kochają Moskwę - poczułem się tak, jakby ktoś zdjął ze mnie brzemię niegrzecznych sprzedawców, drapieżnej milicji i nieznośnej pogody, poczułem lekkość towarzyszącą wszystkim tym, którzy wyjeżdżają z Rosji.

Kiedy podchodziliśmy do lądowania w Londynie, było już ciemno. Zdawało się, że widoczne z góry światła na ulicach i wzdłuż rzeki, oślepiające światła na stadionach rozbłyskują tylko dla mnie, na moją cześć, na cześć prawnika-bohatera.

Trzy godziny później siedziałem już w bliźniaku rodziców w Luton, wyjąc w duszy i pijąc tanią szkocką z supermarketu. Oni bardzo się starają, ale wiesz, jacy są - zawsze wypada to klaustrofobicznie i samotnie zarazem. Przyjechałem jako pierwszy i spałem w pokoju, który dzieliłem z bratem, zanim wyjechał na studia. Mama znowu powiedziała, że chce mnie odwiedzić, że chce zobaczyć Petersburg, i jak tam jest na początku marca? Zimno, odparłem, bardzo zimno. Ojca bolały plecy, mimo to starał się, widziałem, że się stara, pytał mnie o pracę i o to, czy rosyjski prezydent jest rzeczywiście taki wredny, jak piszą w gazetach. Nie wiem dlaczego, ale zawsze wydawało mi się, że w głębi serca jest mną rozczarowany. Może miał do mnie moralne pretensje, bo w tym, co robiłem, chodziło bardziej o pieniądze niż o zbawienie świata. A może wprost przeciwnie, może ja, Moskwa i pieniądze, jakie zarabiałem, przypominały mu o wszystkim tym, czego nigdy nie zrobił i już nie zrobi.

W pierwszy dzień świąt z Reading przyjechał mój brat z żoną i dziećmi, Williamem (tym, który świsnął ci iPoda na siedem-

dziesiątych urodzinach taty) i Thomasem, a z Londynu moja siostra, sama. Jak zwykle wręczyliśmy sobie bezosobowo praktyczne prezenty, skarpetki, szaliki i talony do sklepu Johna Lewisa. Z Rosji przywoziłem kilka matryoszek i futrzane czapki dla chłopców, resztę kupiłem w strefie wolnocłowej na lotnisku.

Mogło być miło. Nie było powodu, żeby nie było. Po prostu każde z nas poszło swoją drogą, po prostu się zgubiliśmy i nie łączyło już nas nic poza kilkoma rozmytymi w niepamięci anegdotami o jeździe na osiołku i przejeździe lodami, które tyle razy słyszałaś, oraz starymi zadrażnieniami, które niczym urojone swędzenie wybuchają, ilekroć się spotykamy. Kiedyś myśleliśmy, przynajmniej brat i ja, że dzieci są naszą drugą szansą, ale one też nas zawiodły. Zjedliśmy indyka, zachwycając się jego soczystością, podpaliliśmy świąteczny pudding dla chłopców, a potem, wciąż w przekrzywionych papierowych czapkach, przenieśliśmy się na sofę w salonie, by oddać się obowiązkowemu pijaństwu, którego bardziej prawdopodobnym skutkiem mogło być morderstwo niż autentyczna wesołość.

Odbyliśmy ożywioną rozmowę na temat nowych restrykcji parkingowych w centrum Londynu i już tradycyjnie pokłóciliśmy się o to, czy warto jest oglądać bożonarodzeniowe orędzie królowej, które ojciec zawsze oglądał. Dzwonek mojej komórki zabrzmiał jak hasło do wyjścia ze schronu po nalocie bombowym.

- Kola? Jak tam Anglia?

Zakręciło mi się w głowie, ogarnęła mnie lekkość i euforia, jakbym miał się rozchorować.

- Świetnie, dobrze. A co w Moskwie?

- W Moskwie jak to w Moskwie - odparła Masza. - Złe drogi i dużo głupców. Kiedy jestem w sklepie, myślę o tobie. W nocy też myślę.

- *Sekundoczku* - rzuciłem, odruchowo się maskując, co bez wątpienia pogrążyło mnie bardziej niż rozmowa po angielsku. Szybko wyszedłem z pokoju, jakby zadzwoniła do mnie nastoletnia dzierlatka. Wpadłem do kuchni, gdzie stała lodówka z drzwiczkami, na których wisiały nasze numery telefonów, mój, siostry i brata, przypięte przez matkę magnesem w kształcie katedry w Durham. Na parapecie leżał świąteczny informator telewizyjny z małymi smutnymi gwiazdkami obok programów, które chciała obejrzeć. Jak zawsze wessała mnie pęta czasu i - jak na przewiniętej wstecz taśmie - cofnąłem się do ról, z których już wyrosłem.

- Ja też o tobie myślę - odparłem. - Opowiadałem o tobie rodzinie.

To drugie było kłamstwem, po prostu myślałem, że zrobię jej przyjemność. Ale to pierwsze było prawdą. Wyobrażałem już sobie, że jesteśmy razem, a reszta była dziwnie odległa i nieważna. Chciałem opowiedzieć jej o wszystkim, co mi się przydarzyło, jakby bez tego nie przydarzyło się nic. Rozumiesz?

Spytałem ją o Katię, o matkę i o Tatianę Władimirowną.

- Posłuchaj, Kola - powiedziała - może przywieziesz jej coś na Nowy Rok. Ona rzadko dostaje prezenty.

- Oczywiście - odrzekłem. - To bardzo dobry pomysł. Tak, oczywiście. Co jej przywieźć?

- Wymyśl coś. Coś angielskiego.

Rozmawialiśmy dłużej, nie pamiętam już o czym, ale dobrze pamiętam, że powiedziała:

- Do zobaczenia, Kola. Myślę o tobie. Kocham cię.

Wróciłem do saloniku, a oni poodwracali wzrok, ostentacyjnie manifestując swoją obojętność. Poczulem się jak w pułapce, jak w samolocie, kiedy zjadło się już posiłek i najważ-

niejszą rzeczą w świecie zdaje się teraz to, żeby stewardesa jak najszybciej zabrała tacę, która blokuje drogę ewakuacji. Przypuszczam, że na dnie tego niepokoju czaiła się świadomość, że mogłem, że wciąż mogę stać się taki jak rodzice, że jednak nie uda mi się ułożyć życia po swojemu.

Potem siedzieliśmy, patrząc na dzieci, próbując zmusić je siłą woli do zrobienia czegoś uroczego albo ekscentrycznego. Wyrzymałem do drugiego dnia świąt, a potem przebukowałem bilet na tydzień wcześniej, by tuż przed Nowym Rokiem wrócić do domu, do Moskwy.

Przebiłem się przez tłum szczupłych, młodych osiłków, którzy szamotali się przy sunących pasach, by odebrać bagaż swoich rodziców, znaleźć się w holu pełnym taksiarzy o gębach kryminalistów i jak najszybciej przyłączyć się do tej wyjątkowej codziennej wojny, rosyjskiej wojny wszystkich ze wszystkimi. Przeszedłem przez odprawę i kupiłem bilet na pociąg do miasta.

Pociąg, potem metro - kiedy wyszedłszy z dusznego, oślizłego podziemnego przejścia, znalazłem się na placu Puszkina, na dworze panował tęgi mróz, kriogeniczny ziąb, który najpierw poczułem zębami, a potem wszystkim innym. W dniu mego wyjazdu do Anglii było cieplej, najwyżej minus dziesięć. Pamiętam, że kiedy szedłem bulwarem do domu, mój oddech zamarzał inaczej niż przed świętami, zastygł w powietrzu jak namacalna mgła. Kawalki odkrytej skóry na policzkach między podniesionym kołnierzem i naciągniętą czapką najpierw zaczęły szczypać, a potem zdrętwiały. Zamarzły mi nozdrza, bo rosnące w nich włosy przytulały się do siebie, walcząc o przeżycie. Elektroniczny termometr przed McDonaldem wskazywał dwadzieścia siedem stopni mrozu. Było tak zimno, że

prawie nikt nie palił na ulicy. Milicjantom wydano staromodne filcowe walonki, prastary rosyjski środek ochronny, dzięki któremu mogli spokojnie wymuszać łapówki, nie bojąc się, że odpadną im stopy.

Zadzwoiłem do Maszy i umówiłem się na sylwestra z nią, Katią i - przynajmniej na początku - z Tatianą Władimirowną. Zostały nam tylko dwa dni pracy do ustawowej dziesięciodniowej przerwy noworocznej, ogólnonarodowej balangi, którą moi koledzy nazywali „urlopem narciarskim oligarchów”. Nie miałem nic innego do roboty, więc już nazajutrz poszedłem do biura.

- Pieprzony kontroler - powiedział Paolo, kiedy zamknąłem drzwi. Za oknem, buszujące po białym placu Paweleckim pomarańczowe ludki wyglądały jak armia rozwścieczonych mrówek. - Pieprzony Kozak.

- Szczęśliwego Nowego Roku, Paolo.

- Wszystko prawie gotowe. Klient jest prawie zadowolony. Wszyscy są prawie zadowoleni. Tylko ten zasrany kontroler. Gdzie on jest?

- Nie wiem.

- Czasem żałuję, że w ogóle poznaliśmy Kozaka. Dlaczego to musi być project finance? Dlaczego Wyspy Dziewicze? Zawsze te cholerne Wyspy. A propos: jak się masz?

## 8

Prawda jest taka, że w tamtych czasach bankierów mało obchodziło, czy ich bank odzyska pożyczone pieniądze. Ludzie ci dostawali premię za samo opchnięcie kredytu i zanim kredytobiorca, Rosjanie czy ktokolwiek inny, zdążył zbankrutować, ich już dawno nie było, bo albo wyjechali, albo dostali awans. Wszystkie zachodnie banki rozpaczliwie chciały robić interesy z Rosjanami, bo robiła je cała konkurencja, dlatego większość nie przejmowała się zbyt tym, na co idą ich kredyty. Pożyczając wielkim firmom energetycznym czy metalowym, w połowie przypadków bankierzy wręczali im gotówkę bez żadnych zabezpieczeń: Rosjanie tonęli w petrodolarach, poza tym szefowie tych firm wiedzieli, że jeśli będą przestrzegali konwencji, z biegiem czasu wzbogacą się jeszcze bardziej - prawda?

Mimo to, ponieważ firma Kozaka była nowa i nie miała historii kredytowej, musieliśmy kilka punktów sprawdzić i odhaczyć. Otrzymaliśmy list od gubernatora tamtejszej guberni, który zobowiązywał się do popierania projektu. Narodnieft podpisał uspokajające zobowiązanie do przepompowania tyłu a tyłu ton ropy z północnych pól na ukończoną i uruchomioną platformę i do zapłacenia podatku eksportowego. Mieliśmy już deklarację intencji od przyszłych nabywców z Holandii i Ame-



ryki. Banki ubezpieczyły się od ryzyka politycznego (na wypadek konfiskaty mienia czy przewrotu). Główna umowa kredytowa była wodo- i naftoszczelna.

Mimo to wypłaty pierwszej transzy nie dokonano. Do pełni szczęścia brakowało raportu naszego kontrolera, Wiaczesława Aleksandrowicza, który miał potwierdzić, że miejsce na platformę wybrano prawidłowo i że wstępne prace konstrukcyjne przebiegają zgodnie z harmonogramem. Jeśli banki miały przełać pieniądze przed końcem roku - chyba coś około stu pięćdziesięciu milionów dolarów - musieliśmy natychmiast dostać stosowny dokument.

Kozak potrzebował tej kasy na wczoraj, twierdził, że ma zobowiązania względem robotników i dostawców. Bankierzy chcieli mu ją dać, przede wszystkim dlatego, że z początkiem nowego roku ich premia za rok poprzedni byłaby mniejsza. Ale był pewien szkopał. W połowie grudnia Wiaczesław Aleksandrowicz dotarł wreszcie na koło podbiegunowe. I zniknął.

Martwiliśmy się, że wpadł do jakiejś dziury w lodzie albo zaprzyjaźnił się z nieodpowiednią kobietą w hotelowym barze. Kozak twierdził, że żadnych dziur w lodzie nie ma i że w ogóle wszystko gra. Chciał, żebyśmy przyjechali w sylwestra do moskiewskiej siedziby Narodnieftu podpisać ostatni dokument, jakiego żądali ci z Nowego Jorku i Londynu przed wypłaceniem pierwszej transzy kredytu. Paolo zgodził się pójść. Uważał, że to strata czasu, mimo to powiedział, że pojedzie. Zabrał ze sobą mnie i Siergieja Borysowicza.

Narodnieft bardziej przypomina państwo niż spółkę. Oprócz szybów naftowych, rurociągów i tankowców, jest właścicielem hoteli, samolotów i drużyn piłkarskich. Ma sanatoria na Kau-

kazie i wyspę na Karaibach, okręt podwodny w Zatoce Fińskiej, a nawet, według niektórych pogłosek, parę satelitów kosmicznych. Pracują dla niej luksusowe prostytutki na zamówienie i oswojeni płatni zabójcy. Kiedy tam byłem, mówiło się, że na swojej liście płac ma połowę deputowanych rosyjskiej Dumy. Jej siedzibą jest dziwaczny wieżowiec w południowej części Moskwy, który zbudowano w latach dziewięćdziesiątych, w okresie maksymalnego nasilenia rosyjskiego ekscentryzmu architektonicznego, i który wygląda jak przewrócony do góry nogami statek kosmiczny. Paolo, Siergiej i ja przyjechaliśmy tam wczesnym rankiem, chyba o wpół do dziewiątej. Był sylwester, mój ostatni sylwester w Rosji.

Gdy wysiada się zimą z samochodu albo wychodzi z domu, zwykle jest tak, że zanim nagle zrobi się zimno, wyniesione na dwór ciepło ogrzewa jeszcze przez dwadzieścia, trzydzieści sekund - dzięki temu ma się chwilowe poczucie złudnego komfortu, zyskuje dodatkowy czas, jak kurczak, który biega wokoło bez głowy, zanim zda sobie sprawę, że mu ją obcięto i że jest martwy. W temperaturze dwudziestu siedmiu stopni poniżej zera takiego odroczenia nie ma. Natychmiast zamarza nos i zaczynają łzawić oczy. (Kiedy byłem w Anglii, ktoś z naszego biura zdjął rękawiczkę, żeby odebrać telefon na placu Paweleckim i komórka przymarzła mu do ręki). Szybko weszliśmy do budki strażników przed wieżowcem, żeby sprawdzono nam paszporty, a potem, minąwszy zamarznięte fontanny na starannie zaprojektowanym i ukształtowanym terenie kompleksu, wbiegliśmy do holu. Ruda panienka w zielonej minispódniczce, dyżurny „witacz” Narodnieftu, zaprowadziła nas do windy, a potem, wciąż idąc za jej rozkołysanymi biodrami, trafiliśmy do sali konferencyjnej na dziobie statku kos-

micznego. Czekał tam na nas niski kredens z wódką, kieliszkami tudzież kawałkami śledzia na wykałaczkach i widok na zamrożone miasto zza przeszklonej od podłogi po sufit ściany. Słońce było białe jak śnieg, może nawet bielsze, bo nie docierały tam spaliny.

Panienka usiadła pod ścianą i uśmiechnęła się do nas. Siergiej Borysowicz zjadł trochę śledzia. Czekaliśmy, udając, że na nią nie patrzymy.

Mniej więcej po godzinie, o wpół do dziesiątej, przyszedł Kozak. Towarzyszyło mu dwóch prawników i zastępca dyrektora Narodnieftu, który wyglądał na dziewiętnastolatka. Później dowiedziałem się, że jest zięciem szefa rosyjskiego wywiadu wojskowego. Kozak szepnął coś do panienki i dał jej klapsa w pupę, kiedy wychodziła.

- Po kielonku? - spytał po rosyjsku.

- Ekstremalnie - odparł po angielsku Siergiej Borysowicz.

- Nie, dzięki - powiedziałem.

- Dajcie spokój, przecież dziś sylwester.

- Najpierw popracujemy - wtrącił Paolo - potem wypijemy. - Jeśli wiedziało się, gdzie patrzeć, widać było, że moskiewski z niego weteran. Na imprezach pojawiał się o północy, żeby uniknąć kolejek, stanowisko odprawy paszportowej na lotnisku atakował jak pędzące na oślep zwierzę, wychodził zapalić, kiedy na dworze panował dwudziestostopniowy mróz, i nie dawał się niczym zaskoczyć.

- Dobra - odparł Kozak.

Usiedliśmy przy stole. Kozak szepnął coś do prawnika, który wyszedł i po pięciu minutach wrócił. Wdaliśmy się w ospałą dyskusję na temat szczegółów prawniczych. Dwadzieścia minut później do Paola ktoś zadzwonił.

- Może to dobre nowiny - mruknął Kozak.

Paolo wyjął z kieszeni komórkę i podszedł do okna. Rzucił: „Gdzie pan jest?” i zaklął po włosku. Zasłonił ręką mikrofon i spytał o numer telefonu do sali konferencyjnej. Prawnik Kozaka podał mu go, on powtórzył i zakończył rozmowę.

- Wiaczesław Aleksandrowicz - wyjaśnił, siadając. - Jest w Soczi. - Może już wiesz, ale Soczi leży nad Morzem Czarnym, trzy tysiące kilometrów od platformy, którą nasz kontroler miał skontrolować. - Zaraz oddzwoni.

I rzeczywiście, w tej samej chwili zadzwonił jeden z telefonów na środku stołu. Kozak przełączył rozmowę na głośnik.

Wiaczesław Aleksandrowicz bardzo nas przeproszał, błagał o wybaczenie, ot, pilne sprawy rodzinne, to się już nigdy nie powtórzy. Ale spokojnie, nie musimy się niczym martwić: był w Arktyce ze swoim asystentem, ba! siedział tam cały tydzień I wszystko jest w jak najlepszym porządku. Prace budowlane wyprzedzają harmonogram, koszta mieszczą się w budżecie. Zaczęli już spawać rurociąg, przyszły już pierwsze części przepompowni brzegowej, czekali tylko na poprawę pogody. Tankowiec stał w suchym doku i rozpoczęto jego przebudowę (trzeba było go zaadaptować, przekonstruować tak, by z jednej burty przyjmował ropę rurociągiem z brzegu, a z drugiej przepompowywał ją do cumującego obok tankowca). Wytypowali już miejsca w dnie morskim, gdzie w przyszłości tkwić miało na stałe dwaście kotwic. Wszystko to Wiaczesław Aleksandrowicz zawarł w oficjalnym raporcie. Pisał właśnie wnioski końcowe, już wkrótce miał go nam przysłać. Mówił przez dwadzieścia minut, zasypując nas wymiarami i statystykami, decybarami, baryłkami na dzień, metrami na sekundę i tonami na rok. Przeprosił nas jeszcze raz / się pożegnał.

Paolo, Siergiej Borysowicz i ja odsunęliśmy się z krzesłami od stołu, żeby się naradzić.

- To koszerne? - szepnął do mnie Paolo.

- Brzmi przekonująco - odszepnąłem.

- Tylko co on robi w Soczi? - mruknął Siergiej Borysowicz.

- Z drugiej strony, wygląda na to, że wie, co mówi - powiedział Paolo. - Co za różnica, papier czy telefon?

- Mamy inne gwarancje - zauważyłem.

- No i jest sylwester - dodał Siergiej Borysowicz.

Nie pamiętam już, o czym wtedy myśleliśmy. Na pewno bardzo chcieliśmy dać bankierom to, na co czekali, rozwiązać ich problemy i zrobić wszystko, by nie pojawiły się nowe. Wiedzieliśmy, że Kozak to cwaniak. Ale według kowbojskich standardów, jakie wtedy obowiązywały, bynajmniej nie odbiegał od normy. Znaliśmy Wiaczesława Aleksandrowicza, już z nim pracowaliśmy. Wszystkie dokumenty były w porządku. A co najważniejsze, za projektem stał Narodnieft i chociaż nie brał na siebie całej odpowiedzialności prawnej, niedługo wchodził na giełdę, więc pomyśleliśmy, że będzie zależało im na reputacji. Zresztą dla takiego molocha ewentualna spłata kredytu **byłaby** drobnostką: niewiele mniej wydawali rocznie ich dyrektorzy, wożąc służbowymi odrzutowcami swoje żony na zakupy do Paryża. Za projektem stał Nordnieft, a gdzieś tam, za Nordnieftem, prezydent Rosji. Musieliśmy zdawać sobie sprawę, że Steve Walsh ma rację: Kozak i jego kumple z Kremla, z FSB czy skądś tam też chcą nabić sobie kabzę. Ale na pewno wierzyliśmy, że nasze banki są bezpieczne.

Ostateczna decyzja należała do Paola.

- Dobra - powiedział. - Niech będzie.

Znowu podszedł do okna, tym razem żeby obudzić głównego

bankiera na Manhattanie i przekazać mu dobre nowiny. Rosjanie ruszyli do kredensu na wódkę i śledzie. Trąciliśmy się kieliszkami.

Wszyscy byli zadowoleni. Banki były zadowolone, Paolo też. No i Kozak. Kozak był bardzo zadowolony. Zaprosił mnie i Paola na polowanie w góry Ałtaju. Powiedział, że nauczy nas strzelać z granatnika. Jaki jest mój ulubiony film z Jamesem Bondem? - pytał. A Freddie Mercury - czy to wszystko prawda? Uważał chyba, że to normalne, że tak się robi interesy, że razem pijemy, żartujemy, opowiadamy sobie o naszych rodzinach, a potem i tak robimy swoje. Myślę, że uważał mnie za przyjaciela.

- No więc, Nicholas? - spytał. - Kiedy mnie odwiedzisz? Nowa żona już na ciebie czeka. Chociaż z drugiej strony - dodał - twoje moskiewskie połowice też mi się bardzo podobały. - Jak przebiegły szelma puścił do mnie oko i wychylił kieliszek wódki.

Paolo zaprosił nas na uroczysty lunch do Śmiejącego się Pustynnego Wielbłąda, uzbeckiej restauracji nad Neglinką. Żeby tam dojechać, Siergiej Borysowicz i ja wskoczyliśmy do wołgi przejeżdżającej pod wieżowcem na Paweleckiej. Wielki jak dąb, jowialny kierowca próbował uczyć się angielskiego: ze schowka na mapy wyjął zeszyt do ćwiczeń, położył go na kierownicy i od czasu do czasu zapisywał w nim słówka, które najbardziej przypadły mu do gustu (*lunch... Wild West... unsecured loan... leveraged buy-out... ExxonMobil*). Pewnie miał tam jakiś sonar albo coś. Przed wejściem do restauracji stał, drżąc, portier w białym futrzanym kostiumie. W szatni były dwa skazane na śmierć ko^uciki, które drapiąc wściekle pręty malutkich klatek, czekały, aż rozpocznie się noworoczna zabawa i wreszcie będą mogły

wydziać sobie oczy. W sali jadalnej dwie tancerki tańczyły tańiec brzucha. Jedna, blondyna, wyglądała bardziej na striptizerkę po służbie niż na prawdziwą tancerkę, jej majtki były już obwieszane girlandami sturubłówek. Druga, gruba autentyczna brunetka, wymachiwała na przemian to jednym brzuchem, to drugim i nikt nie zwracał na nią uwagi.

Tatarka Olga okazywała mi przyjaźń, chuchając w moje kieliszki i starannie je polerując, ale wydzielalem pewnie feromony faceta zajętego albo zalatywało mi z ust, bo szybko sobie odpuszcila i skupila się na naszym Włochu. Kiedy jedliśmy, Siergiej Borysowicz opowiedział nam, jak próbował uniknąć wojska, które w Rosji jest głównie pretekstem do masowego sadyzmu i niewolniczej pracy. Jego rodzina miała wybór, tłumaczył: dać w łapę szefowi komisji poborowej albo przekupić lekarza, który wystawiłby zaświadczenie, że Siergiej Borysowicz nie nadaje się do służby. Zapłacili szefowi komisji, dziesięć tysięcy dolarów, ale facet wziął go w kamasze i tak, więc w końcu musieli dać łapówkę i lekarzowi.

- I co pan potem pomyślał? - spytałem. - O wojsku. No i o Rosji. Kiedy pana oszukali.

Siergiej Borysowicz odwrócił swoje kartoflane oczy i myślał przez dwadzieścia sekund.

- Cóż - odparł w końcu. - Powinienem być od razu dać w łapę lekarzowi.

Wtedy, chyba wtedy, ją zobaczyłem - zobaczyłem Katię. Obsługiwała stoliki po drugiej stronie sali. Była w krótkiej czarnej kelnerskiej spódnicy, zwykłej białej bluzce i miała starannie zapleciony warkoczek. Początkowo nie byłem pewny, czy to ona, ale potem już byłem i wstałem, żeby przejść jej drogę, kiedy wracała do kuchni z resztkami owoców na tacy.

- Witaj, Katiu - powiedziałem.

- Za dwie minuty na dworze - odparła po rosyjsku. - Przed wyjściem awaryjnym.

Na ulicy panował samobójczy mróz. Broniąc się przed nim, Katia, wciąż w kelnerskim stroju i czyjejs kurtce, objęła się wpół.

- Kola - zaczęła bez wstępów po angielsku i z większą pewnością siebie. - Nie mów Maszy, że mnie tu widziałeś. Proszę. Potrzebuję pieniędzy na studia, a ona nic nie wie o tej pracy. Będzie zła, że się nie uczę.

Podniosła zaciśniętą w rękawie pięść na wysokość moich bioder i spojrzała na mnie bez uśmiechu. Jeszcze minuta i odmrozilibyśmy sobie ręce i nogi.

- Dobrze - odparłem ze współczuciem, a ona tego oczekiwała. Miało być mi przykro, że ona musi uczyć się i pracować, że wyciągnęła w życiu krótszą słomkę. - Obiecuję. Na razie.

Wszedłem do środka. Potem, kiedy nasza taksówka wlokła się pod wieżowiec na Paweleckiej, nasza mnie na wpół pijana refleksja, coś, co można by wziąć za olśnienie. To dzieci, pomyślałem, ci Rosjanie ze swymi przyciemnianymi szybami i maszynowymi uzi. To nastoletnie straszenie piórek, u wszystkich po kolei, od ochroniarzy poczynając, poprzez Kozaka, na potrząsającym szabelką prezydencie kończąc. Mimo całej tej światowości i bólu, pomyślałem, Rosjanie to po prostu małe dzieci.

- Jaka szkoda - zażartowała Tatiana Władimirowna, kiedy usiedliśmy w przegrzanym saloniku. - Taka zima i nie ma wojny.

Było około dziewiątej wieczorem tego samego dnia, w sylwestra. Na bulwarze i wokół stawu rozkrzyczane nastolatki przerzucały się petardami. Katia pozbyła się kelnerskiego stroju



i, podobnie jak Masza, miała na sobie sukienkę, która świadczyła o tym, że gdzieś potem pójdziemy. Masza uczesała się jak nigdy dotąd, ściągając do tyłu włosy i upinając je w zwinięty kucyk, coś w rodzaju koczka, co podkreślało jej zielone oczy i zaciśnięte usta. Na powitanie pocałowała mnie w ucho. Tatiana Władimirowna znowu wykosztowała się na bufet. Kiedy dałem jej przywiezione z Londynu prezenty - szkockie kruche ciasto, angielską czekoladę i earl greya w puszcze a la londyński pięturus - przez chwilę myślałem, że się rozplacze.

Postawiła herbatę na półce, obok czarno-białego zdjęcia jej i Piotra Arkadjewicza. Zdążyłem trochę wytrzeźwieć po naszym uzbeckim lunchu, w sam raz na wieczorne toasty. Wypiliśmy za nowy rok, za miłość i za angielsko-rosyjską przyjaźń. Kiedy stukaliśmy się kieliszkami, zauważyłem, że Katia ma przekłuty pępek.

Omówiliśmy plan zamiany mieszkań.

Tatiana Władimirowna była podekscytowana, ale zdenerwowana. Bo gdzie będzie chodziła na zakupy? - pytała. A jeśli nie skończą budować tego bloku? Tak, chciała uciec z centrum, bo była za stara, za bardzo zmęczona, ale z drugiej strony mieszkała tu od tak dawna, to było jedyne miejsce, jakie znała.

Masza odparła, że Stiepan Michajłowicz jest pewien, iż skończą Butowo do kwietnia. Ale na wszelki wypadek, powiedziała, z podpisaniem końcowej umowy lepiej jest zaczekać do końca maja albo do początku czerwca. Tatiana Władimirowna i tak zdąży przeprowadzić się tam na lato.

Potem wytłumaczyła nam, że przed sfinalizowaniem umowy ciocia i Stiepan Michajłowicz będą musieli zdobyć bardzo ważne dokumenty. Musieli mieć dowód własności obydwu mieszkań oraz dowód, że mieszkanie Tatiany Władimirownej

sprywatyzowano legalnie. Musieli mieć również zaświadczenie, że w którymś z architektonicznych odstrzałów, w jakich lubował się burmistrz, nie zburzą jej domu: w trybie doraźnym burmistrz skazywał na śmierć jakiś budynek, a jego brat zgarniał sutą prowizję za postawienie w tym miejscu nowego. Musieli zdobyć dokument potwierdzający, że w mieszkaniu Tatiany Władimirownej jest zameldowana tylko ona, że żaden z lokatorów nie siedzi, powiedzmy, w więzieniu, że nie wróci nagle żaden zapomniany mąż, roszcząc sobie prawo do kwaterunku. (Widzisz, w Rosji wciąż nie można mieszkać tam, gdzie się chce, nie można pojawić się gdzieś ot, tak sobie, jak my w Kennington. Trzeba być zameldowanym pod konkretnym adresem, żeby władze wiedziały, gdzie cię szukać). Potrzebowali również świadectwa technicznego obydwu mieszkań, takiego z rozkładem pomieszczeń, schematem kanalizacji, planem całego budynku, i tak dalej. Na samym końcu mieli sporządzić umowę. Masza powiedziała, że za skompletowanie tych wszystkich papierów agencja handlu nieruchomościami pobiera zawrotne opłaty.

- Ale Kola - poprosiła po rosyjsku - pomożesz Tatianie Władimirownej od strony prawnej, tak?

- Tak, oczywiście.

Żadne z nas nie zapomniało, co obiecałem w bani.

- Prawdziwy z pana angielski dżentelmen - powiedziała Tatiana Władimirowna. - Mamy szczęście, że pana znalazłyśmy.

- Drobiazg - odparłem.

Umówiliśmy się, że pierwszego dnia po długich noworocznych feriach pójdziemy z rana do notariusza po pełnomocnictwo, dzięki któremu będę mógł ją reprezentować.

Tuż przed północą Tatiana Władimirowna otworzyła butelkę

mdląco słodkiego krymskiego szampana. Oglądaliśmy fajerwerki wybuchające nad czarodziejskim domem, tym nad stawem.

- Niechaj dobry Bóg zawsze trzyma was za rękę - powiedziała Tatiana Władimirowna.

Wyszliśmy, kiedy tylko pozwoliła na to grzeczność, może nawet wcześniej, i zatrzymaliśmy samochód, za którego kierowcą siedział przyszczaty wyrostek, na oko szesnastolatek. Powiózł nas bulwarem, potem przecięliśmy Twerską, minęliśmy kasyna na Nowym Arbacie, jaśniejące zimową nocą jak oaza światła, jeszcze potem przejechaliśmy na drugi brzeg zamrożonej rzeki i zatrzymaliśmy się przed hotelem Ukraina.

Mieścił się w jednej z wielkich gotyckich baszt zbudowanych w Moskwie za Stalina, gmaszydle ozdobionym brudnymi posągami, który udzielał schronienia gruzińskim gangsterom, drugiej kategorii mołdawskim prostytutkom i zagubionym uczestnikom europejskich imprez szkolnych. Obeszliśmy hotel śliskim chodnikiem, dziewczyny dźgając szpilkami lód. Po schodach przeciwpożarowych dostaliśmy się na górę i zadzwoniliśmy do jakichś drzwi. Masza podała hasło, które dostała od koleżanki, i wpuszczono nas do gigantycznej meliny, nielegalnego klubu nocnego.

Wyszliśmy stamtąd około czwartej nad ranem - Masza poszła do mnie, Katia zniknęła samotnie w zimnej noworocznej nocy. Próbowałem wprosić się do Maszy, ale nie chciała. Jak zawsze powiedziała „nie”. Myślałem wtedy, że ze zwykłego wstydu.

# 9

Z samego rana pierwszego dnia po feriach - chyba dziesiątego stycznia albo coś koło tego - zgodnie z umową poszedłem z Tatianą Władimirowną do notariusza po pełnomocnictwo. Masza musiała iść do pracy, ale towarzyszyła nam Katia. Jako nasza opiekunka.

Notariusze to jedna z głównych moskiewskich profesji, tak jak deweloperzy, gruzińscy restauratorzy i prostytutki. W gruncie rzeczy jest to bezsensowna funkcja jeszcze z carskich czasów, zawód polegający na stemplowaniu dokumentów prawniczych, bez których nie zdziałasz tam praktycznie nic. Ten nasz, a właściwie nasza, miała biuro ukryte w starym cyrku na północ od centrum miasta. Myślę, że kiedy muzyka przestała grać, kiedy upadło imperium zła i kiedy Rosjanie wymienili szybkie spojrzenia, by zaraz potem rozgraścić wszystko, co się tylko dało, ona trafiła jakoś do pomieszczenia, w którym kiedyś mieszkali akrobaci albo treserzy lwów.

Na śliskim chodniku przed cyrkiem Tatiana Władimirowną radziła sobie dużo lepiej ode mnie - zimą była w swoim żywiole, jak pingwin w wodzie. Przeszliśmy labiryntem ciemnych korytarzy i usiedliśmy w poczekalni. Na ścianie wisiała wielka, dumna mapa Związku Radzieckiego. Oczywiście musieliśmy

zaczekać i myślę, że takie zmuszanie petentów do czekania jest częścią ich pracy. Każdy Rosjanin z odrobiną władzy (notariusz, sanitariusz, kelner) każe czekać, choćby tylko po to, żeby pokazać, że może.

Więc kiedy siedzieliśmy tak i czekaliśmy, Tatiana Władimirowna opowiedziała mi, jak była w tym cyrku przed ponad czterdziestu laty. Pamiętała, że mieli wtedy dwa słonie i lwy.

- I jeden słoń stanął na tylnych nogach - wspominała z uśmiechem, podnosząc ręce jak chomik łapki, by pokazać, co zrobił słoń. - Kiedy go zobaczyliśmy, od razu wiedzieliśmy, że jesteśmy w Moskwie, Piotr Arkadjewicz i ja. Przekonaliśmy się na własne oczy, że Moskwa jest stolicą świata. Pomyśleć tylko: prawdziwy słoń!

Spytałem ją, czy nie tęskni za Syberią i za rodzinną wsią pod Leningradem.

Oczywiście, że tak, odparła.

- Za lasem. I za ludźmi. Na Syberii mieszkają zupełnie inni ludzie. A w Moskwie widziałam również takie rzeczy, że pewnie byłoby lepiej, gdybym ich nie widziała. Nie chodziło tylko o słonie.

Katia zerknęła na nas znad epickiego SMS-a, który właśnie komponowała, i kazała ciotce przestać mnie zanudzać. Powiedziałem, że wcale się nie nudzę, że to ciekawe. Właśnie takim lubiłem widzieć się w Moskwie: kimś szczerze zainteresowanym, zatroskanym, do pewnego stopnia szlachetniejszym niż większość prawników na obczyźnie, którzy siedzieli tam przez dwa, trzy jałowe lata, a potem uciekali, by służyć bardziej szanowanym oszustom w Londynie czy Nowym Jorku, czasem jako wspólnicy w najbardziej szemranych kancelariach, zabierając ze sobą poręczne saldo na koncie w zagranicznym banku

i garść krwawych opowieści o cymbałach i kałasznikowach, bajeczek z Dzikiego Wschodu, którymi, dojeżdżając do pracy, raczyli takich samych jak oni szczęściarzy.

Spytałem ją, jak to wszystko przeżyła, Stalina, wojnę i całą resztę. Pytanie było głupie, wiem, ale i najważniejsze.

- Były trzy zasady - odparła Tatiana Władimirowna. - Przestrzegaj ich i przy odrobinie szczęścia mogłeś przeżyć. - Wylizowała je na swoich pomarszczonych, kołkowatych palcach. - Po pierwsze, nigdy nie wierz w to, co mówią. Po drugie, nie bój się. I po trzecie, od nikogo nie przyjmuj pomocy.

- Chyba że w sprawach mieszkaniowych - dodałem.

- Chyba że w sprawach mieszkaniowych.

- Co w sprawach mieszkaniowych? - spytała Katia, podnosząc wzrok.

- Nic - odparła z uśmiechem Tatiana Władimirowna.

Spytałem ją, co myśli o obecnym prezydencie (o ile wiedziałem, masowym mordercy, jak wszyscy rosyjscy przywódcy). Odrzekła, że to porządny człowiek, ale jako jeden dobry przeciwko wielu złym nie może rozwiązać wszystkich problemów sam. Nie powiedziała nic złego, mimo to ściszyła głos i rozejrzała się na wszystkie strony. A nie denerwuje pani, spytałem, że ludzie u władzy tak kradną? Tak, odparła, oczywiście, że tak, ale nie ma sensu obsadzać Kremla nowymi, bo ci też zaczną zaraz kraść. Ci u władzy już się przynajmniej nachapali, więc mogą czasem pomyśleć o czymś innym.

Spytałem, czy teraz żyje się lepiej niż przedtem. Tak, jest lepiej, przynajmniej niektórym. Na pewno młodym, dodała, patrząc z uśmiechem na Katię.

Zamilkliśmy. Zapiszczała komórka. Katia przeczytała SMS i zmarszczyła czoło.

- Muszę iść. - Nachyliła się ku mnie, aż poczułem jej oddech na uchu, i po angielsku szepnęła: - Kola, nie mów Maszy, że poszłam. Proszę. Muszę na uniwersytet. - Wstała i wciąż po angielsku, żeby nie zrozumiała jej Tatiana Władimirowna, dodała: - Kola, pamiętaj, ona jest stara i czasem się myli.

Włożyła palto i wyszła.

Oprócz tych piętnastu minut, kiedy czekaliśmy tam, aż nas wezwą, byłem z Tatianą Władimirowna sam na sam tylko jeszcze jeden raz. Ale teraz widzę, że wtedy, za drugim razem, było już za późno, że za głęboko w tym siedziałem, że powoli stawałem się kimś innym. Ale myślę, mam nadzieję, że tego styczniowego poranka jeszcze się nie stoczyłem, nie na samo dno. Jestem pewny, tak jestem pewny, że gdybym - zamiast siedzieć tam, milczeć, uśmiechać się i patrzeć na ściekające z butów błoto - zadał jej parę prostych pytań, wszystko potoczyłoby się inaczej.

Ale ja spytałem ją o znajomego Olega Nikołajewicza.

- Tatiano Władimirowna, to mało prawdopodobne, ale czy nie zna pani przypadkiem Konstantina Andriejewicza? Takiego starszego pana, mieszka niedaleko mnie.

- Chwileczkę - odparła, zamykając oczy i ściskając palcami skronie. - Konstantin Andriejewicz... Nie jestem pewna. Kto to?

- Przyjaciół mojego sąsiada, Olega Nikołajewicza. Nie możemy go znaleźć.

- Nie. Chyba nie znam. Przykro mi.

I znowu zamilkliśmy.

- Jeszcze raz dziękuję za ciasteczka i herbatę - powiedziała, żeby przerwać ciszę. - Miło jest mieć w domu trochę angielskich specjałów.

- Może kiedyś przyjedzie pani do Anglii. Pałac Buckingham.  
Tower.

- Może.

Wtedy usłyszeliśmy notariuszkę:

- Następny!

W kiszkatym pokoju siedziały za biurkiem dwie kobiety. Pamiętam, że było tam jedno okno z zardzewiałą kratą wychodzące na białoszarą ulicę. I że był piękny zimowy dzień, niebo czyste i oślepiająco jasne, śródziemnomorsko błękitne, takie, jakie widzieliśmy we Włoszech, podczas tej wycieczki. Kobieta po prawej była dość młoda, coś w rodzaju brakującego ogniwa między normalnym człowiekiem i notariuszem. Starsza i grubsza, szefowa - okulary, rozpinany sweter, włochaty pieprzyk - była tak niegrzeczna, że w innym kraju pomyślałbym, iż jesteśmy w ukrytej kamerze.

Wzięła nasze paszporty i zaczęła wypełniać formularz pełnomocnictwa. Krzyknęła ze złośliwą satysfakcją, widząc, że moje imię, to w paszporcie, wygląda zupełnie inaczej niż to, które podałem do rejestru, i była bardzo zawiedziona, kiedy wytłumaczyłem jej, że w paszporcie jako pierwsze wpisano nazwisko. Skończywszy, podstemplowała z trzydzieści razy dwie kopie dokumentu, nie podnosząc wzroku, przesunęła je w naszą stronę i kazała koleżance pobrać od nas czterysta rubli. Tatiana Władimirowna wzięła jedną kopię, ja drugą. Od tej chwili mogłem podpisywać w jej imieniu wszystkie papiery konieczne do zamiany mieszkań. Ich plan był teraz moim planem.

Poszliśmy do metra, ona pojechała do domu, a ja - już spóźniony - do pracy. Powiedziała: „Dziękuję”, i na pożegnanie pocałowała mnie w obydwie policzki. Potem odeszła w stronę schodów.



Z jakiegoś powodu utkwilo mi w pamieci - tak jak czasem cos niechcianego, moze wlasnie dlatego, ze sie tego nie chce - ze w metrze, obok kiosku z biletami, widzialem dwuch klócacych sie mezczyzn. Jeden byl wielkim, krzepkim Rosjaninem, drugi ogolonym na lysa, rozwscieczonym, niemal okraglym Gruzinem i ten pierwszy wykrzykiwal w kolo te same slowa, bardzo glono: „Daj mi noz, Nika. Daj mi noz”.

Wieczorem spotkalem na podeście zdenerwowanego Olega Nikolajewicza. Widzialem, ze na mnie czeka, bo byl bez palta i czapki, nigdzie nie wychodzil i znikad nie wracal. Stal pod drzwiami jak krewny, ktory wie, ze lekarz przekaże mu zaraz zle nowiny. Spróbowal sie usmiechnac, spytal, jak sie miewam. Odparlem, ze dobrze, ale jestem bardzo zmeczony. Nie ustapil, ani drgnal.

- Nikolaju Iwanowiczu - powiedzial - znowu musze prosic pana o pomoc. - Wiedzialem, ze chodzi o tego staruszka.

- Olegu Nikolaj ewiczu - odparlem - prosze wybaczyc, ale nie wiem, co jeszcze moglym zrobic.

- Nikolaju Iwanowiczu, ja prosze. Niech pan pojdzie do niego do domu. Tylko popatrzec, sprawdzic. Ktos u niego jest. Bylem na schodach i slyszalem, jak schodzili. Prosze.

Spojrzalem mu w oczy, a on odwrócił wzrok. Widzialem, ze wstydzil sie mnie o to prosic. Patrzac wstecz, mysle, ze chodzilo mu nie tyle o przyjaciela, ile o sprzeciw przeciwko zmianom, o walkę z czasem. Po prostu chcial jak najdluzej zyc zyciem, jakie dobrze znal, miec swego przyjaciela, kota, ksiazki, chcial zachowac swoje maniere. To pewnie dlatego zostal w tym mieszkaniu, zamiast wynajac je i zyc z pobieranych oplac, jak wiekszosc starszych Rosjan, ktorzy mieli takie garsoniere (ich

mniej materialne aktywa zniknęły podczas gospodarczej rzezi w latach dziewięćdziesiątych). Oleg Nikołajewicz chciał zatrzymać czas.

- Dobrze - odparłem w końcu. - Gdzie on mieszka? - Powiedział mi gdzie i wciąż pamiętam ten adres: Kalinińska 9, mieszkania 32 (między naszą kamienicą i bulwarem, przy uliczce z cerkwią).

- Trzeba skrócić w prawo, potem w pierwszą ulicę w lewo, tak? Przy tej cerkwi?

- W Rosji - odparł Oleg Nikołajewicz - nie ma ulic, tylko kierunki.

Znowu włożyłem czapkę i rękawice i zszedłem na dół. Naszą ulicą doszedłem do bulwaru i skręciłem w Kalinińska. Było ciemno i jedynymi żywymi stworzeniami, jakie tam widziałem, było stado czarnych wron na pojemniku z odpadkami. W świetle latarni błyszczał czarny lód pod rynkami.

Stanąwszy przed kamienicą Konstantina Andriejewicza, zrobiłem to, co robią moskiewscy bezdomni w mroźną zimową noc: zadzwoniłem do wszystkich mieszkań naraz z nadzieją, że ktoś nieostrożny, obdarzony darem współczucia czy pijany pozwoli im przespać się na klatce. Ktoś odebrał, kazał mi spieprzać, wpuścił mnie i tak, może niechcący, i krętymi schodami wokół szybu windy wszedłem na trzecie piętro. Znalazłem drzwi do mieszkania Konstantina Andriejewicza.

Słyszałem jego oddech. Zadzwoniłem i usłyszałem, jak ktoś cicho mamrocze, jak skrzypi wszędobylski parkiet. Zatrzymał się może dwadzieścia centymetrów od drzwi i usłyszałem ciche skrzyknięcie jego skórzanej kurtki, kiedy nachylił się, by zerknąć przez judasza. Po świszczącym oddechu poznałem, że dużo pali.

Był tak blisko, że mógłby ucisnąć mi rękę albo poderznąć gardło.

Staliśmy naprzeciwko siebie, niewidoczni za rozdzielającymi nas drzwiami, zdawało się, przez sto lat, chociaż upłynęło zaledwie pół minuty. Potem tamten charknął i splunął na podłogę. Jakby czuł się w obowiązku udawać, że go tam nie ma i jednocześnie wyraźnie dawał mi do zrozumienia, że ma to gdzieś, iż ktoś taki jak ja wie, że jest inaczej. Odwróciłem się i zacząłem schodzić na dół, początkowo powoli, potem szybko, po dwa, trzy stopnie naraz, tak jak uciekałabyś pewnie przed niedźwiedziem, z nadzieją, że bestia nie wyczuje, jak bardzo się boisz.

Na parterze spotkałem staruszkę, która wyjmowała listy ze zdewastowanej skrzynki.

- Przepraszam - zagadnąłem ją po rosyjsku - nie wie pani, kto mieszka pod trzydzieści dwa, w mieszkaniu Konstantina Andriejewicza?

- Im mniej wiesz, tym dłużej pożyjesz - odparła, nawet nie podnosząc głowy.

- Proszę...

Odwróciła się. Miała bystre oczy i białą kozią bródkę.

- A wy kto?

- Nazywam się Nicholas Platt. Jestem znajomym Konstantina Andriejewicza.

- Mii-ister Platt - powiedziała - na górze jest chyba jego syn. Tak mi powiedzieli.

- Widziała go pani?

- Może.

- Jak wygląda?

- Nie pamiętam.

Wiatr hulał w kanionach między starymi kupieckimi kamie-

nicami, siekąc w twarz śniegiem, zatykając nos i zmuszając do płaczu oczy. Wracając, zapomniałem włożyć czapkę. Gdybym szedł powoli, mógłbym stracić ucho. Strzepując śnieg z butów, wbiegłem na górę i zadzwoniłem do drzwi Olega Nikołajewicza.

- Olegu Nikołajewiczu - spytałem, kiedy otworzył - czy Konstantin Andriejewicz ma syna?

Oleg Nikołajewicz pokręcił głową.

A potem, ponieważ wciąż tam staliśmy i ponieważ nie wiedziałem, co jeszcze powiedzieć, chociaż powiedzieć coś chciałem, spytałem, jak ma na imię jego kot.

- Jerzy - odparł i się odwrócił.

## 10

- Wiesz, jak to robią? Jak robią to poważni faceci? Najpierw znajdują jakiegoś pijaka albo menela, dają mu pięćset dorców, zdjęcie ofiary i obiecują, że drugie tyle dostanie po robocie. Menel myśli: a co mi tam, za taką kasę mogę przez cały rok chlać denaturat albo płyn do chłodziac. Bierze majcher czy młotek i załatwia faceta w drzwiach jego własnego domu albo w jakimś zaułku. A jeśli ma wygórowane ambicje, strzela mu w łeb z pistoletu-wiatrówki, które na Litwie przerabiają na ostrą broń.

- Dlaczego akurat na Litwie?

- Posłuchaj, to jeszcze nie koniec. Teraz będzie najlepsze: potem klient daje dziesięć patyków zawodowcowi, żeby zakatrupił tego menela, ale wiesz, tak porządnie, z tłumikiem, bezpiecznym strzałem w głowę, pełny serwis, kategoria de luxe. Tym sposobem pęka ostatnia nić między klientem i pierwotnym celem. Koniec, finito...

Pamiętam, że w tym momencie Steve Walsh urwał, żeby popatrzeć na dwie długonogie rude striptizerki, które ganiały się wokół rury za moim lewym ramieniem, jedna przebrana za królika (elastyczne uszy, biały puszysty ogonek), druga za niedźwiedzia (pazury, stanik z niedźwiedziej skóry, mały brązowy niedźwiedzi nos). Ruskie Safari, chyba tak się ta speluna na-

zywała. Był to jego ulubiony lokal, gdzieś na Komsomolskim Prospekcie.

- O rany - mruknął, dopijając wino.

Zaczął mówić o zabijaniu, kiedy spytałem, jak mu poszło z artykułem o energii, nad którym pracował jesienią. Zdjęli go, odparł, bo wydawcy przestraszyli się procesu o zniesławienie. Ale tak, był na Syberii, w jednej z tych rosyjskich krain, trzy razy większej od Europy. Minus trzydzieści siedem stopni, omal nie odmroził sobie palców u nóg. Pojechał tam, bo miesiąc przedtem jednemu z tamtejszych gubernatorów krew uderzyła do głowy: rozpoczął wielką kampanię przeciwko korupcji, wkurzył kogoś z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i zaraz potem znalaziono go martwego w bani na końcu jego własnego ogrodu. Samobójstwo, przynajmniej według prokuratora i lokalnych gazet. Facet strzelił sobie w głowę - dwa razy.

Wybuchnęliśmy śmiechem. Po jakimś czasie człowiek uczył się tam śmiać.

I tak zaczął opowiadać o rosyjskim rynku morderstw na zlecenie. Cena ciągle rośnie, mówił. Można wynająć emerytowanego czeczeńskiego bojownika, ale trzeba załatwiać to przez ich znajomków z rosyjskiej armii, którzy sprzedają im broń, co podbija stawkę. Żeby znaleźć dzisiaj wykwalifikowanego mordercę za mniej niż tysiąc dolarów, trzeba jechać do Jekaterynburga albo do Kaługi. Inflacja, mówił. Straszne, odparłem.

Niedźwiedź schwytał królika albo odwrotnie i dziewczyny zaczęły się wzajemnie lizać i zjadać. Kiedy skończyły, z biegnącej od podłogi do sufitu rury za kostkę u nogi zwisała blondyna w lotniczych goglach, wysokich szpilkach i niczym więcej. Rozanielony Steve pociągnął łyk czerwonego wina.

W pierwszym roku mojego pobytu w Moskwie - pewnie po-

winiem ci się do tego przyznać - bywałem w takich spelunkach aż za często, w Królowej Śniegu, Pigalle, w Kamasutrze. Poniekąd należało to do moich obowiązków. Przedtem, jeszcze w Londynie, byłem parę razy w lokalu z tańcem erotycznym w Clerkenwell, na wieczorze kawalerskim, ale ani razu ot, tak sobie, natomiast w Moskwie każdy, kto miał fiuta i kartę kredytową, wszyscy zagraniczni prawnicy i bankierzy, tudzież polowa Rosjan, których było na to stać, spędzał w takich miejscach co najmniej jeden wieczór tygodniowo, wpychając ruble za czyjeś zdobione dżetami majtki. Ale tamtej zimy zaczęło to być ponizające - ponizające dla mnie, nie dla tych dziewczyn. O dziewczynach nawet nie myślałem. Poza tym jakiś barman dopisał mi raz do rachunku kilka astronomicznie drogich koktajli, których nie wypilem, i kiedy zacząłem się z nim o to wyklócać, bramkarze wyprowadzili mnie na małe podwórko za kuchnię i targali za włosy dopóty, dopóki nie zgubiłem okularów i nie zgodziłem się zapłacić. No i wtedy była już Masza, Masza mi wystarczyła. Od dawna nie zależało mi tak na żadnej dziewczynie. Bo zwykle, nawet jeśli jakaś mi się podobała, już po paru miesiącach oglądałem się za inną. Ale Masza była coraz miłsza, coraz bardziej zapamiętała i samolubna, ale w dobrym znaczeniu tego słowa. Czułem, że jesteśmy prawdziwi, ona i ja, namacalni jak dwoje ssaków w ciemności.

Od miesiący nie spędziłem ani jednego wieczoru w gejowskiej atmosferze na wpół pijackiego podniecenia. Ale Steve chciał iść, więc poszliśmy.

- Jak tam miłość twego życia? - spytał. - Ta z metra.
- Dobrze.
- Wprowadziła się już?
- Nie. Prawie. To znaczy, niezupełnie. Jeszcze nie.

- A babuszka z Murmańska? Kiedy się pojawi?

- Wal się.

Był chyba początek lutego. Cmentarz, ten między moim domem i bulwarem, był zasypany śniegiem do pasa, a jeszcze więcej śniegu leżało po nieoczyszczonej stronie mojej ulicy. Masza miała się dobrze, obydwójce mieliśmy się dobrze. Spędzała u mnie teraz dwie, trzy noce tygodniowo. Zacząłem kupować jej ulubione przysmaki, marynowane grzyby, sok jagodowy i taki rosyjski napój, coś w rodzaju jogurtu, którego nie mogłem jakoś polubić. Wynająłem białoruską sprzątaczkę, żeby w mieszkaniu było względnie czysto. Wkraczaliśmy w etap, w którym mogłaby się do mnie wprowadzić, i gdybyśmy byli w Londynie, gdzie, jak dobrze wiemy, życiowy pragmatyzm i rynek handlu nieruchomościami popychają żądze ku ostatecznym deklaracjom, mieszając teraźniejszość z przyszłością, i gdzie każdy romans kończy się ostateczną konkluzją, pewnie by się wprowadziła. Pracowała niedaleko Galerii Trietiańskiej i z Puszkińskiej jechałaby do pracy trzy czwarte krócej niż z Szosy Leningradzkiej. Ale ona o tym nie wspominała, a ja nie nalegałem.

- Ma siostrę - powiedziałem. - Katię. Blondynka, ładna dziewczyna. Ma dwadzieścia lat. Niewinna i dorosła jednocześnie. Studiuje na MGU. Spodobałaby ci się.

- Na pewno.

- Tylko że to nie jej siostra, lecz kuzynka.

- No tak... - Na scenę wchodziły właśnie kelnerki na cogo-dzinny taniec dzikusów. Minispódniczki w lamparcie cętki, sięgające ud kozaczki z węzowej skóry - czułem, że Steve przestaje interesować się tematem.

- Dziwna rzecz - ciągnąłem. - Byłem ze znajomymi w tej uzbeckiej knajpie nad Neglinką. W sylwestra, po tym, jak pod-



pisaliśmy z Kozakiem jakieś papiery. Katia obsługiwała tam gości. Prosiła mnie, żebym nie mówił Maszy, że ją widziałem.

Nie powiedziałem mu o tej pierwszej nocy, kiedy na nas patrzyła. Nie powiedziałem nikomu. Chciałem, pewnie jak każdy facet. Ale bardziej chciałem postrzegać Maszę i nas inaczej, czyściej.

- Kiedy zabierzesz je do domu i rozpakujesz - rzucił rozkojarzony Steve - zawsze brakuje jakiegoś kawałka.

Zacząłem opowiadać mu, jak poznałem ich ciotkę. Opowiedałem o Butowie, o tym, że Tatiana Władimirowna chce wyprowadzić się z centrum i że jej pomagam. Trzeba było odstać swoje w kolejkach do różnych urzędów, do agencji czynnych tylko w co drugi czwartek i tylko przez dwie godziny. Parę razy musiałem tam wpaść, żeby podpisać jakieś dokumenty, ale prawie całą bieganinę zwałem na Tatarkę Olgę, tę z naszego biura - niedawno kupiła małe mieszkanie i знаła się na tym jak mało kto. Dałem jej adres Tatiany Władimirownej i adres mieszkania w Butowie, bo te papiery też musieliśmy sprawdzić: ulica Kazańska 46 mieszkania 23. Obiecałem jej, że jeśli to wszystko załatwi, zabiorę ją do zdziarsko drogiego baru na najwyższym piętrze hotelu przy Teatrze Bolszoi.

- Nie przepracuję się - powiedziałem. - I nic nie będzie mnie to kosztowało. Tatiana Władimirowna to bardzo miła starsza pani. Przeżyła oblężenie Leningradu.

- No, tak... - mruknął Steve. Żeby odciągnąć go od tańca dzikusów, Tatiana Władimirowna musiałaby być co najmniej pięćdziesiąt lat młodsza.

Więc obejrzeliśmy taniec. Z małego, brudnego boksu po lewej stronie sceny. Po kilku minutach bębny ucichły i kelnerki na powrót włożyły sukienki. Steve nagroził je oklaskami.

Spytał mnie o Kozaka.

- Wiesz, czyja to przykrywka? Twój przyjaciel Kozak.

- No?

- Zastępcy szefa prezydenckiej administracji. Prawdopodobnie. Albo szefa rady bezpieczeństwa. Ci z Sankt Petersburga biorą wszystko, co się da, i stara banda z Ministerstwa Obrony zaczyna się denerwować. Próbują zgarnąć jak najwięcej kasy, dopóki jeszcze mogą. Pewnie zatrzymają część tej spółki, żeby mieć potem na drobne wydatki.

- Może. Nie jesteśmy aż tak naiwni, Steve. Pewnie masz rację. Ale projekt jest już w realizacji i tylko to się liczy. Za kilka tygodni dostaną drugą transzę, ostatnią za parę miesięcy. Twierdzą, że pod koniec lata na platformę popłynie pierwsza ropa. Jeśli do wiosny nie zaczną spłacać kredytu, zabułą karę, zgodnie z umową.

- Na pewno wiesz, co robisz, Nick. A propos: trochę popytałem. Mówiłeś, że ta firma logistyczna należy do Narodnieftu, tak? To wydmuszka. Nikt o niej nie słyszał. Ich logistyka polega pewnie tylko na tym, że pompują kasę do Liechtensteinu. Jak dowiesz się, kto za tym stoi, daj mi znać.

- Może.

Między stolikami maszerowały trzy dziewczyny w czerwo-noarmiejskich papachach. W rękach trzymały repliki pistoletów maszynowych (przynajmniej myślę, że repliki) i były opasane szeroką taśmą z nabojami, starannie ułożoną, żeby niczego nie zasłaniała. Mnóstwo silikonu i bardzo mało włosów na ciele.

- Nie jedziesz na Kaukaz? - spytałem.

W telewizji mówili, że znowu robi się tam gorąco, w którymś z tych muzułmańskich regionów, gdzie zawsze ktoś się buntuje i umiera.

- Pewnie pojedę - odparł. - Ale trudno takie coś sprzedać. Londyn ma to gdzieś, chyba że liczba ofiar ma co najmniej trzy zera. Poza tym, Rosjanie nikogo tam nie wpuszczają. Trzeba jechać do Czechenii i dać komuś w łapę, żeby przeprowadził cię przez granicę. Może w przyszłym tygodniu. Szkoda by było stracić okazję.

Dwóch turystów zniknęło w kabinach obok toalet, zabierając ze sobą niedźwiedzia i królika. Skoro już mówię ci wszystko, muszę się również przyznać, że ja też to robiłem, to albo coś podobnego. W Moskwie płaciłem za to chyba ze trzy razy. Za pierwszym razem przypadkowo, gdy za późno zdałem sobie sprawę i za daleko to zaszło, bym mógł się powstrzymać, a potem jeszcze dwa razy, gdy złamałem tabu i pomyślałem, a co tam. Raz, na samym początku, udało mi się nawet wyrwać ukraińską modelkę i zaciągnąć ją za friko na chatę, chociaż była wtedy w pracy. Nie potępiaj mnie za to. W Londynie nigdy bym tego nie zrobił. Przynajmniej na razie mnie nie potępiaj.

- Steve - spytałem - myślisz czasem o tym? To znaczy, nie martwi cię, jak tu żyjemy? Co by powiedziała twoja matka, gdyby cię teraz zobaczyła?

- Moja matka nie żyje.

- Wiesz, o co mi chodzi.

- Rosja... - Steve spojrział mi prosto w oczy swymi nabiegłymi krwią oczami i nagle spoważniał. - Rosja jest jak lariam. Wiesz, to lekarstwo na malarię, po którym ma się tak odleciane sny, że można wyskoczyć przez okno. Jeśli zaczynasz mieć lęki, obawy i wyrzuty sumienia, powinieneś to rzucić. Powinieneś rzucić Rosję. Bo zwariujesz.

- Przedtem mówiłeś, że Rosja jest jak polon.

- Naprawdę?

Znowu przestał mnie słuchać. Skupił wzrok na rurze, wokół której blondyna w kowbojskim kapeluszu, skórzanych ochraniaczach i w niczym więcej łapała na łąso stadko brunetek w skórzonym bikini. Pomachał do kelnerki i stukając palcem w pusty kieliszek, poprosił o kolejną dawkę mołdawskiego merlota.

## 11

Gdzieś w połowie lutego Tatiana Władimirowna znowu była w Butowie, chyba z Katią. Zobaczyłem się z nimi zaraz po powrocie, kiedy pojechaliśmy na narty do parku w Kołomienskoje na drugim brzegu zamarzniętej na kamień rzeki Moskwy. Myślałaś, że nie umiem jeździć na nartach, prawda? I miałaś rację.

Kiedy zaprowadziliśmy Tatianę Władimirowna do zabłoconej kafejki przy wejściu do parku, przepędziła nas machnięciem ręki i zamówiła herbatę i bliny. Masza i Katia miały własne narty, dłuższe i cieńsze niż te, które pamiętałem ze studenckich czasów, z tygodniowego wypadu na stok (siedem dni chłania, sikania do umywalki i zwichnięta kostka u nogi). Ja wypożyczyłem moje w kiosku za bramą, deski i filcowe buty, które pierwszy raz noszono chyba podczas inwazji Rosji na Finlandię. Ubity śnieg pod płotem cementarza na mojej ulicy przypominał już wielowarstwowy włoski deser, który tak ci smakuje: górna warstwa była biaława, ta pod nią kremowa, trzecia brudnożółta jak kwas z przeciekającego akumulatora, następna była nadziewana śmieciami (zbitymi butelkami, torebkami po chipsach i samotnym butem zawieszonym w białej ziarnistej lawie), a ta ostatnia, ta na samym dole, składała się ze złowieszczego czarnego szlamu. Ale w Kołomienskoje śnieg był wciąż biały, głupio biały,

na wierzchu twarde i bolało, kiedy się upadło, a ja padałem ciągle, zjeżdżając na dół i wdrapując się na górę, parę razy gubiąc przy tym okulary, których szukałem w puchu odzianymi w grube rękawice paluchami.

Jazda na nartach była dla Maszy i Kati czymś naturalnym, jak chodzenie na wysokich obcasach czy tańczenie. Śmiały się, kiedy się przewracałem, ale nie popędywały mnie, cierpliwie czekając, aż nabiorę wprawy. W kępie dębów był drewniany domek, zbudowany ponoć przez Piotra Wielkiego, i stara cerkiew poświęcona - jak wszystkie cerkwie - jakiemuś mitycznemu zwycięstwo Rosjan nad Polakami. Cerkiew była zamknięta i opleciona poziomymi rusztowaniami jak naszyjnikami z ciosów jakiegoś zwierzęcia. Stał tam mężczyzna z saniami obwieszonymi dzwoneczkami, ciągnięty przez trzy białe konie, który oferował klientom przejażdżkę między drzewami. Dziewczyny były w kombinezonach narciarskich, cienkich wodoodpornych spodniach i aerodynamicznych kurtkach. Ja nie, więc byłem zgrzany i spocony. Ale kiedy weszliśmy na szczyt stoku nad jeziorem, zamrożonym pośród nagiego lasu, przestało to mieć znaczenie. Widok zapierał dech w piersi.

Gdy wróciliśmy do kafejki, dziewczyny poszły do toalety przebrać się w dżinsy, pamiętam, że po kolei, nie razem, podczas gdy ja tajałem powoli z Tatianą Władimirowną.

- Brawo, Kolia - powiedziała, kiedy już wszyscy usiedliśmy. - Niedługo będziesz jednym z nas. Prawdziwym Rosjaninem.

- Może i będzie - mruknęła Masza. - Nie umie jeździć na nartach, za to uwielbia banię. - Spojrzała na mnie, uśmiechając się kącikiem ust znacząco i z wyraźnym triumfem. Zacerwieśniłem się.

Tatiana Władimirowna opowiedziała nam o swojej wyprawie do Butowa. W mieszkaniu zrobiono niewiele. Ale Stiepan Michajłowicz powiedział, że ostatnio zakładali głównie instalację elektryczną i najważniejsze, podkreśliła, że tak tam ładnie w tym śniegu, z tymi śladami zimowych butów między drzewami i wokół stawu w lesie za blokiem.

Kiedy była małą dziewczynką, mówiła, zanim jeszcze przeprowadzili się do Leningradu, sami robili sobie narty, z kory. Na zimę marynowali ogórki w wielkich słojach, kapustę, buraki i pomidory, a w listopadzie zabijali świnie i wystarczyło im to prawie do roztopów. Tak, byli biedni, ale o tym nie wiedzieli. Na górnej wardze miała delikatny jasny wąsik, którego wcześniej nie zauważyłem. Musiała go czymś rozjaśnić.

- Wiesz, Kola - powiedziała. - Z okna tego mieszkania widać cerkiew. Wiesz, co to za cerkiew?

Widziałem ją - o białych ścianach i ze złotymi kopułami - stojąc na balkonie, ale nie miałem pojęcia, jakiego upamiętnia świętego czy cara.

- Jest bardzo wyjątkowa - ciągnęła Tatiana Władimirowna. - Zbudowano ją ku czci pomordowanych przez Stalina. Podobno rozstrzelano tam dwadzieścia tysięcy ludzi. Może nawet więcej. Nikt nie wie ilu... Nie jestem religijna, podobnie jak moja mama, straciliśmy wszystko w Leningradzie. Ale to chyba dobrze, że widać ją z mojego okna.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Masza i Katia też milczały. Szyby były zaparowane tak bardzo, że ściekała po nich woda.

W końcu Tatiana Władimirowna spytała:

- Będiesz miał dzieci, Kola?

Nie wiem dlaczego, miało to coś wspólnego z tym, że życie zawsze toczy się dalej albo z wiarą w to, że tak jest, ale jej pytanie

łączyło się jakoś naturalnie ze Stalinem, cerkwią i masowymi grobami. Próbowałem nie patrzeć na Maszę, wyczułem jednak, że odwraca się i skupia na swojej herbacie.

- Nie wiem - odparłem. - Chciałbym.

Trochę skłamałem. Na znajomych, którzy zostali ojcami, zawsze patrzyłem z mieszaniną pogardy i zwierzęcego przerażenia. A ich dzieci, pełzające jak żółwie i chwytające wszystko, co się dało, nie wzbudzały we mnie żadnych uczuć. Nie martw się, teraz jest inaczej. Wiem, że chcesz mieć dzieci, to już postanowione.

Tamtego popołudnia powiedziałem po prostu to, co Masza chciała usłyszeć, co chciały usłyszeć większość kobiet. I gdyby powiedziała mi wtedy, że jest w ciąży, pewnie bym chciał, żeby urodziła, nawet bym się ucieszył - nie z dziecka, tylko z tego, że miałbym wtedy szansę zostać z nią na zawsze. Chociaż zastanawiam się teraz, czy w głębi duszy nie wiedziałem, że happy end nie jest nam pisany, i że tym, co mi się w niej najbardziej podoba, jest ulotność naszego wspólnego życia. Chociaż próbowałem tego nie dostrzegać, chyba jednak widziałem, że czegoś w nim brakuje, albo że coś się pod tym kryje.

- A ja chcę mieć dzieci - wtrąciła Katia. - Sześcioro. Może nawet siedmioro. Ale po studiach.

Prosta była z niej duszyczka, otwarta księga, baśń.

- Masza - powiedziała z czułością Tatiana Władimirowna - widzę cię jako matkę.

- Tak, chcę mieć dzieci - odparła Masza niskim, poważnym głosem, nie podnosząc wzroku. - Ale nie w Moskwie.

- Maszeńka. - Tatiana Władimirowna ujęła jej rękę, a dłonią drugiej przykryła moją. - Gdybym mogła w życiu coś zmienić,



zmieniłabym właśnie to. Piotr Arkadjewicz i ja nie mieliśmy szczęścia, no i oczywiście on dużo pracował i dobrze nam się żyło, ale koniec końców...

- Dość tego - powiedziała stanowczo Masza i zabrała rękę.

Tatiana Władimirowna strzelała oczami spod równo przyciętej szarej grzywki, patrząc to na mnie, to na nią. Podłoga była śliska od umierającego śniegu.

Zamówiliśmy wódkę i „śledzia w futrze” (marynowana ryba pod grubą warstwą szlamu z ćwikły i majonezu). Zaczęliśmy rozmawiać o zamianie mieszkań.

Powiedziałem, że trzymam rękę na pulsie. Że za parę tygodni powinniśmy mieć wszystkie zaświadczenia.

- Dziękuję ci, Nicholas - odrzekła Tatiana Władimirowna. - Bardzo ci dziękuję.

Potem rozmawialiśmy o pieniądzach.

Chyba pierwszy raz tak szczegółowo. Masza powiedziała, że ponieważ Butowo jest warte mniej niż stare mieszkanie Tatiany Władimirownej, Stiepan Michajłowicz dopłaci jej pięćdziesiąt tysięcy dolarów. (W Moskwie rozmawiało się wtedy, myślało i przekupywało dolarami, przynajmniej kiedy w grę wchodziły duże pieniądze, chociaż właściwych transakcji dokonywano w rublach).

Rzecz w tym, że pięćdziesiąt tysięcy było kwotą zbyt małą. Mieszkania w centrum miasta, takie jak Tatiany Władimirownej, cieszyły się dużą popularnością wśród pijanych naftą zagraniczników i nadzianych Rosjan, którzy chcieli mieć pod bokiem swoje kochanki. W Moskwie można było znaleźć wino, którego butelka kosztowała więcej, niż proponował Stiepan Arkadjewicz, i ludzi, którzy kosztowali dużo mniej. Ale dla Tatiany Władimirownej pięćdziesiąt tysięcy dolarów musiało być czymś

równie niewiarygodnym jak dwadzieścia tysięcy ofiar Stalina pogrzebanych warstwami pod śniegiem w Butowie.

Początkowo powiedziała nie, nie wiedziałyby, co zrobić z takimi pieniędzmi. Potem przyznała, że trudno jej wyżyć z emerytury, jak zresztą wszystkim - ale z drugiej strony miała trochę oszczędności, poza tym dostawała specjalny dodatek od państwa za to, że przeżyła oblężenie Leningradu, no i dodatek za męża, za jego wkład w przegraną sowiecką sprawę. Chociaż, powiedziała, miło by było pojechać kiedyś do Sankt Petersburga...

- Zgódź się, ciociu - powiedziała Masza.

- Zgódź się - zawtórowała jej Katia.

- Moim zdaniem - dodałem - powinna pani przyjąć te pieniądze.

Tatiana Władimirowna powiodła wzrokiem po naszych twarzach.

- Dobrze, niech będzie. - Klasnęła w dłonie. - Może pojedę do Nowego Jorku! Albo do Londynu. - Puściła do mnie oko.

Roześmialiśmy się i wypiliśmy.

- Za nas! - zakrzyknęła Tatiana Władimirowna i jednym haustem wychyliła cały kieliszek. Uśmiechnęła się i jej skóra, wciąż napięta na wystających, typowo rosyjskich kościach policzkowych, wyglądała przez chwilę jak skóra szczęśliwej dziewczyny ze zdjęcia zrobionego na Krymie w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym.

Pod koniec lutego - mniej więcej tydzień przed przyjazdem matki - złapałem paskudny moskiewski katar, a potem zupełnie się rozłożyłem. Symptomy włączały się po kolei, jak muzycy, którzy odgrywają swoje solówki, by w finale zagrać razem: najpierw katar, potem bolące gardło, jeszcze potem ból głowy i cała

reszta. Masza przepisała mi miód z koniakiem i zabroniła seksu oralnego. Dwa czy trzy dni przeleżałem w łóżku, bez entuzjazmu oglądając amerykańskie dramaty na DVD, słuchając, jak pomarańczowe ludziki odkrobują chodnik, jak ulicą przejeżdżają śmieciarki i jak na dole smętnie miauczy kot Jerzy.

Kiedy wróciłem do pracy, Tatarka Olga przysiadła na brzegu mojego biurka i zapoznała mnie z dokumentami, jakie udało jej się zebrać dla Tatiany Władimirownej. Jedno zaświadczenie potwierdzało, że mieszkanie sprywatyzowano zgodnie z prawem. Drugie, że burmistrz nie zamierza na razie burzyć kamienicy. Trzecie, że nikt inny nie ma prawa tam mieszkać. Na jednym z dokumentów obok nazwiska Tatiany Władimirownej widniało nazwisko jej męża, ale ktoś je przekreślił, dopisując słowa: „Nie żyje”. Olga zdobyła również zaświadczenie z planem mieszkania, planem całego piętra i schematami instalacji, elektrycznej i ściekowej. Wszystkie papiery były upstrzone plamiatymi pieczęciami, jak nowoczesne dzieło sztuki. Tyle dokumentów, pomyślałem, a mieszkanie i tak nie należy do ciebie, nie do końca. W Rosji tak już jest. Car, prezydent czy kogośkolwiek u władzy może ci w każdej chwili wszystko odebrać albo zabrać ciebie.

- Czego jeszcze potrzebujemy? - spytałem.

- Tylko przeniesienia tytułu z rejestru nieruchomości - odparła Olga. - No i musi ją zbadać lekarz, żeby potwierdzić, że nie jest pijana czy chora umysłowo.

To konieczne, tłumaczyła, bo bywało, że Rosjanie sprzedawali mieszkanie, a kilka miesięcy później mówili, że w chwili dokonywania transakcji byli nawaleni, naćpani albo niepoczytalni, żądali anulowania sprzedaży i zwrotu mieszkania. Albo żądał tego dawno zaginiony siostrzeniec, który się nagle poja-

wiał. Za odpowiednią kwotę w rosyjskim sądzie można było udowodnić absolutnie wszystko, ale zaświadczenie z kliniki utrudniłoby zadanie ewentualnym oszustom.

Powiedziałem Oldze, że jest aniołem.

- Bez przesady - odparła, ale bynajmniej nie kokieteryjnie, tylko ze smutkiem.

- A co z Butowem? - spytałem.

- Tu też robimy postępy. Blok zbudowano legalnie na terenie należącym do zarządu miejskiego. W jej mieszkaniu, numer dwadzieścia trzy, nie są zameldowani żadni lokatorzy. Blok jest podłączony do miejskiej kanalizacji i do sieci elektrycznej. Właścicielem obiektu jest MosStrojInvest.

Myślałem, że mieszkanie należy do Stiepana Michajłowicza.

- Może ten MosStrojInvest to jego firma - powiedziała Olga. Podniosła dokumenty wysoko nad głowę, jak przynętę.

- No to kiedy idziemy na drinka?

Przypomniało mi się coś, co powiedział mi Paolo, kiedy tylko przyjechałem do Moskwy. Powiedział, że bycie prawnikiem w Rosji ma wiele złych stron, ale ma również dobrą. Te złe to miliard bezsensownych, niezrozumiałych i sprzecznych z sobą przepisów. A dobrą jest to, że nie trzeba ich przestrzegać. Byłem pewny, że MosStrojInvest da się jakoś obejść.

- Już niedługo - odparłem, sięgając po papiery.

Pamiętam, że Siergiej Borysowicz, nasz zdziwiony kartofel, wrócił właśnie z Tajlandii i zrobił nam wszystkim przymusowy pokaz - w PowerPoint - swoich zdjęć. Byliśmy zadowoleni, a przynajmniej usatysfakcjonowani zawodowo: wydaliśmy już zgodę na przelew drugiej transzy kredytu dla Kozaka, a według Wiaczesława Arkadjewicza, naszego kontrolera, tempo przebiegu prac na tankowcu wskazywało, że wkrótce będzie przy-

sługiwała mu trzecia i ostatnia. Kozak przysłał nam skrzynkę żywych krabów (napisał, że z morza wokół nowej platformy). Spojrzałem w okno i zobaczyłem stadko pomarańczowych ludzików, którzy zrzucali śnieg z białych dachów po drugiej stronie placu, pełzając po stromiznie i niebezpiecznie grzebiąc w rynnach.

W sypialni było jak w piecu. Otworzyłem okno, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza i zaciągnąłem te dziwne falbaniaste zasłony. Masza leżała z pięściami zaciśniętymi na mojej piersi, patrzyła w ścianę, oddychając i koncentrując się jak średniodystansowiec.

Nie widziałem jej od ponad tygodnia. Byłem chory i myślałem, że na kilka dni wyjechała - jej komórka przełączała mnie od razy na pocztę głosową - chociaż twierdziła, że nie. Nagle przypomniały mi się słowa Tatarki Olgi i zaniepokojony postanowiłem ją o to spytać.

- Co to jest MosStrojInvest?

-Co?

- MosStrojInvest. Co to jest?

- Co? - Przestała się kołysać się i wyginać, ale wciąż ciężko dyszała. - Nie wiem.

- To firma, do której należy mieszkanie w Butowie. Mieszkanie Tatiany Władimirownej.

Masza stoczyła się na łóżko. Położyła się obok mnie i patrzyła na hieroglfkzne wzory na suficie. Nie dotykaliśmy się już żadną częścią ciała.

- MosStrojInvest... To chyba firma Stiepana Arkadjewicza. Albo... Jak to się mówi? Męża jego siostry.

- Szwagra.

- Tak, firma jego szwagra. Tak, tak się chyba nazywa. Tak, MosStrojInvest.

- Lepiej się upewnić - powiedziałem. - Bo Tatiana Władimirowna może mieć problemy. - W tamtych czasach było mnóstwo problemów z rosyjskimi deweloperami. Bywało, że sprzedawali wszystkie mieszkania w bloku, znikali, zanim go ukończono i klienci zakładali obozy protestacyjne albo podpalali się przed moskiewskim Białym Domem niedaleko hotelu Ukraina.

Masza przemyślała to z odwróconą głową i ukrytą w poduszce twarzą. Miała zaczerwienioną szyję. Moje palce zostawiły czerwone odciski na jej bokach.

- Nie będzie żadnych problemów - powiedziała. Odwróciła się do mnie, ujęła w obie dłonie moją rękę, i spojrzała mi w oczy. Jej były zielone jak dżungla. Skórę miała młodą, ale ciało twarde, jędrne i umięśnione, jak tancerka albo bokserka. - I Kola - dodała raczej zimno niż czule - prosiłyśmy cię tylko, żebyś przygotował papiery dla Tatiany Władimirownej. Te na Butowo przygotowuje Stiepan Michajłowicz. Nie musisz się o nie martwić. Już je mamy. Ty powiesz tylko Tatianie Władimirownej, że są w porządku. Musisz jej to powiedzieć, Kola.

Milczałem. Dotknęła mnie.

- Wracaj - powiedziałem.

Tylko tyle, ale obydwójce wiedzieliśmy, co to znaczy. Postanowiłem jej uwierzyć. Stałem po jej stronie.

- Dobrze - odrzekła i wróciła.

To wyjątkowa osoba, Masza. Muszę to przyznać. Pełne skupienie i opanowanie. Byłaby doskonałym chirurgiem. Albo, w innym kraju, pierwszej klasy zakonnicy. Albo aktorką - byłaby świetną aktorką. Była świetną aktorką.

Kiedy znowu poszedłem na Czyste Prudy, na zamrożonym stawie roilo się od łyżwiarzy. Z mieszkania Tatiany Władimirownej wychodził jakiś mężczyzna. Czterdzieści kilka lat, przylizany, w eleganckim zamszowym palcie. Bankier, pomyślałem natychmiast. Na małym palcu miał sygnet i wyglądał tak, jakby niedawno odwiedził luksusowy zakład fryzjerski. Pachniał pieniędzmi. Katia flirtowała z nim w drzwiach, uśmiechając się, wyginając i wypinając piersi. Mężczyzna powiedział mi po rosyjsku „dobry wieczór”, postawił kołnierz i odszedł. Nie robił wrażenia kogoś, kto mógłby mieć powód, by odwiedzić Tatianę Władimirowną.

- Kto to był? - spytałem, zdejmując buty.

- Nie wiem - odparła ze śmiechem Katia.

W tej samej chwili, ślizgając się w skarpetkach po parkiecie, podbiegła do nas Masza. Chwyła nas za ręce i zawołała:

- Chodźcie na bliny!

Rosjanie obchodzili Maslenicę, na wpół pogańskie lutowe święto, które ma coś wspólnego z Wielkim Postem, z pożegnaniem zimy i powitaniem wiosny, dzwonią wtedy cerkiewne dzwony i robi się naleśniki. Przysiedliśmy w kuchni, jedząc bliny ze śmietaną i czerwonym kawiolem. Ramy okien były oklejone taśmą, żeby ciepło nie uciekało - stary syberyjski zwyczaj, którego Tatiana Władimirowną nie mogła się pewnie wyzbyc. No i oczywiście piliśmy.

- Mam już prawie wszystkie dokumenty - powiedziałem.

- Wielkie dzięki. - Staruszka wycelowała mnie w policzki.

- Koła przygotowuje również dokumenty nowego mieszkania w Butowie - dodała Masza, mówiąc do niej, ale patrząc na mnie.

- Świetnie - ucieszyła się Tatiana Władimirowną.

Uśmiechnąłem się i postanowiłem to przemilczeć.

## 12

- Chcę, żebyś poznała moją matkę.

-Co?

- Za tydzień przyjeżdża moja matka. W czwartek mam pojechać po nią do Sankt Petersburga i w sobotę przywieźć do Moskwy. Zostanie do wtorku. Chcę cię jej przedstawić.

- Po co?

Nie mam pojęcia. Ciebie też chciałem przedstawić matce, żebyś zobaczyła, na co się piszesz (choć wiem, że nie rozumiesz, dlaczego jej małość tak bardzo mnie wkurza; często tak jest). Ale z Maszą było inaczej. Nigdy nie pytała mnie o rodzinę i raczej nie wyobrażałem sobie układu z nią i moimi rodzicami w roli głównej. Chyba chciałem się nią pochwalić, pokazać mamie, jak kompletne jest moje rosyjskie życie bez niej i bez nikogo innego. Może też próbowałem ją uspokoić, wykorzystując Maszę jako dowód mojego zadowolenia, a tym samym jej miernego sukcesu jako rodzica. A może chciałem i oczekiwałem, że Masza włoży, powie czy wypije nie to, co trzeba, sięjąc gniew i obrazę, których ja się nie miałem ochoty. Może próbowałem nawet skazać matkę moją ponurą świadomością tego, co nastąpi. Maszy chciałem powiedzieć chyba, spójrz, nie mam przed tobą żadnych tajemnic, oto, skąd pochodzę, ale nie martw



się, to już nie ja, bo ja mam już wszystko za sobą, zobacz, jak daleko zaszedłem.

- Tylko na godzinę. Proszę. To nic takiego.
- Dobrze, Kola - odrzekła. - Spotkam się z twoją matką.
- Dziękuję. Mam u ciebie dług.
- Świetnie.

Wątpię, żeby naprawdę chciała przyjechać. Pewnie naszedł ją spóźniony spazm matczynego niepokoju, a przynajmniej wrażenie, że powinna taki niepokój odczuwać. Może spowodowały ją złe wiadomości nadchodzące z Rosji, zamach w metrze, tajemnicze eksplozje rurociągów naftowych i afera ze śmigłowcem byłego ministra finansów. Żałowałem, że jacyś żyjący równoległe do nas Nick i Rosemary nie mogą o tym szczerze porozmawiać, przyznać, że tak, na swój sposób się kochają, ale kiedy ma się sobie tak mało do powiedzenia, wtedy cztery dni, dziewięćdziesiąt sześć godzin, to za dużo - o wiele za dużo. Ale żaden równoległy Nick i Rosemary o tym nie rozmawiali i na początku marca przyjechała: moja matka przyjechała mnie odwiedzić.

Czekałem na nią na lotnisku w Sankt Petersburgu. To zawsze jest jak krótka, cudowna chwila łaski - nie sądzisz? - coś jak odroczenie wyroku, tych kilka minut, kiedy widzisz grupę rozradowanych obcych ci ludzi, którzy wchodzi do hali po szczęśliwym wylądowaniu, przeleciawszy w powietrzu tyle kilometrów - zazdrościsz im i jednocześnie jest ci trochę przykro, kiedy tak obejmują się z krewnymi, czasem płaczą, a potem biorą się za ręce i wracają do życia, o którym nic nie wiesz. W końcu, wraz z innymi brytyjskimi turystami, do hali weszła moja matka. Pocałowaliśmy się skrzepowani jak politycy na szczycie, a potem

poszukałem taksjarza, który zechciałby zawieźć nas do miasta. Po drodze trochę pogawędziliśmy z nim i okazało się, że jest pułkownikiem, emerytowanym wojskowym. Robił teraz w branży tekstylnej, więc gdybym chciał, to ma dostęp do zabójczych ubrań wojskowych.

Zarezerwowałem hotel na złym końcu Newskiego Prospektu, jeden z tych sowieckich gigantów wielkości miasta, taki z tysiącem pokoiów, kręglarnią, kasynem, pustą kawiarnią na każdym piętrze i burdelem w piwnicy. Przy stolikach w foyer plotkowały hotelowe prostytutki. Recepcjonista kazał mi zapłacić za dwie doby z góry, rozsądne zabezpieczenie, zważywszy na stan pokoiów (kable elektryczne wijące się po suficie jak druty telegraficzne, brak umywalek w łazienkach i podejrzanie wilgotny brązowy dywan). Mama powiedziała, że jest zmęczona, więc zjedliśmy na miejscu. Kazała spytać, czy losoś w menu jest świeży: kelnerka powiedziała, że „tylko raz mrożony”. Pośrodku restauracji siedziała grupka trzeciej kategorii mafiosów i stadko chwiejących się dziewcząt, które tamci, strasząc kelnerów i kazać im podkręcić muzykę, spychali z krzeseł, żeby zatańczyły ze sobą między stolikami.

Kiedy się położyliśmy, ktoś zaczął do mnie wydzwaniać, pytając, czy się nie nudzę i czy chcę poznać bardzo piękną kobietę. Około trzeciej nad ranem zdjąłem słuchawkę z widełek, zasnąłem i spałem aż do mlecznego petersburskiego świtu, wypełnionego północnym światłem brzasku, kiedy człowiek czuje się, jakby chodził we śnie albo, jeśli już się obudził, jakby wciąż jeszcze spał.

Przez półtora dnia oglądaliśmy Rembrandty i złoto Ermitażu, przemykając między zamarzniętymi kanałami („Nie wiedziałam, że będzie aż tak zimno”, powtarzała kretyńsko matka) i za-

glądając na złowrogo żółte petersburskie podwórka z drżącymi z zimna kotami i stertami zlodowaciałych śmieci. Posłusznie obeszlśmy cerkwie, wszystkie obłożone przez żebraków - alkoholików, kalekich żołnierzy, przez udających żołnierzy pijaków i zdrowych nastoletnich poborowych, którzy zarabiali tam pewnie na wódkę dla przełożonych - pełne ikon, kadzideł i zbolowanych kobiet w chustkach na głowach, nad którymi unosiła się mgielka prastarych zabobonów. I pełne starego uzależniającego narkotyku, rozpadu dla duszy, który rosyjska Cerkiew zdaje się sprzedawać: myśli, że życie w tym srogim kraju może być piękne.

Opowiedziałem jej o mojej pracy, o Paolu i trochę o Kozaku, ale pogubiła się, kiedy zacząłem mówić o Narodniefcie i naszym projekcie finansowym. Powiedziała, że martwi się o ojca, ale nie o jego zdrowie, a raczej nie tylko. Zaczęła wspominać dzieciństwo, swoje i taty. Po wojnie, mówiła, jej ojciec rzucił służbę w marynarce, ale tak jakby jej nie rzucił, bo ciągle był jakiś taki nieobecny, i uważała, że wyjaśnia to, skąd wziął się dystans między moim ojcem, mną i moim rodzeństwem. Nie wdawała się w szczegóły, a ja nie napierałem. I tak to było w ten weekend: zaczynaliśmy rozmawiać o czymś, co mogło doprowadzić do zwierzeń czy bliskości i w ostatniej chwili zmienialiśmy temat. W nieskończoność opowiadała mi o bardzo mroźnych feriach, które spędziła z rodzicami w Walii w latach pięćdziesiątych, i o tym, jak jej ojciec, kolejarz, którego nie dane mi było poznać, zorganizował dla nich przymusowy piknik podczas burzy gradowej. Kiedy mówiła, zaczął padać śnieg. Jej sowie okulary ciągle zachodziły parą. Była w obciachowych botkach.

Pałac Zimowy jaśniał w zachodzącym słońcu jak różowy omam. Jeździec Miedziany wyglądał jakby miał łupież. Przysta-

nałem przy kiosku i kupiłem Tatianie Władimirownej kiczowatą szklaną kulę z miniaturką soboru świętego Izaaka. To zabawne, ale chyba za nią tęskniłem.

- To prezent - powiedziałem. - Dla pewnej kobiety.

- Aha. - Matka zerknęła na mnie z ukosa, kiedy ślizgając się na chodniku, szliśmy obok znieruchomiałego kanału. Widziałem, że próbuje dać mi coś do zrozumienia, że chce, by chwila ta była chwilą naszej dojrzałości. Ale zdenerwowana nie umiała tego zrobić i odwróciła wzrok.

- Nie, nie - dodałem - to prezent dla Tatiany Władimirownej, znajomej, która kiedyś tu mieszkała.

- Tak?

- To ciotka Maszy.

- Tej, która... dzwoniła do ciebie w święta?

- Tak.

- Aha. To dobrze.

Zawróciliśmy w kierunku Newskiego Prospektu. Było dziesięć stopni mrozu. Już dawno stwierdziłem, że zima najbardziej daje się we znaki w marcu, bo widać już jej kres i wygląda się go rozpaczliwie, na wzór żołnierzy, którzy boją się najbardziej tuż przed końcem wojny.

- To miło, że znasz kogoś z jej rodziny. - W ten sposób pytała mnie chyba, czy to coś poważnego.

- Jak dotąd poznałem tylko jej siostrę - odparłem. - A właściwie kuzynkę. I ciotkę. Ciotka mieszka niedaleko mnie. Wczoraj zrobiła nam bliny.

- Bardzo miło. Urocz. Bliny.

Myślę, że była o nią zazdrosna - że Rosemary była zazdrosna o Tatianę Władimirowną. I chyba miała powody. W ciągu ostatnich kilku miesięcy spędziłem z nią więcej czasu niż przez cztery

lata z mamą. Co znaczyło, że tylko jedna z nich widziała, kim się stałem. Dzięki Bogu, że ich sobie nie przedstawiłem.

Do Moskwy pojechaliśmy popołudniowym pociągiem, pięć godzin jazdy. Przed dworcem w Sankt Petersburgu widziałem staruszkę w płaszczu przeciwdeszczowym, która tuliła do siebie małego skostniałego z zimna pieska. „Leningrad Miasto-bohater” - taki napis widać na dachu budynku naprzeciwko dworca. W pociągu patrzyliśmy w milczeniu na zamrożone bagna i drzewa, żywe i ścięte niedawno na zimnych, zapiaszczonych polanach. W przedziale unosił się zapach dagestańskiego koniaku i słychać było nieustanne świergotanie i popiskiwanie komórek. Nadeszła kelnerka z wózkami. Kiedy poprosiłem o piwo i wodę sodową, odparła: „Chyba pan żartuje” i patrzyła mi w oczy dopóty, dopóki nie zamówiłem koniaku. Wokół pomnika Lenina w głównej hali moskiewskiego dworca zebrała się chyba połowa na wpół martwej materii ludzkiej straconego imperium.

Złapaliśmy taksówkę.

- Bardzo tu przytulnie - powiedziała mama, rozglądając się w progu mieszkania, jakby bała się wejść dalej i zobaczyć, że w saloniku mam palarnię opium czy loch do sadomasochistycznych zabaw. Wiesz, jaka jest podczas takich wizyt: udaje rozluźnioną, ale kiedy nie patrzysz, natychmiast zaczyna cię oceniać i przestawiać w wyobraźni wszystkie meble, żeby wnętrze bardziej przypominało rodzinny dom. Zawsze czuję się wtedy tak, jakbym dalej mieszkał z nimi. Godzinę później poszliśmy na spotkanie z Maszą do Lermontowa, koszmarnie drogiej restauracji zrobionej na bojarski pałac; zaraz za bulwarem, niedaleko ode mnie, w stronę placu Puszkina.

Patrząc wstecz, myślę, że Masza się tego wieczoru wstydziła. Że była do tego zdolna. Okazało się, że moja matka to dla niej za dużo, że wykracza to poza ramy układu. Nie była nieuprzejma, tylko jak nigdy przedtem onieśmielona i milcząca. Przyszła w wetkniętych do botków czarnych dżinsach, czarnym swetrze i dyskretnym makijażu. Wyglądała tak, jakby zaraz potem szła obrabować bank albo zmieniać dekoracje w teatrze. „Nie ma mnie tu”, mówił jej strój.

- Podobno pracuje pani w sklepie - zagadnęła ją matka znad barszczu dla turystów.

- Tak - odparła Masza. - Sprzedaję komórki. I usługi telefoniczne.

- Bardzo ciekawe.

Cisza. Kilka siorbnięć. Rozprasający śmiech nałożnic z najwyższej półki przy stoliku w kącie.

- Kola mówił, że jest pani nauczycielką - wykrztusiła w końcu Masza.

- Tak. Uczyłam w szkole podstawowej, ale jestem już na emeryturze. Mój mąż też był nauczycielem.

Wszyscy wzięliśmy pyzy i pierogi (małe rosyjskie paszteciki z mięsem i grzybami). I za mało wódki.

- Jutro idziemy na Kreml - oznajmiłem.

- Tak - powiedziała Masza. - Kreml i plac Czerwony są bardzo piękne.

- Tak - potwierdziła matka. - Jestem bardzo podekscytowana.

Nie, bez deseru, dziękuję.

- Nicholas mówi, że nie pochodzi pani z Moskwy.

- Nie. Jestem z Murmańska. Z dalekiej północy.

- Dobrze, że ma tu pani rodzinę.

- Rodzinę?
- Tatianę Władimirowną - wtrąciłem.
- Tak - odparła Masza. - Tak. Ciocię. Mamy szczęście.

Uciekła wzrokiem w bok i spojrzała w okno, a potem na imitację osiemnastowiecznego żyrandola.

- Mam nadzieję, że kiedyś zobaczymy panią w Anglii - powiedziała matka, bo pewnie czuła, że powinna to powiedzieć, chociaż może mówiła do mnie.

Masza tylko się uśmiechnęła. Spotkanie było prawdziwą udręką, ale wreszcie się skończyło.

Nazajutrz zabrałem ją na Kreml, żeby zobaczyła te wszystkie odpicowane cerkwie, wielki pęknięty dzwon, który ani razu nie zadzwonił, i potężną armatę, za dużą, by z niej strzelać. Dwaj żołnierze przed bramą próbowali wydebić od nas „specjalną” opłatę za wejście. Potem poszliśmy na targ w Izmańlowie, żeby mogła wybrać sobie jakieś pamiątki wśród chaosu ikon, kłów kaszalota, kosmicznych hełmów, stalinowskich przycisków do papieru, masek gazowych, samowarów, uzbeckiej bawełny, hitlerowskich granatów ręcznych, rosyjskich matrioszek z Britney Spears i Osamą bin Ladenem, dywanów, zmaltretowanych tańczących niedźwiedzi i smutnych, zmarzniętych grubasek, które śpiewają dla turystów *Kalinkę-malinkę*. Kupiła papachę dla ojca, a dla siebie wybrała małą szkatułkę z rosyjskim lasem. W poniedziałek wziąłem wolne i pojechaliśmy na Cmentarz Nowodziewczy, gdzie w pretensjonalnych grobach leży Chruszczow i inne grube ryby. Niezrażone tym dzieci wdrapywały się na mur sąsiadującego z cmentarzem klasztoru i w promieniach późnego zimowego słońca, odbijających się od srebrzystych kopuł, zjeżdżały na prowizorycznych sankach po stoku na zamrznięty

staw. W drodze do domu zajrzeliśmy na stację metra Majakowska ze stropem ozdobionym jaskrawymi mozaikami zepelinów, spadochroniarzy, samolotów myśliwskich i dyskretnie rozrzuconymi herbami z młotem i sierpem, których nikt stamtąd nie usunął.

Wieczorem poszliśmy na koncert muzyki klasycznej do konserwatorium przy Bolszaj Nikitskiej, do głównej sali koncertowej z brzydkimi portretami kompozytorów na wszystkich ścianach. Na początku doszło do małej awantury, bo na naszych miejscach siedziały dwie grube baby, które ruszyły się stamtąd dopiero po interwencji srogiej bileterki. Nie pamiętam, co wtedy grali. Ale pamiętam, że gdy po przerwie zerknąłem na matkę i zobaczyłem, że ze spuszczoną głową i splecionymi rękami kręci młynka kciukami, poczułem się nagle tak, jakbym widział małą dziewczynkę podczas tych zimnych walijskich ferii, kogoś, kim była, zanim została matką. I zdałem sobie sprawę, jak mało ją znam.

Wracaliśmy do domu Bolszaj Nikitską, mijając po drodze siedzibę jednej z tych zakłamanych rosyjskich agencji prasowych, gmach z oknami jak wielkie akwaria, a potem szliśmy bulwarem. Połowa chodnika na mojej ulicy była zagrodzona plastikową taśmą, rozciągniętą między metalowymi słupkami jak na miejscu zbrodni i strzegącą przechodniów przed niebezpiecznymi sopłami zwisającymi groźnie z dachów. Śniegowy pagórek z pomarańczowym żiguli w środku miał kształt zapadniętego igloo albo kurhanu grobowego, mocno ubitego, obsypanego śmieciami, najeżonego sterczącymi butelkami i walczącymi o przetrwanie gałązkami.

Oleg Nikołajewicz stał na podeście z workiem cuchnącym kocią kuwetą, uśmiechając się z przygnębieniem jak arysto-



krata w dwukołowce. Szczerze mówiąc, od pewnego czasu unikałem go, żeby nie rozmawiać o jego zaginionym przyjacielu i nie widzieć rozczarowania w jego oczach. Jeździłem windą, żeby ominąć miejsce, gdzie zwykle wystawał, i na pewno to zauważył.

- Olegu Nikołajewiczu, to jest moja matka, Rosemary.

- Bardzo mi miło - powiedział po rosyjsku. Chyba chciał pocałować ją w rękę, ale w ostatniej chwili zmienił zamiar. A potem swoją podstawową angielszczyzną spytał: - Jak podoba się pani w Rosji?

- Bardzo - odparła matka; mówiła bardzo głośno, jak Anglicy, którzy myślą, że wszyscy cudzoziemcy są trochę głusi. - To piękny kraj.

Staliśmy tam, dusząc się w nieokiełznanym centralnym ogrzewaniu, w dobrej woli i ciszy. Pamiętam, że Oleg Nikołajewicz miał mocno przekrwione oczy, jakby płakał.

- Konstantin Andriejewicz się nie odnalazł?

-Nie.

- Jak tam Jerzy?

- W marcu jest zawsze nieszczęśliwy.

- A pan, Olegu Nikołajewiczu?

- W królestwie nadziei nigdy nie ma zimy - odparł.

Pożegnałem się, matka też, i już się odwracaliśmy, żeby wejść na górę, kiedy rzucił worek i chwycił ją za rękaw palta.

- Pani Platt - szepnął po angielsku śmiesznym scenicznym szeptem - niech pani uważa na syna. Niech pani uważa.

Mama zniknęła w łazience. Siedząc w kuchni, słyszałem, jak odkręca krany, jak spuszcza wodę i myje zęby w trakcie niewyszukanych, automatycznych ablucji zrezygnowanej kobiety po sześćdziesiątce.

Dałem jej moje łóżko i rozłożyłem dla siebie futon w pokoju gościnnym. Słyszałem, jak matka wchodzi do sypialni, jak wychodzi i idzie do kuchni. Była w długiej do kostek starej koszuli, kiedyś fioletowej albo liliowej, teraz spranej już i szarej jak owsianka. Wzięła z lodówki wodę, przystanąła, odwróciła się do mnie i spyła:

- O co mu chodziło, Nicholas? Twojemu sąsiadowi.

- Nie wiem, mamó. Jest zdenerwowany, bo zaginął jego przyjaciel. Chyba pije.

Ale sam w to nie wierzyłem. Ilekroć z nim rozmawiałem, był zawsze trzeźwy.

Matka milczała, ale widziałem, że walczy ze sobą.

- Jesteś pewny co do tej dziewczyny? Co do Maszy.

- Bo?

- Jest jakaś taka... chłodna. Może trochę za chłodna dla ciebie.

- Tak, mamó, jestem pewny.

- I szczęśliwy?

Było to najśmielsze pytanie, jakie zadała mi w ciągu dwudziestu lat. Zastanowiłem się. Odpowiedziałem szczerze.

- Tak. Jestem szczęśliwy.

Miałem u Maszy dług i zażądała jego spłaty.

Zbliżała się chyba połowa marca. Na prawym rękawie puchatego kombinezonu Michelinowego ludka, którym od miesiący wycierałem na ulicy nos, błyszczała gruba skorupa czegoś, co przypominało zaschniętą spermę. Nie widziałem Maszy od tygodnia, od tamtego wieczoru z matką. Możliwe, że znowu gdzieś wyjechała, bez uprzedzenia, jak poprzednio. Kati nie widziałem jeszcze dłużej. Spotkaliśmy się we troje w restauracji

przy Twerskiej, naprzeciwko kawałka ogrzewanego chodnika przed siedzibą burmistrza. Wciąż było poniżej zera, ale Masza włożyła już swoją jesienną futrzaną kurtkę i czapkę. Katia się spóźniała.

- Podobała ci się moja matka? - spytałem.

- Dla mnie to było bardzo ciekawe. Ona... Jak to się mówi po angielsku? Ona się czegoś boi. Boi się. Może tak jak ty.

Miała mocno ściągnięte do tyłu włosy, a w jej oczach odbijało się światło reflektorów na suficie. Spojrzała na mnie i odwróciła wzrok. Nadeszła kelnerka i zamówiliśmy wódkę i kotlety.

- A jak się czuje twoja mama?

- Nieźle - odparła Masza - ale jest bardzo zmęczona. Starzeje się.

- Chciałbym ją poznać.

- Może kiedyś.

- Jak tam w sklepie?

- Ja udaję, że pracuję, a oni, że mi płacą.

Przyszła Katia. Poznaliśmy się ledwie przed pół rokiem, ale dla dziewczyny w jej wieku to dużo. Miała teraz dojrzałe biodra i usta, większe możliwości. Te pół roku dłużyło się nam wszystkim - dłużyło się i jednocześnie zleciało jak z bicza strzelił, bo tak to już jest z tymi rosyjskimi zimami, które zdają się nie mieć końca i trwać całą wieczność, aż tu nagle nadchodzi fala ciepła i ma się wrażenie, że nigdy nie było mrozu.

Katia zdjęła kurtkę i usiadła. „Przeleć mnie” - pod bluzką na jej biodrze mignął mi nowy tatuaż.

- Co słychać na uczelni? - spytałem.

- Dobrze - odparła. - Świetnie. Jestem druga na roku. Niedługo egzaminy.

I przedstawiła nam długą, gniewną relację, jak to, tego wieczoru, do jej tramwaju wsiadło dwóch mężczyzn, którzy udając kontrolerów, zażądali od pasażerów po dziesięć rubli od łebka. Ponieważ nikt nie miał biletu, wszyscy zapłacili, chociaż było oczywiste, że to oszuści.

- Straszne - powiedziała Masza.

- Straszne - potwierdziłem, jakbyśmy nie mogli - albo nie chcieli - wymyślić niczego gorszego.

Miały mi do powiedzenia dwie rzeczy. Zaczęły od tego - teraz już wiem, że aby mnie zmiękczyć - że pod koniec maja albo na początku czerwca zamierzały wyjechać na długi weekend do Odessy, i czy chciałbym się z nimi zabrać?

- Pamiętasz? - spytała Katia. - Tam, gdzie te zdjęcia.

Zdjęcia, które pokazywały mi na początku zimy, podczas naszego pierwszego wieczoru w pływającej azerskiej knajpie. Czy je pamiętałem?

- Tak - oparłem. - Pamiętam.

Miały tam dalekiego krewnego, wujka z domem niedaleko plaży, gdzie mogły się zatrzymać. Przez cały czas kąpałibyśmy się i chodzili do nocnych klubów. Byłoby „pierwsza klasa”, powiedziała Katia. Byłoby wspaniale, dodała Masza. Odparłem, że tak, chętnie z nimi pojadę.

Rzeczą drugą były pieniądze.

- Stiepan Michajłowicz - tłumaczyła Masza - ma problemy z pieniędzmi, z tymi dla Tatiany Władimirownej. Coś nie tak w interesach. Mówi, że bardzo powoli to idzie, ten blok. Musi zapłacić robotnikom z Tadżykistanu. Może zapłacić milicji, żeby ich wszystkich aresztowali, tak byłoby taniej, ale wtedy musiałyby znaleźć nowych robotników. Może dać Tatianie Władimirownej dwadzieścia pięć tysięcy, ale z drugimi dwudziestoma

pięcioma jest kłopot. Oczywiście Tatiana Władimirowna nie żąda tak dużych pieniędzy, więc mógłby po prostu dać tylko połowę, dwadzieścia pięć tysięcy. Tak jest łatwiej. Ale pomyśleliśmy, że uczciwiej będzie, jeśli od kogoś pożyczycy, żeby dać jej całe pięćdziesiąt.

- Dlaczego nie zapłaci jej później, kiedy już wyjdzie na prostą?

- Można i tak - odparła Masza. - Ale, szczerze mówiąc, kiedy zamienią się mieszkaniem, może pomyśleć, że lepiej te pieniądze zatrzymać, niż płacić jakiejś tam babuszcze. A jeśli będzie je winny komuś ważnemu, to może odda. Jeśli będzie je winny na przykład jakiemuś cudzoziemcowi. Może prawnikowi.

Chwilę trwało, zanim załapałem.

- Kiedy? - spytałem. - Na kiedy muszą je mieć?

- Najpóźniej w dniu sprzedaży. Myślę, że za dwa, trzy miesiące. Zaraz po Odessie.

Nie miałem własnego domu w Londynie. Z moją byłą dziewczyną mieszkalem przez jakiś czas w wynajmowanym (chyba pokazałem ci go, kiedy jechaliśmy na przyjęcie do tej kobiety z twojej starej agencji; nie pamiętam, jak się nazywa). Zawahałem się, kiedy ceny zaczęły rosnąć i postanowiłem zaczekać, aż znowu powędrują na południe. Na moim koncie bankowym leżało leniwie sporo pieniędzy, czekały, aż zdecyduję, co z nimi zrobić, czekały, aż dorosną. Nieźle zarabiałem, zarabiałem więcej niż moi rodzice razem wzięci: według rosyjskich standardów to może niedużo, ale mogłem spokojnie pożyczyć im dwadzieścia pięć tysięcy dolarów na kilka miesięcy. Parę razy pożyczałem Rosjanom - sekretarce z pracy, poznanej na jakiejś imprezie Sybiraczce, która chciała kupić sobie motor - i zawsze mi zwraca-

cali. Uznałem, że mogę i tym razem. Wmawiałem sobie, że bez względu na to, co się wydarzy, jesteśmy po tej samej stronie, Masza, Katia i ja. Jednocześnie cieszyłem się, że mogę te pieniądze wyłożyć, a nawet na swój sposób mi ulżyło - poczułem się potrzebny, to raz, ale przede wszystkim dlatego, że zawsze wiedziałem, że wszystko ma swoją cenę, a tu się okazało, że chodzi tylko o pieniądze, przynajmniej w moim przypadku. A one? Myślę, że poprosiły mnie o to po prostu dlatego, że mogły, jakby ciążył na mnie moralny obowiązek.

Masza powiedziała, że potrzebują dwudziestu pięciu tysięcy dolarów dla Tatiany Władimirownej. Ale było to również dwadzieścia pięć tysięcy za kolację z moją matką, a zwłaszcza za weekend w Odessie, może nawet za pobyt w tym samym pokoju, w którym Masza sfotografowała się prawie nago w lustrze, za zdjęcie, które wciąż widzę, jak banita widzi swoją ulubioną ikonę, kiedy zamknie oczy.

- Dobrze - zdecydowałem. - Powiedzcie Stiepanowi Michajłowiczowi, że mu pożyczę. Że nalegam.

- Dobrze - odparła Masza.

- Dobrze - powiedziała Katia i nałala nam wódki.

- Za nas! - rzuciła Masza, kiedy trąciliśmy się kieliszkami.

Wódka zwilżyła jej usta, a mnie spaliła gardło. Skórę miałem lepką z niepokoju i wywołanego złymi przeczuciami podniecenia.

- Nie boję się - powiedziałem.

Kiedy wróciłem do domu, na ścianie korytarza, mniej więcej na wysokości pasa, zobaczyłem smugę krwi biegnącą w górę schodów. Pod drzwiami mieszkania na drugim piętrze smuga gwałtownie skręcała w dół, jakby ktoś oparł się w tym miejscu

o ścianę i upadł. Na podłodze była mała kałuża krwi, a tuż obok jeden obok drugiego stały dwa stare czarne buty ze starannie zawiązanymi sznurowadłami.

Kiedy rano zszedłem na dół, krew ze ścian już zmyto, ale buty wciąż stały. Ktoś powiedział mi później, że to ten pijak z najwyższego piętra. Upadł. Nie ma się czym przejmować.

## 13

Pod koniec marca brązowy moskiewski śnieg zaczął się topić, a potem, kiedy temperatura na parę dni spadła, znowu próbował zamarznąć, tworząc maź - Rosjanie nazywają ją *sliakot'* - tak paskudną, że na jej widok myślisz, iż lada chwila spod ziemi wychynie włochata łapa prehistorycznego potwora, by wciągnąć cię w otchłań. Niczym ustępujący lodowiec, zwały śniegu po mojej stronie ulicy centymetr po centymetrze odsłaniały fragmenty chodnika i krawężnika. Fragment, w którym pogrzebany był żiguli, odsłonił zardzewiały reflektor, puszczając do przechodniów nabiegłe błotem oko.

Był koniec marca, może początek kwietnia. Mieliśmy się spotkać u Tatiany Władimirownej, żeby podpisać umowę wstępną, którą przygotowałem dzięki jej pełnomocnictwu: mieszkanie nad stawem za mieszkanie w Butowie z dopłatą w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów na początku czerwca. Szedłem bulwarem, mlaszcząc butami w popołudniowej brei. Pamiętam, że w przejściu podziemnym na placu Puszkina jakiś starzec z półprzytomnym kotkiem na kolanach grał na akordeonie, ale za bardzo się spieszyłem, by mu coś dać.

Przyszedłem za wcześnie. Może celowo, może chciałem przyjść tam przed Maszą i Katią, nie wiedząc właściwie dla-



czego. Nie licząc tych kilku minut u notariuszki, kiedy, dostawszy ciekawszą propozycję, Katia zostawiła nas samych, dopiero drugi raz mogłem porozmawiać z Tatianą Władimirowną w cztery oczy. To właśnie wtedy, tego popołudnia, zanim przyszły dziewczyny, dowiedziałem się, że nie jest i nigdy nie była ich ciotką, ani ciotką po angielsku, ani po rosyjsku, ani w żadnym innym języku. To była moja ostatnia szansa.

Zdjąłem buty. Tatiana Władimirowna zaczęła się już pakować. W korytarzu stały kartony, jeszcze nie zamknięte, pełne papierów i ozdóbek (jak ręka trupa z trumny, z jednego z nich wystawało ramię żyrandola) i parę tych olbrzymich wzorzystych toreb, jakie taszczą za sobą imigranci na lotniskach. Ale w salonie nic się nie zmieniło. Zdjęcia gibkiej stalinowskiej Tatiany i jej zmarłego męża, zalatujące stęchlizną encyklopedie i średniowieczny telefon wciąż stały tam jak eksponaty na wystawie „Jak się kiedyś żyło”, łącznie z moją puszką herbaty w kształcie londyńskiego autobusu. Przez gęste jak zupa popołudnie obserwowały mnie fantasmagoryczne zwierzaki. Tatiana Władimirowna wniosła samowar i konfitury.

Dałem jej tę kiczowatą kulę z miniaturą soboru Świętego Izaaka. Uśmiechnęła się jak dziecko, pocałowała mnie i postawiła ją między telefonem i zdjęciem męża.

Spytała, czy podobało mi się w Sankt Petersburgu. Szczerze mówiąc, Petersburg był dla mnie stresujący i trochę straszny, ale niewinnie skłamałem i odparłem, że bardzo, że to piękne miasto, najpiękniejsze w świecie. Nawet już nie pamiętam, czy ją do tego sprowokowałem, czy zaczęła sama i w sposób naturalny rozmowa zesłała na ten temat, ale tego dnia opowiedziała mi o oblężeniu.

W Leningradzie z jej wspomnień zawsze było zimno i zawsze padał śnieg - tu spojrzała z uśmiechem na mój prezent - chociaż wiedziała, że w lecie musiało być gorąco i słonecznie. Oczywiście sobór Świętego Izaaka nie był wtedy soborem. Komuniści urządzili tam muzeum ateizmu czy basen pływacki, nie pamiętała już co, pewnie zaczynała tracić zmysły.

- Wszystko stanęło na głowie - mówiła. - Najpierw słuchaliśmy radia, a w radiu mówili, że jesteśmy bohaterami, że Leningrad to miasto-bohater, no więc czuliśmy się jak bohaterzy. Ale potem ludzie zaczęli zmieniać się w zwierzęta, rozumiesz? A wszystkie zwierzęta w jedzenie. Mieliśmy psa, takiego malutkiego, więc ukryliśmy go przed innymi. Ale on zdechł i tak i na koniec zjedliśmy go sami. Szkoda, że nie wcześniej, kiedy był tłusty!

Roześmiała się krótkim, ostrym, rosyjskim śmiechem.

- Najbogatsi byli ci, którzy mieli dużo książek - ciągnęła. - Palili je, rozumiesz?

- Tak - odparłem, chociaż oczywiście nie rozumiałem.

- Książki były do palenia. Psy do jedzenia. Konie też, czasem nawet jeszcze żywe. Padały na ulicy, a ludzie rzucali się na nie z nożami. Na butach gotowało się zupę.

Urwała, przełknęła ślinę i jak zwykle spróbowała się uśmiechnąć.

- Ja siedziałam w piwnicy. Pamiętam, że po wojnie, na obozie dla dzieci, dali mi lody. Mówili, że miałam szczęście.

- Naprawdę chciałyby pani tam wrócić? - spytałem.

- Może. - Na pięć sekund zamknęła oczy, otworzyła je i dodała: - Nie.

Spytałem ją, czy rodzina Maszy i Kati też była wtedy w Leningradzie.

- Nie wiem - odrzekła. - Tam było dużo ludzi. Oczywiście więcej na początku.

- Nie mieszkaliście razem?

-Co?

- Myślałem, że może mieszkaliście razem.

- Dlaczego?

- Bo jesteście rodziną.

- Rodziną? Nie, nie jesteśmy rodziną.

Tak, byłem zaskoczony, chociaż chyba nie do końca. Ale postanowiłem to ukryć. Postanowiłem zmarnować moją ostatnią szansę.

- Przepraszam, coś mi się pomyliło. Myślałem, że jest pani ich ciotką.

- Ciotką? Nie. - Tatiana Władimirowna pokręciła głową, ale znowu się uśmiechnęła. - Nie mam już żadnej rodziny. Nie mam nikogo. - Odwróciła wzrok i lekko się zakołysała.

- To skąd je pani zna? - spytałem najspokojniej, jak potrafiłem. Nie chciałem wzbudzić w niej niepokoju, ale chciałem poznać fakty. - Skąd zna pani Katię i Maszę?

- To było bardzo dziwne - odparła, poprawiając się na sofie, jakby zamierzała opowiedzieć mi długą, porywającą historię. - Poznałam je w metrze.

Wrócę do niej, obiecuję, ale teraz znowu chcę przenieść się w przeszłość, tylko na kilka godzin. Opowiem, co było potem. Pomoże ci to zrozumieć, dlaczego tak się zachowywałem. Zakładając, że w ogóle chcesz zrozumieć. Mnie pomaga: gdy patrzę wstecz, te dwa spotkania wydają się częścią tego samego wydarzenia, małego objawienia, które objęło całe popołudnie i wieczór.

Po wyjściu od Tatiany Władimirownej poszedłem z Paolem na spotkanie z kontrolerem Wiaczesławem Aleksandrowiczem i Kozakiem. Była chyba niedziela, ale musieliśmy się z nimi pilnie zobaczyć. Nazajutrz banki miały wypłacić ostatnią i największą transzę kredytu, coś około dwustu pięćdziesięciu milionów dolarów. Kozak zaprosił nas do biura na nabrzeżu, niedaleko starej ambasady brytyjskiej, naprzeciwko cielistych murów Kremla po drugiej stronie rzeki. Potem dowiedzieliśmy się, że to nie jest jego biuro. Wątpię, żeby w ogóle jakieś miał, przynajmniej wtedy. Miał tylko tupet, hummera i *kryszę*.

Lustrzaną windą wjechaliśmy na trzecie czy czwarte piętro i weszliśmy do sali z imponującym stołem konferencyjnym i wychodzącymi na rzekę oknami. Mimo wieczornej szarówki, widać było, że lód pęka i staje dęba, że wielkie tafle rozpychają się i ocierają o siebie, że rzeka próbuje pozbyć się ich jak olbrzymi wąż starej skóry. Stojące na nabrzeżu żółto-szare budynki ginęły w brudnym niebie, a ich szczytowe okna mrugały w mroku jak lecące nisko UFO.

Była wódka (oraz trochę czarnego chleba i pikli, dla pozorów).

- Napijemy się czegoś? - zaproponował Kozak, podchodząc do barku.

- Ja tylko kieliszek - zastrzegł Paolo.

- Chętnie - odparłem.

- Ja nie, dziękuję - odmówił Wiaczesław Aleksandrowicz.

Wiaczesław Aleksandrowicz już dla nas pracował i Paolo go znał, ale ja widziałem go tylko raz, na początku zimy, kiedy dostał od nas zlecenie na kontrolę pływającej platformy. Był niskim, bladym człowieczkiem o gęstych włosach i zmartwionych oczach ukrytych za grubymi sowieckimi okularami. Gdybyś

bardzo chciała, mogłabyś pewnie powiedzieć, że wyglądał tak jak ja, tyle tylko, że w wydaniu skompresowanym albo skarłowaciałym. Jego garnitur pachniał dymem papierosowym i Breżniewem. Pamiętam, że uszy miał zatkane kawałkami waty; robili tak często przesądni Rosjanie, wierząc, że to doskonały środek ostrożności, kiedy jest się przeziębionym i kiedy trzeba wyjść na dwór.

Butelka wódki miała kształt kałasznikowa. Kozak podniósł ją za kolbę i nalał cztery duże kieliszki. Kiedy podawał mi mój, zauważyłem, że w mankietach ma spinki z miniaturkami amerykańskich banknotów.

- Coś do picia - rzucił do Wiaczesława Aleksandrowicza, podając mu wódkę, chociaż ten nie chciał pić.

- Za nas! - powiedział, wychylając kieliszek i wycierając usta rękawem czarnego pogrzebowego garnituru. Stuknąłem się z Paolem i wypilem. Wódka była gatunkowa, gładka, niepiekająca, prawie bez smaku.

Wiaczesław Aleksandrowicz wypił łyżeczek i uśmiechnął się blado.

- Do dna - rzucił bez uśmiechu Kozak.

Kontroler wziął głęboki oddech, jak nurek przed zejściem pod wodę, i wypił. Przełknął, głośno sapnął i omal się nie płakał, szybko mrugając krecimi oczkami.

Kozak roześmiał się i klepnął go w plecy. Byli mniej więcej tego samego wzrostu, ale on miał posturę więziennego ciężarowca, a Wiaczesław Aleksandrowicz, wyposażony przez naturę w ciało, które jest grube i chude zarazem, wyglądał przy nim jak garbaty karzeł z wystającym brzuchem. Poleciał do przodu, odzyskał równowagę i znowu spróbował się uśmiechnąć.

- Brawo - pochwalił go Kozak. - No to usiądźmy.

Mieliśmy poświadczyć dokumenty, których banki potrzebowały, żeby podpisać ostatni czek i nacisnąć klawisz przelewu ostatniej transzy. Każdy z nas miał zafoliowaną kopię listu gwarancyjnego gubernatora syberyjskiej prowincji. Mieliśmy obietnicę Narodnieftu na bogate dostawy ropy. Banki miały nasz gruby niczym okazała książka kontrakt i były ubezpieczone od ryzyka politycznego. Brakowało nam tylko najświeższego raportu kontrolera.

Robiłem notatki. Wszyscy palili, Wiaczesław Aleksandrowicz szybko i z każdym sztachnięciem coraz bardziej nerwowo. Powiedział, że supertankowiec został już całkowicie przebudowany i że holowniki przeciągną go wkrótce na miejsce załadunku. Dno zostało sprawdzone i zatopiono już dwanaście kotwic, które miały go unieruchomić. Wstał, żeby pokazać nam serię slajdów na ściennym ekranie. Były tam między innymi rysunki w zmniejszonej skali i zdjęcia fragmentów najeżonych szpikulcami urządzeń wgryzających się w błoto. Był fragment na wpół pogrzebanej pod lodem rury, która wyglądała jak nieudolnie ukryte zwłoki, i zamazane zdjęcie czegoś, co miało być dnem arktycznego oceanu. W pewnej chwili zawiesił się komputer i kiedy Wiaczesław Aleksandrowicz próbował go ponownie uruchomić, na jego szyję i nos wystąpiły krople potu.

W podsumowaniu stwierdził, że na miejscu jest już cały sprzęt i jest przekonany, że już wkrótce będzie można rozpocząć eksport ropy. Potem wbił wzrok w stół, paląc tak szybko, jakby zależało od tego jego życie.

- Wspaniałe nowiny! - zakrzyknął Kozak.

Naradziliśmy się, Paolo i ja. Tego wieczoru byłem rozkojarzony, to prawda. Ale z drugiej strony, spotykaliśmy się tam dla czystej formalności. Nawet gdybyśmy chcieli, było już za późno,

by doradzić bankom, żeby się wycofały. Ale my wcale tego nie chcieliśmy: Wiaczesław Aleksandrowicz robił wrażenie człowieka sumiennego, no i mieliśmy poparcie Narodnieftu. Nie konferowaliśmy długo. Paolo był zdania, że banki powinny przelać pieniądze. Ja też. Powiedzieliśmy to Kozakowi.

- Dobra - odparł, potrząsając grzywką.

Ale powodem, dla którego tak dobrze zapamiętałem ten wieczór - powodem, dla którego zlał się w jedno z moją rozmową z Tatianą Władimirowną i dla którego chcę ci o tym powiedzieć - nie jest samo spotkanie z Kozakiem ani wyrachowane tortury, jakim poddawał Wiaczesława Aleksandrowicza. Powodem jest to, co zrobiliśmy potem. Był to bowiem jeden jedyny raz, kiedy widziałem, jak Paolo wpada w prawdziwy gniew, nawet włączając w to późniejsze wydarzenia, jedyny raz, kiedy się z nim pokłóciłem, z nim, człowiekiem, którego życiowym celem było przekuwanie sporów w ugody, skrzeczącej rzeczywistości w blichtr, z nim, który zawsze potrafił znaleźć akceptowane przez wszystkich słowa.

Sprawa była załatwiona. Przez nagle zgęstniały zmrok patrzyły na nas zza rzeki oświetlone mury Kremla. Kozak zaprosił nas na kolację, żeby to oblać.

- A potem, któż to wie? - powiedział. W jego oczach czaiły się plany gwałtu, grabieży i prania brudnych pieniędzy.

Wiaczesław Aleksandrowicz wymówił się czymś i wyszedł. Paolo, Kozak i ja zjechaliśmy na dół, gdzie czekał hummer z przyciemnionymi szybami. Pamiętam, że Kozak był w futrzanej czapce z jakiegoś zagrożonego wyginięciem zwierzęcia, jednej z tych, które Rosjanie noszą na czubku głowy, odsłaniając uszy, by pokazać, jacy są twardzi. W samochodzie miał plazmowy telewizor, lodówkę i szofera z siną blizną na policzku.

Szofer opuścił szybę, wpuszczając do środka mroźne powietrze, a drugą ręką sięgnął pod fotel pasażera i wyjął stamtąd milicyjnego „koguta”, którego wystawił na dach. Nacisnął guzik i ruszyliśmy brzegiem rzeki, migając niebieskim światłem i mijając po drodze hotel, gdzie za dwieście dolarów można było zjeść późne śniadanie z lunchem, a potem Dom na Nabrzeżu, gmach o zły karmie, gdzie w latach trzydziestych mieszkali wierni towarzysze Stalina, aż przestali tam mieszkać. Na dachu obracał się teraz gigantyczny emblemat mercedesa. Na Kropofkińskiej, pod murami soboru, w żółtym świetle latarni stała kolejka zawodzących hymny staruszek, które czekały, by zobaczyć odzyskaną i sprowadzoną do kraju ikonę, lok świątobliwych włosów czy kawałek świętej rzepki kolanowej. W tym mieście neonowej chuci i frenetycznego grzechu wyglądały tak nierealnie jak statystki na planie filmowym. Utknęliśmy na światłach i Kozak zaklął, kopiąc w fotel szofera.

Na Ostożence stanęliśmy pod elitarną restauracją-nocnym klubem. Absynt, tak się chyba nazywał. Szofer wyłączył „koguta”. Z nadzieją, że uśmiechnie się do nich któryś z rezydujących tam na stałe *lico-kontrolczyków*, w błotnistej mazi na chodniku dygotały z zimna przysze oligarchinie. Tłum rozstał się przed Kozakiem, jak przed jego „migalką” rozstępowały się samochody. Miał na ramieniu skórzaną torbę tak dużą, że zmieściłby się w niej mały półautomatyczny karabin; w owym czasie były bardzo popularne wśród bogatych i silnorękiach - popularne i tak teatralnie kiczowate, że niemal groźne, bo wprost zachęcały do tego, żeby je ukraść. Wyjął coś z tej torby, machnął tym przed oczami bramkarzy i wkroczył na ziemię obiecaną. Weszliśmy za nim i oddaliśmy kurtki pięknej szatniarce.



- Co to było? - spytałem, kiedy usiedliśmy.

- Ale co? - Kozak przywołał kelnera leniwym kiwnięciem palca. Powietrze było gęste od dymu, rosyjskiego techno i zapachu luksusowych kobiet.

- Co pokazał pan bramkarzom?

Kozak otworzył torbę i wyjął z niej plastikową legitymację z dwugłowym orłem na jednej stronie i zdjęciem na drugiej. Dokument stwierdzał, że jego właściciel jest pracownikiem kremłowskiego sekretariatu administracyjno-gospodarczego. Kozak obrócił między palcami „lewą” kartę i powiedział:

- Zakazane znaczy tylko droższe.

Zamówiliśmy koktajle i kiedy je podano, wstał, by wznieść toast, potem następny, kolejny i jeszcze jeden.

- Za naszą przyjaźń... Za współpracę... Za powodzenie naszych rodzin... Za pokój między naszymi krajami... Za wasz przyjazd na daleką północ. - Rosyjski toast to płynne marzenie o innym życiu.

- Chciałbym pana o coś spytać - powiedziałem.

- Pytaj, o co tylko chcesz - odparł z niewinnymi oczami, szeroko rozkładając ręce.

- MosStrojInvest. Słyszał pan o takiej firmie?

- MosStrojInvest? MosStrojInvest... Nie, chyba nie. A może i słyszałem. Bo?

- Mój przyjaciel coś od nich kupuje. Mieszkanie. Chciałbym się dowiedzieć, czy są wiarygodni.

- Rozumiem. Popytam, dobrze? Popytam znajomych z budownictwa i dam ci znać. W przyszłym tygodniu. Dobra?

- Dziękuję.

- A teraz - powiedział - ja chciałbym spytać o coś ciebie, przyjacielu. O te dziewczyny. - Żartobliwie pogroził mi palcem.

- O jakie dziewczyny? - spytał Paolo.

- Miałaś jedną - drążył Kozak - czy obie? A może obie naraz?

- One są siostrami - odparłem.

- To jeszcze ciekawiej. - Chyba tak ich szkolono, tych rosyjskich szpicli: uczono ich, jak dowiadywać się o niewinnych, pozornie nic nieznaczących szczegółach i jak wykorzystywać je potem przeciwko innym, żeby zastanawiali się, skąd, jakim cudem, co jeszcze wiedzą i komu mogą to zdradzić, żeby się martwili.

- Dobrze są?

- Chyba tak.

- Uważaj, Nicholas. W naszej Rosji jest czasem tak, że ludzie są mniej zyczliwi, niż na to wygląda. Rozumiesz?

Zadzwoniła jego komórka (*Final Countdown*, taki miał sygnał). Kozak odebrał, wymamrotał coś i wznosił ostatni toast, ulubiony toast moskiewskich prostaków:

- Oby chuj nam nigdy nie opadł i oby nigdy nie zabrakło nam kasy!

Dał kartę kredytową kelnerowi, wycałował nas w policzki, rzucił „ciao” do naszego Włocha i wyszedł.

Potem nie rozmawiałem z nim już ani go nie widziałem, nie licząc tych paru razy wiele miesięcy później, w telewizji - podczas ostatniej wojny na Kaukazie, zaraz po tym, jak został wiceministrem obrony - kiedy mignął mi uśmiechnięty za plecami prezydenta przemawiającego do rozsierzonego narodu.

- Prymityw - mruknąłem cicho, chociaż mogło to być coś mniej pochlebnego.

Nie wiem dlaczego, może dlatego, że uważał, iż nie mam racji albo dlatego, że w głębi ducha uważał, że rację mam, może żona

męczyła go o nowe bmw czy o lifting twarzy, a może z zupełnie innego powodu, tak czy inaczej, Paolo eksplodował.

- Myślisz, że tak bardzo się od niego różnisz? - Odślonił zęby i w fioletoworóżowym świetle restauracji wydał mi się nagle bardzo stary. Zaczęła mu szwankować gramatyka. - Panie angielski dżentelmenie, myślisz, że w Londynie robią inaczej? Tak, są bardziej subtelni, *ecco*, milsi, bardziej czystszy... - Potarł kościste dłonie, jakby je mył. - Ale są tacy sami jak my. W Italii też. Wszędzie jest tak samo. Silni i słabi, władza i brak władzy, i pieniądze, pieniądze, pieniądze. Nie tylko w Rosji. Takie jest życie. Moje, Nicholas, i twoje.

Może myślałem o tym, czego nie powiedziałem Tatianie Władimirownej. Może jakaś część mnie musiała udawać - tamtego wieczoru bardziej niż kiedykolwiek - że jestem lepszy, niż byłem. Niż jestem. Odparłem, że się myli. Że nie jesteśmy tacy sami. Że my mamy swoje zasady, mamy granice. Że nie jestem taki jak oni.

- Nie? - warknął Paolo. - To powiedz mi coś, panie dżentelmenie. Ten Kozak to nasza premia, tak? Nie ma Kozaka, nie ma premii. Na pewno jesteś inny? Na pewno? Ty i ja, jesteśmy tylko pchłami na jego dupie.

Mówił coś jeszcze. Miał kropelkę brązowej krwi na żółtym białku oka. Ale po chwili nie mogłem już się z nim kłócić. Odwróciłem wzrok i spojrzałem w okno, na absurdalną kopułę soboru. W błocie wokół pomnika jakiegoś zapomnianego rewolucjonisty pałity i całowały się grupki nastolatków.

To była nauczka, ta sama lekcja, którą odebrałem u Tatiany Władimirownej: niczym się od nich nie różnimy. Nie różnię się od nich i ja. Ja byłem chyba jeszcze gorszy.

Uniosłem prawie pusty kieliszek i powiedziałem:

- Za farbowane lisy!
  - Niech będzie - odparł Paolo. - Za farbowane lisy!
- I tręciliśmy się szkłem.

Poznały się w metrze, powiedziała Tatiana Władimirowna, tak jak Masza i ja. Kupiła karpia na targu, na Dorogomiłowskim Nabrzeżu - pamiętam, że chciała przynieść go żywego do domu i wpuścić do wanny - i dziewczyny pomogły jej z torbami na stacji przy Kijewskiej. Wyobraziłem sobie, jak oskrzydla ją w holu między peronami, pod tymi zwodniczymi mozaikami uwieczniającymi przyjaźń rosyjsko-ukraińską. W czerwcu, dodała, więc były pewnie w letnich sukienkach, pewnie uśmiechały się szeroko, silne i czarujące, podczas gdy ona pocila się w bluzce z krótkimi rękawami i w za grubej spódnicy.

Powiedziała, że bardzo szybko zaczęła traktować je jak prawdziwą rodzinę. Ale nie, zaznaczyła, nie jest ich ciotką. Siedziałem tam, międląc ręce i milcząc. Moje dłonie wyglądały tak, jakby należały do kogoś innego. Pewnie uznały, że „ciocia” będzie bardziej wiarygodna, łatwiejsza do kupienia, że jeśli się postarają, nic się nie wyda.

- Nie martw się tym - dodała z uśmiechem - to nieważne. - Patrząc wstecz, zastanawiam się, czy nie chciała powiedzieć: „Nie martw się absolutnie niczym”.

Dryfując z prądem, dobiłem prawie czterdziestki. Dryfując z prądem, przyjechałem do Moskwy i do Maszy, by w to wszystko wdepnąć. Przemilczenie kłamstwa i życie z konsekwencjami, jakie z tego wypływały, było tylko kolejnym dryfem. Szczerze mówiąc, wcale nie tak trudnym. Prawda o mnie i o tym, jak daleko mogę się posunąć, była tam pewnie przez cały czas, bardzo blisko, pewnie tylko czekała, aż ją odkryję.

Żeby zmienić temat, wypilem herbatę. Powiedziałem, jak to dobrze, że już prawie po zimie. Że jedziemy do Odessy. Kiedy przyszły dziewczyny, żadne z nas nie powiedziało ani słowa o tym, czego dowiedziałem się od Tatiany Władimirownej. Najwyraźniej ona też postanowiła do tego nie wracać. Poczęstowała nas ciastem i czekoladą. Podpisała dokumenty, które musiała podpisać.

Potem podjąłem z konta dwadzieścia pięć tysięcy dolarów i poszedłem z Maszą na spotkanie ze Stiepanem Michajłowiczem do pustego klubu dżezowego za konserwatorium, lokalu z ciemnymi prywatnymi pokojami do przekazywania pieniędzy (Stiepan Michajłowicz teatralnie odmówił ich przeliczenia). Tatarska Olga nie musiała już martwić się o papiery na Butowo. Już je mieliśmy. Zgodnie z obietnicą, zabrałem ją do modnego baru w hotelu przy Teatrze Bolszój.

Z doświadczenia wiem, że poziom zdeprawowania w słowiańskim mieście można w przybliżeniu ocenić po tym, ile czasu od przyjazdu upłynie, zanim ktoś zaproponuje ci kobietę. W Odesie nie zdążyłem nawet wyjść z hali przylotów. Kiedy szliśmy do samochodu przez terminal linii krajowych, taksiarz spytał mnie, czy chcę poznać jakieś dziewczyny. To, że dwie już mi towarzyszyły, bynajmniej go nie powstrzymało.

Był chyba pierwszy tydzień czerwca. Tuż przed naszym wylotem z Moskwy znowu zaczął padać śnieg, majowy śnieg z cyklu „a takiego wała”, którym Bóg dawał ludziom do zrozumienia, że jeszcze z nimi nie skończył. Ale w naszym Flintstonowskim samolocie było gorąco jak w bani. Gdzieś bardzo blisko mojego ucha zawodził silnik, coraz wyżej i głośniejsze, tak że zdawało się, iż w końcu się roztrzaskamy, że to nieuchronne. Po drugiej stronie przejścia siedział gruby obłąkany Węgier, biznesman, który przez pierwsze pół godziny lotu gapił się na mnie i przeklinał w czterech czy pięciu językach naraz, jakby szukał zaczepki. Potem się uspokoił, wytarł czoło i zaczął narzekać na zmiany, jakie zaszły na Ukrainie, odkąd wybrali tam nowego prezydenta (może widziałś go w dzienniku, to ten, któremu Rosjanie oszpecili twarz, próbując go otruć). Mówił, że Ukraina jest teraz za mało skorumpowana.

- Jeszcze pół roku temu - głądził - wiedziałem kogo, kiedy i za ile. A teraz nie sposób nic załatwić.

W kabinie załatywało potem i koniakami. Stewardesa zajęła pozycję przy toalecie w ogonie samolotu, gotowa w każdej chwili wyłączyć alarm przeciwpożarowy, oczywiście za drobną opłatą. Kiedy podchodziliśmy do lądowania, dwóch pijanych Rosjan odtńczyło w przejściu kozaczoka przy aplauzie pasażerów.

Zeszliśmy chwiejnie na spękany asfalt i liznęło mnie ciepłe czarnomorskie słońce. Nie było gorąco, jeszcze nie, ale poczułem się jak w raju. Ogarnęło mnie to dziecięce uczucie dziwnego wyobcowania, które pamiętam z kilku wyjazdów rodzinnych na Costa Brava, to psotne, zakazane zadowolenie, że jest się gdzieś, gdzie nie powinno się być, że jednak się udało.

Mnie na pewno. Byłem w Odessie, technicznie rzecz biorąc, na Ukrainie, ale dla Rosjan Ukraina wciąż jest bajeczną nirwaną ucieczki i rozpusty. Masza i Katia szły przede mną w minispódniczkach i sandałach na wysokim obcasie, które włożyły jeszcze w samolocie. W ciemnych hollywoodzkich okularach, z szerokim uśmiechem na twarzy i prawie na pewno bez majteczek ciągnęły za sobą zabójcze walizki na kółkach, komplet od Louisa Vuittona. Masza otworzyła jaskrawoczerwoną parasolkę, która kołysała się w rytm ruchów jej pupy.

Wyglądały tak, jakby przyjechały tam świętować. Bo prawie się im udało. Im, a raczej nam. Przed wyjazdem wpadłem jeszcze parę razy do banku i było po wszystkim.

Ukraiński celnik miał kłopoty z rozszyfrowaniem mojego egzotycznego paszportu. Stojąca za mną staruszka poklepała mnie w ramię i z anielską cierpliwością powiedziała:

- Młody człowieku, może trzeba mu zapłacić?

W końcu celnik grzmotnął pieczętą i poszedłem szukać dziewczyn. Były w hali przylotów; negocjowały cenę z jakimś taksjarem (złote jedynki, całoroczna skórzana kurtka, błyszczące buty z czubkami tak szpiczastymi, że mogłyby mu posłużyć za wytrychy).

Szliśmy na parking, kiedy spytał:

- Chce pan poznać jakieś dziewczyny?

Roześmiałem się nerwowo. Przeciętą reakcją obcokrajowca. Katia też.

- Chcesz? - spytała Masza z intonacją, której nigdy u niej nie słyszałem, ironicznie, jednocześnie gniewnie, szyderczo i dosadnie. - Chcesz poznać jakieś dziewczyny, Kola?

Pięć tygodni przed naszym wyjazdem, gdzieś pod koniec kwietnia, w Moskwie zakręcili centralne ogrzewanie. Byliśmy akurat w domu - Masza, w moim szlafroku, oglądała brazylijską telenowelę, ja uprawiałem grę wstępną z moim nowym smartfonem BlackBerry - kiedy usłyszeliśmy charakterystyczny hurkot w rurach, krótki, lecz wyraźny: wystrzał z pistoletu startowego, początek biegu do lata, okresu, kiedy życie i żądze gorączkowo wciskają się w kilka miesięcy ciepła. Szły wielkie roztopy, śnieg i lód spływały z dachów jak padający z małej wysokości deszcz. Obcokrajowcy uśmiechali się do siebie w restauracjach jak oniemiała z ulgi ludzie, którzy przeżyli katastrofę samolotową. Skończyło się - bezustanna wędrówka między przegrzaniem mieszkaniem i mroźną ulicą, bezustanne ubieranie się i rozbieranie, długa jak maraton rosyjska zima, której żaden zdrowy na umyśle człowiek nie chciałby dobrowolnie zasmakować. To było jak cud.

My też przeżywaliśmy ciepły, łagodny okres, Masza i ja. Teraz



widzę, że tylko pozornie, chociaż może widziałem to już wtedy. Ale na swój sposób był to czas jak najbardziej realny, rzeczywisty, najbardziej szczerzy. Czas miłości, chociaż i uzależnienia. Chyba nie muszę ci tego mówić. Przepraszam, jeśli sprawiłam ci ból.

Rozmawialiśmy. Opowiadała mi o zimach swego dzieciństwa i o gangsterskiej wojnie, która rozgorzała w mieście na początku lat dziewięćdziesiątych, konflikcie zbrojnym między bandziorami burmistrza, tłumaczyła, i oprychami gubernatora. Kiedy jeden z gangsterów zginął, jego kumple wystawili mu na cmentarzu naturalnej wielkości pomnik, na którym stoi z kluczami samochodowymi w ręku: ludzie nazywali je, te pomniki, „pomnikami ofiar wczesnego kapitalizmu”. Mówiła, że jako nastolatka bardzo chciała wyjechać do Moskwy, jeśli nie do Moskwy, to do Sankt Petersburga, a jeśli nie udałoby się i tam, to chociaż do Wołgogradu, Samary czy Niżniego Nowgorodu, do jakiegoś cywilizowanego miasta, gdzieś, gdziekolwiek, gdzie dostałaby pracę, gdzie byłyby porządne nocne kluby, po prostu byle gdzie. Ja też dużo mówiłem o wydarzeniach, o których nigdy z nikim nie rozmawiałem, może z wyjątkiem ciebie. Nie były to w sumie żadne tajemnice, zresztą nie miałem ich wtedy za wiele. Raczej, wiesz, uczucia i obawy: o pracę, przyszłość, o to, że mogę skończyć sam.

Rozmawialiśmy nawet - choć bardziej przypominało to grę czy scenariusz - o tym, że kiedyś zamieszkamy razem w Anglii. Chociaż zaczynałem wątpić, czy w ogóle dam radę tu wrócić: już wtedy czułem się jak stary kolonista, który za długo siedział w Afryce i nie wytrzyma po powrocie do rodzinnego Blighty. Nie mogłem sobie wyobrazić, jak żyłbym w Londynie bez śniegu, daczy, bez pijanych armeńskich taksówkarzy. Zatraci-

łem samego siebie. Miałem długofalowy syndrom ekspatrianta: moim zdaniem jest to ekstremalna wersja oderwania, stan, który przyprawia o zawrót głowy mężczyzn wkraczających w wiek średni. Masza też dała się temu ponieść, chociaż chyba wiedziała, dokąd to zmierza.

Dwa, trzy razy byłem u niej w sklepie i kiedy kończyła zmianę, szliśmy na spacer nabrzeżem albo na drinka do irlandzkiego pubu przy Piatnickiej. Raz wybraliśmy się na wystawę ikon do Galerii Trietiańskiej, gdzie ślizgaliśmy się w tych głupich plastikowych papciach, które każą wkładać we wszystkich rosyjskich muzeach - czułem się zażenowany, dopóki nie zobaczyłem, że nie tylko ja je noszę. Masza знаła imiona wszystkich świętych, znała nazwy pechowych miast, które plądrowała na obrazach Iwan Groźny czy ktoś tam, ale tak naprawdę jej wcale to nie interesowało, a ja tylko udawałem. Była dla mnie czuła, przynajmniej czasami, po seksie kładła się ze mną na łyżeczkę, parę razy włożyła moją źle wyprasowaną koszulę, żeby podać mi kawę do łóżka.

Dzięki Tatarce Oldze skompletowaliśmy prawie wszystkie dokumenty. Tuż przed Dniem Zwycięstwa Tatiana Władimirowna, Masza i ja poszliśmy do kliniki psychiatrycznej po ostatni: oficjalne zaświadczenie, że w chwili podpisywania umowy Tatiana Władimirowna była zdrowa na umyśle (Masza powiedziała, że Katia przygotowuje się do egzaminów i nie może iść). Stara babuszka, piękna, zwinna gazela i zagranicznik w okularach: podejrzane combo dla tych, którzy zwróciliby na nas uwagę.

Każdy system komunikacji podziemnej ma swoje niepisane zasady. W londyńskim metrze musisz stanąć po prawej stronie

schodów, zaczekać, aż z wagonu wysiądą pasażerowie, pod żadnym pozorem nie możesz rozmawiać z obcymi i całować się w przedziale przed śniadaniem. W Moskwie przed przystankiem, na którym chcesz wysiąść, musisz wstać i wraz z innymi wysiadającymi zastygnąć bez ruchu twarzą do drzwi, jak żołnierz przed bitwą albo chrześcijanin na rzymskiej arenie. A potem pełną parą walisz w stronę wyjścia, podczas gdy z peronu naciera na ciebie tłum rozpychających się bezpardonowo staruszek.

Tego dnia wstaliśmy na Krasnosielskiej, a wysiedliśmy na Sokolnikach. W rynsztoku, kurczowo obejmując zmurszały krawężnik, ukryło się kilka płatów lodu, a do podstaw latarni przywarły małe grudki czarno-szarego śniegu. Chodnik wyglądał tak, jakby polano go schłodzonym sosem do pieczenia. Ale dziewczyny chodziły już w krótkich spódniczkach. Na ulicy pachniało piwem i rewolucją.

Nasza klinika przycupnęła w labiryncie zapuszczonych siedmiopiętrowych bloków, jeszcze sowieckich. Wszędzie, między domami też, wiły się grube, niemal zupełnie odsłonięte rury grzewcze, jak rury na elewacji paryskiego centrum sztuki, tylko mniej kolorowe i pokryte azbestem. Weszliśmy do środka, minęliśmy grupkę pielęgniarek palących w holu papierosa i na drugim piętrze znaleźliśmy oddział psychiatrii. W korytarzu unosił się słaby zapach gazu i słychać było przytłumione kapanie. Widzieliśmy dwóch pacjentów w szpitalnych szlafrokach; jeden był w słomkowym kapeluszu. Psycholog miał oprawiony w ramki dyplom na ścianie, trzydniowy zarost na twarzy, okulary a la John Lennon na nosie, na biurku zaś stertę luźnych papierów, stary czerwony telefon i dwa plastikowe kubki, w tym jeden przewrócony. Był w ubrudzonym krwią białym fartuchu.

- Czy ona pije?  
- Nie - odparłem.  
- Nie - potwierdziła Masza.  
- Panie doktorze - wtrąciła Tatiana Władimirowna. - Ja jeszcze nie umarłam. Mogę odpowiadać sama.  
- Jeśli pije - ciągnął psycholog - też może dostać zaświadczenie. Tylko za trochę więcej. - Uśmiechnął się i skrzyżował ręce na biurku.  
- Jestem trzeźwa - powiedziała Tatiana Władimirowna.  
Psycholog zmarszczył nos. Coś tam sobie zapisał. Robił wrażenie rozczarowanego.  
- Narkotyki? - spytał z nadzieją.  
Tatiana Władimirowna parsknęła śmiechem.  
- Kim pan jest? - Psycholog stał się nagle drażliwy na punkcie dobrych manier.  
- Jej prawnikiem.  
- Prawnikiem? Rozumiem.  
Przełożył jakieś papiery. I przeszedł do testu.  
- Jak się pani nazywa? - spytał, nachylając się w naszą stronę.  
- Józef Wissarionowicz Stalin - odparła Tatiana Władimirowna. Miała twarz pokerzystki, a może twarz z czasów, kiedy ją przesłuchiowano, i wytrzymała tak, dopóki tamten nie ożywił się na myśl, że może zdobył wreszcie pretekst do wyższej opłaty. Wtedy dodała: - Żartuję.  
Podała swoje imię i nazwisko, datę urodzenia, nazwisko prezydenta Rosji, odpowiedziała na parę innych pytań, na które odpowiedzieć mógłby każdy wariat. Zapłaciliśmy czterysta rubli plus trzysta rubli opłaty manipulacyjnej (według psychologa). Wzięliśmy zaświadczenie, że Tatiana Władimirowna jest zdrowa umysłowo i wyszliśmy.

Przed wyjazdem do Odessy widziałem ją jeszcze raz. I jestem pewny daty. Dziewiątego maja, w Dniu Zwycięstwa.

Zaprosiłem je do siebie, Maszę, Katię i ją. Na transmisję z defilady czołgów i raket na placu Czerwonym, na spacer bulwarem do placu Puszkina i na pokaz sztucznych ogni nad Kremlem.

To było urocze popołudnie. Podaliśmy z Maszą bliny, wędzonego łososia i całą resztę. Tego dnia pozwoliła mi czuć się tak, jakbyśmy byli zwyczajną parą, taką samą jak te, które zapraszają cię na kolację, by pokazać, jak bardzo są szczęśliwe i milcząco skuteczne, jak bardzo zakochane i czupurnie swobodne. Po defiladzie, w radiu zaczęto puszczać pieśni patriotyczne i Tatiana Władimirowna nauczyła nas kilku tańców z czasów wojny, chyba walca i czegoś jeszcze, nie pamiętam już czego. Najpierw tańczyła ze mną, podczas gdy Masza klasowała, a Katia śmiała się wesoło, potem z dziewczynami. Jeszcze potem przesunęliśmy pod ścianę stolik do kawy, ten z Ikei, i zatańczyliśmy wszyscy razem, ja z Maszą w zielonej letniej sukience, Tatiana Władimirowna z Katią. Spocona i uśmiechnięta staruszka wywijiała nogami jak nastolatka i parę razy wydała ten przeraźliwie wysoki chłopski okrzyk, odgłos, który zdawał się wydobywać z głębi gardła, mroków pamięci, a może z genów.

W końcu pochyliła się, ciężko dysząc, i opadliśmy we czworo na sofę.

- Brawo, dzieci - powiedziała. - Brawo. I dziękuję.

Zawsze uważałem, że obsesja Rosjan na punkcie wojny jest trochę chora. Ale tego popołudnia przekonałem się, że jej rozbrykanie nie miało nic wspólnego ze Stalinem, frontem wschod-

nim ani z niczym takim. Chodziło o straconą miłość i młodość, o bunt, o wyjazd do Jałty w pięćdziesiątym szóstym.

Potem Masza wyjęła dokumenty.

- Tatiano Władimirowna - powiedziała - chciałam wam to pokazać. Kola zebrał wszystkie papiery nowego mieszkania w Butowie. Prawo własności, zaświadczenie techniczne, wszystko, co trzeba, żeby sprzedaż była legalna i żeby obyło się bez problemów. Proszę. - Podniosła dokumenty i rozłożyła je jak petersburska księżna wachlarz. - Mamy również papiery starego mieszkania, te dla Stiepana Michajłowicza. - Pokazała jej dokumenty zebrane przez Tatarkę Olgę, które dałem jej przedtem.

- Pokaż jej, Kola - rzuciła z uśmiechem Katia.

- Tak, właśnie - powiedziała Tatiana Władimirowna. - Na pewno są w porządku, ale chciałabym, żebyś mi wszystko wyjaśnił. Wtedy będę zupełnie spokojna.

- Proszę, Kola. - Masza podała mi swój wachlarz i teczkę z dokumentami Olgi.

Dokumentu, którego nie można by w Rosji kupić, jeszcze nie wynaleziono. Na placu Paweleckim, w przejściu podziemnym z metra do śmiesznego wieżowca, w którym pracowałem, można kupić dyplom ukończenia wyższej uczelni, pozwolenie na pobyt stały i zaświadczenie, że jest się wykwalifikowanym neurochirurgiem. Falszywki są czasem prawdziwe w tym sensie, że zostały sporządzone przez skorumpowanego pracownika prawdziwego uniwersytetu, urzędnika z miejskiego ratusza czy administracji kremlowskiej (jest duże zapotrzebowanie na „czyste” dokumenty z lat dziewięćdziesiątych, które zawsze można antydatować i zaopatrzyć w stosowny znak wodny). Niektóre są rażącymi podróbkami. Nie wiem, skąd Masza wzięła dokumenty mieszkania w Butowie, które tego popołudnia wi-

działem pierwszy raz. Były dość przekonujące, opatrzone odpowiednimi insygniami i dziesiątkami wiarygodnych pieczęci. Trochę podejrzane wydawały się może tylko podpisy i cień, jaki fotokopiarka zostawia czasem w złamanej bieli w rogach dokumentu, ale nie dostrzegłem w nich niczego niepokojącego czy rzucającego się w oczy.

Położyłem je na kuchennym stole i usiedliśmy, ja i Tatiana Władimirowna. Najpierw przejrzelśmy papiery jej starego mieszkania. Potem pokazałem jej ten z wyszczególnieniem wyposażenia bloku w Butowie oraz zaświadczenie, że w jej nowym mieszkaniu nikt nie jest zameldowany. I zaświadczenie, że jego prawowitym właścicielem jest Stiepan Michajłowicz.

To było miłe popołudnie i nie chciałem go psuć. Mieliśmy jechać do Odessy i tego też nie chciałem zepsuć. Teraz trudno by było się z tego wycofać. Ale rzeczywistość była jeszcze gorsza i prostsza niż te wszystkie tłumaczenia. Muszę się przyznać, że gdy w Dniu Zwycięstwa zapoznawałem Tatianę Władimirowna z dokumentami, czułem się tak, jakbym robił to codziennie, ot, bułka z masłem. Jakby było to nieuniknione, niemal naturalne. Wiem, jak to brzmi, ale nic innego nie przychodzi mi do głowy.

- Świetnie - powiedziała, kiedy skończyliśmy. - Jesteś aniołem, Nikołaj.

- Tak - zgodziła się z nią Masza. - Kola to nasz anioł. - Przechesała mi ręką włosy, bardzo lekko, tylko raz.

- Nie ma o czym mówić - odparłem.

- Chodźmy. - Katia wstała i przeciągnęła się. - Zaraz zaczną się fajerwerki.

Wychodząc, spotkaliśmy Olega Nikołajewicza. Zjechaliśmy windą, ale akurat wchodził do kamienicy i wpadliśmy na siebie,

kiedy otworzyłem drzwi. Był w tym pogrzebowym garniturze i białej koszuli frakowej, jak dżezmen albo grabarz, i miał teczkę, prawie na pewno pustą. Masza i Katia szły za mną, Tatiana Władimirowna za nimi.

Zgodnie z rosyjską tradycją, pogratulowałem mu z okazji wielkiego zwycięstwa jego kraju. On też mi pogratulował, z okazji zwycięstwa Wielkiej Brytanii.

- Chwała pańskiemu dziadkowi! - zakrzyknął.

Kiedy rozmawialiśmy częściej i dłużej, opowiadałem mu o konwojach i związku mojej rodziny z Rosją.

- Olegu Nikołajewiczu, pozwoli pan, to są moje przyjaciółki, Masza i Katia.

- Wszystkiego dobrego z okazji Dnia Zwycięstwa! - powiedziała Katia i zachichotała.

Byli ostrożni i podejrzliwi jak przedstawiciele dwóch różnych cywilizacji, którzy - zupełnie przypadkowo - mówią tym samym językiem.

- *Da* - odparł Oleg Nikołajewicz. - Wzajemnie.

- No tak - włączyła się Masza. - Musimy już iść. Proszę wybaczyć.

Oleg Nikołajewicz rozpląszczył się na ścianie, żeby je przepuścić. Dziewczyny przecisnęły się obok niego i wyszły na ulicę.

- Wszystkiego dobrego - rzucił cicho za nimi.

Tatiana Władimirowna wciąż była w środku i stała obok mnie. Nie wiedziałem, jak ją przedstawić, więc przedstawiłem tylko imieniem.

- Bardzo mi miło - powiedział Oleg Nikołajewicz.

- Mnie również - odrzekła Tatiana Władimirowna.

Obydwoje mieli nieufne oczy i czułem, jak się wzajemnie sondują, próbując odgadnąć, skąd pochodzą, jakie mają wy-



kształcenie, ile krwi spłynęło na ich ręce albo na ręce ich rodziny - była to ta błyskawiczna epicka kalkulacja, typowa dla starszych Rosjan, coś jak sposób, w jaki Anglicy oceniają czyjeś buty, akcent i fryzury. Po chwili wzrok im złagodniał, opadły ramiona i garda ostrożności.

- Wam też życzę wszystkiego dobrego, Tatiano Władimirowna - powiedział Oleg Nikołajewicz.

- To już sześćdziesiąt lat - odparła. - Sześćdziesiąt?

- Mniej więcej.

Musiała być sześć, siedem lat starsza od niego, ale oboje to wszystko przeżyli: wojnę, Stalina, cały ten rosyjski koszmar. Byli w takim wieku, że na pewno w coś kiedyś wierzyli, nawet jeśli przedmiot ich wiary okazał się w końcu oszustwem. Młodzi, znakomita ich większość, nie wierzyli w nic, bo nie mieli w co. Nie było już ani komunizmu, ani Boga. Nawet pamięć o Bogu poszła w zapomnienie.

- Wyjechaliśmy do Kazania - powiedział nagle Oleg Nikołajewicz. - Nad Wołgą. Ojciec pracował jako technik w laboratorium fizyki. Dwa lata nie było nas w Moskwie.

- Leningrad. - Tatiana Władimirowna wymieniła tylko nazwę miasta, nie dodała nic więcej.

Oleg Nikołajewicz kiwnął głową.

Już odchodziliśmy, gdy nagle zawołał:

- Sekundkę, Nikołaju Iwanowiczu. Sekundkę na osobności, jeśli łaska.

Tatiana Władimirowna wyszła na niemal ciepły zmrok i dołączyła do dziewcząt, ja zostałem w drzwiach. Stały kilka metrów od nas, we trzy. Gdyby wyteńczyły słuch, gdyby chciały, pewnie mogłyby nas podsłuchać.

- Instalują jacuzzi.

- Gdzie?

- W mieszkaniu Konstantina Andriejewicza. Ktoś się tam wprowadził.

Długo nie myślałem o jego przyjacielu i szczerze mówiąc, wcale nie chciałem.

-Kto?

- Nie wiem. Nie wiem. Powiedziała mi kobieta, która mieszka w jego kamienicy. Widziała.

-Co?

- To jacuzzi.

Czekał na moją reakcję, ale ja nie miałem nic do powiedzenia ani o jacuzzi, ani o jego przyjacielu. Po prostu musiał się tym z kimś podzielić, tak myślę. Pewnie już wiedział, że jest za późno, by oczekiwać ode mnie pomocy. Tak jak za późno było na to, żeby jego słowa wywarły jakieś wrażenie na mnie czy na dziewczynach.

Żeby przerwać ciszę, powiedziałem, że na początku czerwca wyjeżdżam na kilka dni do Odessy.

Spojrzał mi w oczy, potem patrzył przez chwilę na Maszę i Katię w skąpych, wydekoltowanych sukienkach. Kiedy się znowu odezwał, zdawało się, że przemawia do mojego mostka.

- Zaprosz świnie na obiad - powiedział - to położy ci nogi na stole.

Oglądaliśmy pokaz sztucznych ogni z placu Puszkina. Tatiana Władimirowna stanęła między nami, a my wzięliśmy ją pod rękę. Chyba lubiła być wśród zakochanych, nawet jeśli jej nie kochał już nikt. Katia miała paczkę zimnych ogni, więc rozdała je nam i zaczęliśmy nimi wymachiwać. Kiedy huknęło i rozpoczął się pokaz, spojrzeliśmy w niebo nad Kremlm. „Och!”, krzyczeliśmy. „Hurrra!”.

- Dobrze się bawcie, dzieci. - Tatiana Władimirowna życzyła nam miłego wieczoru, posłała nam całusa i puściła do mnie oko.

Znowu wziąłem dzień wolnego i w piątek rano poleciliśmy do Odessy. Dom na plaży w końcu nie wypalił, jeśli w ogóle istniał, więc zatrzymaliśmy się w hotelu. Płaciłem oczywiście ja, ale mogłem dzięki temu udawać nadzianego ważniaka, który przyjeżdża tam z dwiema dziewczynami i schodzi z nimi na śniadanie. Hotel stał przy uroczej, leniwej alei pełnej kwitnących drzew i pomników martwych mieszkańców Odessy, na szczycie wspaniałych starych schodów prowadzących na nadmorski bulwar. W hotelu też były eleganckie drewniane schody, restauracja, która musiała uchodzić kiedyś za Ritza, i okna z pięknym widokiem na letnie słońce kąpiące się w oleście czarnym morzu. Wszystko to znowu staje mi przed oczami, kiedy tak ci o tym opowiadam.

Wzięliśmy półtora pokoju, dużą sypialnię z dziecięcym aneksem na jedno łóżko i wspólną łazienką. Katia poszła od razu na podryw. Tak, przyznaję: poprosiłem Maszę, żeby zdjęła sukienkę, otworzyła szafę i stanęła przed lustrem, jak na zdjęciu, które pokazała mi na samym początku. Tylko że teraz siedziałem za nią ja, patrzyłem na jej pupę, a w lustrze widziałem ją z przodu i siebie. Spotkaliśmy się wzrokiem gdzieś na drzwiach - nasze obrazy były blisko siebie, ale my jako my już się od siebie oddalaliśmy, coraz bardziej i bardziej.

Siedziałem tak, a ona stała, rozmawiając ze mną tylko oczami, wreszcie, tym samym głosem, co na lotnisku, rzuciła do mojego odbicia:

- Wystarczy, Kola?

W Odessie, zawsze troskliwa i punktualna, bardzo dbała

o moje potrzeby, które zdążyła już poznać. Była tam, ale jakby jej nie było, a może jakby nie było tam mnie, tam, w jej głowie, I może dlatego, że mnie nie było, mogła pozwolić sobie na hojność.

Ubraliśmy się. Na szczycie schodów w cienistej alei prowadzącej nad morze spotkaliśmy karłowatego krokodyla, łysiejącą sowę i nerwową małpę, czekające na naiwnych turystów, którzy zechcieliby się z nimi sfotografować. Na słońcu było ciepło, ale w cieniu chłodnawo. Otwierały się już odesskie kafejki, rozposzcierano parasole, podnoszono markizy. Miasto przeciąga się jak zwierzę po zimowym śnie. Nieśmiali Amerykanie rozmawiali z zakłopotaniem o jedzeniu z poznanymi przez Internet żonami, które przylecieli tam poznać. Między stolikami krążyły dwie dziewczyny w kozaczkach z PCV i podwiązках, rozdając ulotki klubu ze striptizem. Chyba się myliłem, sądząc, że region ten umiera, że giną ci ekstrawagancy, grzeszni Słowianie. Może aby być aż tak nieśmiertelnym, trzeba jednak mieć jakąś religię, jakichś zmurszałych bogów w zakamarkach umysłu, bogów, którym chce się za wszelką cenę przeciwstawić.

W południe pojechaliśmy taksówką na plażę.

Spytałem Katię:

- Jak poszły egzaminy?

- Jakie egzaminy?

- Twoje, na MGU.

- A tak - odparła. - Egzaminy. Świetnie.

Siedzieliśmy w małej bambusowej kawiarence. Szczupli nastoletni chłopcy spadali do zimnego morza z rozchwierutanej zjeżdżalni i skakali do wody z rozlatującego się mola. Piasek wyglądał z daleka jak ten na wulkanicznej Teneryfie (dawno temu, przed tobą i Rosją). Po bliższym zbadaniu okazało się, że to

głównie papierosowy popiół. Katia była w przezroczystej sukience i czerwonym bikini pod spodem. Masza kręciła parasolką. Za ciemnymi okularami nie widziałem jej oczu.

- Z czego zdawałaś, Katiu?

- Z zarządzania... ekonomii... i wielu innych. - Uśmiechnęła się. - Jestem bardzo dobrą studentką.

- Pierwszą na roku - dodała Masza.

Roześmiały się. Ja też się roześmiałem.

Na betonowej ścieżce za plażą cuchnęło moczem, ale nie odpychająco. Jakiś starzec kusił nas gruszką bokserską, jakaś staruszka chciała nas zważyć na starodawnej wadze. Psy drzemały jeden na drugim. Dziewczyny nie miały już prawie nic do ukrycia. Tatiana Władimirowna nie była ich ciotką. Katia pracowała jako kelnerka w uzbeckiej knajpie. Wszystko wychodziło na jaw.

Posiedzieliśmy trochę na plaży (Masza i Katia rozłożyły plastikowe torby, żeby nie zniszczyć ubrania). Umówiliśmy się, że wieczorem pójdziemy do nocnego klubu, który minęliśmy po drodze. Kupiliśmy lody od kobiety podobnej do Tatiany Władimirownej i lizaliśmy je w milczeniu.

O Sierioży dowiedziałem się w hotelu, kiedy szykowaliśmy się do wyjścia.

Masza poszła do łazienki i zamknęła drzwi. Puściła wodę. Katia zasnęła. Leżała na brzuchu w swoim pokoju, z rękami wzdłuż boków, jak trup. Kwadrans później zapukałem do Maszy i spytałem, czy wszystko w porządku, a ona po długiej chwili milczenia odparła: „Da”, przeciągając to słowo głosem, który mówił, że albo ma orgazm, albo agonalnie rzezi. Włączyłem telewizor: zawody w podnoszeniu ciężarów, softcorowa re-

klama włoskiego seks-telefonu, tłum duszących się wzajemnie mężczyzn w obcisłych garniturach, chyba w ukraińskim parlamencie, dziwna ceremonia wojskowa z orkiestrą dętą i wielbłędami transmitowana na żywo z Turkmenistanu. Wyłączyłem telewizor. Za oknem coś huknęło, dwa razy, i jak na amatora przystało, od razu pomyślałem, że to wystrzały. Wtedy zobaczyłem wykończoną na różowo torebkę Maszy na stoliku przy łóżku - podniosłem ją i zajrzałem do środka.

Były tam dwa paszporty, międzynarodowy i krajowy, coś w rodzaju dowodu osobistego, który Rosjanie muszą ze sobą nosić. Stąd wiem na pewno, jak się nazywała. Potem zdałem sobie sprawę, że mogłem sprawdzić, gdzie mieszka i zapisać jej adres. Może powinienem był to zrobić, ale spieszyłem się i przez pośpiech nie sprawdziłem. Była tam również karta wstępu do siłowni i nocnego klubu na Tagance, o którym nigdy nie słyszałem. Miała również kartę rabatową do sklepu z akcesoriami na Nowym Arbacie, trzy znaczki na karcie „kup sześć, jedną dostaniesz gratis” z kawiarni na placu Puszkina, bilet miesięczny do metra, dwa tysiące rubli i pięćdziesiąt dolarów. Na samym dniu znalazłem karteczkę z numerem jej telefonu - noszą je wszyscy praktyczni moskwianie, żeby parę dni później babcia tego, kto ukradł torebkę, mogła odsprzedać im dokumenty. Było tam i zdjęcie.

Wyglądał jak słodkie niewiniątko, ten chłopczyk. Zdjęcie było czarno-białe, wielkości paszportu, ale ponieważ spod związanej pod brodą zimowej czapeczki wystawało trochę kędzierzawych włosków, widziałem, że ma na głowie jasny czub, jak komiksowy Tintin. Nie wiedziałem tego na pewno - miesięczne fazy rozwoju i słodkie dokonania, którymi rodzice tak bardzo się ekscytują, zawsze mnie przerastały - ale domyśliłem

się, że na zdjęciu ma mniej więcej rok. Widziałem go tylko od pasa w górę, ale był chyba w marynarskim mundurku. Siedząc bokiem do aparatu, spoglądał do góry na kobietę, która trzymała go na kolanach. Na Maszę.

Odwróciłem zdjęcie. Ktoś napisał tam: „Z Sieriożą” i dodał datę. Pięć, sześć miesięcy przed naszym spotkaniem. Obliczyłem, że kiedy byliśmy w Odessie, chłopiec musiał mieć około dwóch lat. Włożyłem zdjęcie do torebki, torebkę postawiłem tam, gdzie stała.

Tego wieczoru obie były w obcisłych kombinezonach - Masza w granatowym, Katia chyba fioletowym - i miały za bardzo wyzywający makijaż. Poszliśmy na kolację do ukraińskiego baru. Nałożyłem sobie kopiasty talerz knedli, ale prawie nic nie zjadłem, po prostu siedziałem tam i myślałem: Kto to jest Sieriożą? Kto to jest Sierioża? Kto to jest Sierioża? One zastanawiały się, gdzie pojechałyby na wakacje, gdyby było je na to stać (Malediwy, Seszele, do Harrodsa). Potem wypiliśmy pina coladę w rozfalowanym barze i pojechaliśmy taksówką do nocnego klubu na plaży. Ramzes, tak się chyba nazywał ten klub. Albo Faraon.

Był pierwszy tydzień sezonu, wczesny wieczór, najwyżej wpół do jedenastej. Chłodno. Klub ział jeszcze pustką. Była tam scena tonąca w oparach suchego lodu, nagi parkiet, a wokół parkietu stoliki u podnóża trzech plastikowych egipskich piramid. Usiedliśmy i nie zwracając sobie głowy rozmową w ryczącym techno, czekaliśmy, aż coś zacznie się dziać. Najpierw powoli, potem gwałtownie, jak to w nocnym klubie, lokal się zappełnił. Masza i Katia poszły potańczyć. Ja ruszyłem do baru, stałem tam samotnie, patrząc i pijąc.

Nie licząc kilkunastu filmowych gangsterów w groźnych czarnych marynarkach, facetów o szyjach grubości pnia drzewa i włosach a la skazaniec z bloku śmierci, byłem co najmniej piętnaście lat starszy od wszystkich pozostałych. Dżinsy, imprezowa koszula - długonogie odeskie kobiety patrzyły na mnie jak na ekshibicjonistę albo żebraka. Był striptiz, dziwaczny nagi balet z nieruchomym zwałistym mężczyzną i dwiema rozczarowująco leciwymi kobietami o obwisłych piersiach. Ironiczna publiczność nagrodziła ich oklaskami i okrzykami.

Kiedy striptizerzy pozbierali ubranie i zbiegli ze sceny, wdrapałem się na piramidę i poszukałem na parkiecie dziewczyn. Nie pamiętam już tego dokładnie, ale w moich sennych wspomnieniach, w ogłuszającym huku, w zalanych potem okularach przebiłem się w pobliże sceny, bezgłośnie przeproszając właścicieli nóg, którym deptałem po palcach. Pamiętam, że tańczyły z jakąś dziewczyną i chłopakiem, ale na mój widok tamci ukryli się w dżungli kończyn.

Stałem przed Maszą, chwyciłem ją za głowę, żeby przestała podrygiwać i ile sił w płucach krzyknąłem:

- Kto to jest Sierioża?
- Co? - Jej twarz przestała tańczyć, ale ciało wciąż tańczyło.
- Kto to jest Sierioża?
- Nie teraz, Kola.
- To twój syn?
- Nie dzisiaj, Kola.
- Jest teraz u twojej matki? Czy twoja matka naprawdę chorowała, kiedy byłaś mała? Czy ty w ogóle masz matkę?
- Nie dzisiaj. To twój wieczór, Kola. Zatańczmy.

Jej ciało znowu zaczęło pląsać. Wciąż trzymałem ją za głowę, ale wtedy wyciągnęła rękę do Kati i poczułem, jak Katia napiera



na mnie ramionami, jak jej palce splatają się z moimi na głowie Maszy, poczułem jej oddech na szyi i dotyk jędrnych piersi na plecach.

W połowie mego ciała chlupotała pina colada, druga upiła się zrozumieniem. Pozwoliłem Kati zabrać moje ręce, przestałem krzyczeć na Maszę i szurając nogami, zacząłem tańczyć moje szkolne disco. Musieliśmy wyglądać jak trójkąt z kiczowatej męskiej fantazji.

Ale w Odessie, bardziej nawet niż w Moskwie, ciekawe jest to, że w odpowiednim świetle i odpowiednim stanie upojenia wszystko wygląda dużo lepiej. Że wszystko może być takie, jakie chcesz. Ludzie tym żyją, więc możesz żyć i ty. No więc żyłem, przynajmniej tej długiej ostatniej nocy. Łód przestał dymić i za sceną zobaczyłem Morze Czarne, grzbiety fal sunące ku nam w blasku księżyca. Wydawało mi się, że mogę tańczyć, tańczyć jak ci, którzy wchodzili na podia, żeby pokazać światu, jacy są młodzi i piękni u progu nowego lata. Gangsterzy przestali być groźni, Masza całowała mnie szczerze i z oddaniem. Piramida wyglądała jak piramida, fantazja pachniała szczęściem, a noc wolnością.

Godzinę po tym, jak się położyliśmy, światło musnęło wodę, przebiło się przez drzewa i hotelowe zasłony. Na biodrach i jej śpiącym brzuchu szukałem śladów, znaków i rozstępów, ale nie mogłem ich znaleźć.

## 15

Kiedy wróciliśmy z Odessy, była już pełnia lata. Wiosna w Moskwie zawsze się spieszy, kończy się niemal z nocy na noc albo podczas oglądania filmu: człowiek się budzi, albo wychodzi z kina, mruga oczami i stwierdza, że już jej nie ma. Usta wypełniał smak hormonów i energii, a teraz coś z tą energią trzeba zrobić.

Kilka dni po powrocie - parę przed podpisaniem umowy mieszkaniowej - znowu odwiedziliśmy z Maszą Tatianę Władimirowną. Stała w progu, odsunęła nas od drzwi i poszliśmy na spacer ścieżką wokół odtajalego stawu. Daliśmy jej mały prezent, magnes na lodówkę z odeską operą i dumną głową jakiejś carycy. Podniosła go do oczu, a potem schowała do kieszeni cienkiej granatowej kurtki. Powiedziała, że bardzo chciałaby znowu pojechać nad Morze Czarne. Kiedyś.

- Pojedzie pani - zapewniłem.

- Może - odparła.

Potem Masza powiedziała, że jest problem z mieszkaniami. A właściwie dwa problemy. Pierwszy - to ja miałem go niby wykryć - polegał na tym, że gdyby Tatiana Władimirowna zamieniła swoje mieszkanie na nowe zgodnie z umową, musiałaby zapłacić setki tysięcy rubli podatku od nieruchomości. Władze,

tłumaczyła, oszacowałyby uznaniowo koszt Butowa i żeby ustalić wartość jej obecnego mieszkania, dodały do tego pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Ostateczna kwota przekroczyłaby próg, za którym zaczynał już działać podatek. Tatiana Władimirowna straciłaby wtedy pięćdziesiąt tysięcy dolarów, może nawet musiałaby dopłacić.

- To prawda, Nikołaju? - spytała staruszka.

Nie mam pojęcia, dlaczego tak bardzo mi ufała. Masza spojrziała mi w oczy, nie mrugając do mnie ani nie kiwając ukradkiem głową, bo wiedziała już, co jestem gotów powiedzieć i zrobić.

- Tak - odparłem moim najlepszym prawniczym głosem, chociaż słyszałem o tym pierwszy raz. Potem sprawdziłem: Masza kłamała. Ale kłamała przekonująco.

Jest rozwiązanie, ciągnęła. Można sporządzić dwie oddzielne umowy: jedną na sprzedaż starego mieszkania nad stawem, tylko za pięćdziesiąt tysięcy dolarów, i drugą na kupno nowego w Butowie. W tej drugiej trzeba by wymienić jakąś wiarygodną cenę, wysoką na tyle, by władze nie pomyślały, że to oszustwo. Ale cena nie jest ważna, tłumaczyła, bo Tatiana Władimirowna i tak nie będzie musiała nic płacić.

- Dwie umowy - powtórzyła Tatiana Władimirowna. - Rozumiem. Kiedy podpisałibyśmy tę drugą, tę na nowe mieszkanie?

- Niedługo - odparła Masza. - Już niedługo.

Tatiana Władimirowna przystanęła i przez sekundę przyglądała się swoim butom. Wzruszyła ramionami i zdecydowała:

- Dobrze.

Drugi problem, tłumaczyła Masza, jest taki, że Stiepan Michajłowicz zadzwonił do niej z wiadomością, że Butowo jest prawie gotowe, prawie, bo nie całkiem. Za parę tygodni

wszystko skończą, obiecywał, najdalej za trzy. Ale Masza sugerowała, żeby Tatiana Władimirowna sprzedała swoje mieszkanie już teraz, żeby podpisała papiery i wzięła pieniądze. Umówiła się już na spotkanie w banku, gdzie przeliczy się gotówkę i nawet jeśli opóźnimy podpisanie umowy, to i tak trzeba będzie za to zapłacić. (W tamtych czasach sprzedaż nieruchomości, tak jak wszystkie większe transakcje w Rosji - przekupywanie sędziów, podkupywanie inspektorów podatkowych - odbywała się tylko za gotówkę).

- I trzeba za to zapłacić, tak?

- Tak - potwierdziłem.

Ale, ciągnęła Masza, Tatiana Władimirowna będzie mogła dalej mieszkać w swoim starym mieszkaniu przy stawie, dopóki nie wykończą Butowa. Pozostała tylko kuchnia, mówiła, Stiepan Michajłowicz musi tylko zamontować blaty i zainstalować zmywarkę do naczyń, i będzie po wszystkim. A ona musi się tylko wymeldować, to znaczy, zawiadomić władzę, że już tam nie mieszka. Nie będzie mieszkała nigdzie. Masza powiedziała to bez pośpiechu i bez zająknięcia, spokojnie i z opanowaniem. Była niesamowita.

- Zmywarka do naczyń! - wykrzyknęła Tatiana Władimirowna i roześmiała się. Potem zamilkła i milczała tak długo, że zacząłem się martwić, że się zgodzi, ale bardziej martwiło mnie - przyznaję - że może powiedzieć „nie”. Pamiętam, że patrzyłem w ziemię, myśląc, jak cudownie sucha jest ścieżka wokół stawu. Drzewa odżyły, były niemal zielone, a z namiotu restauracji na drugim brzegu dochodził głośny stukot. Czarodziejskie zwierzęta, skaczące po ścianie budynku naprzeciwko kamienicy Tatiany Władimirownej, błyszcząły tak, jakby wypielęgowano je na powitanie lata.

W końcu Tatiana Władimirowna powiedziała:

- Dobrze. Spotkajmy się w banku.

I poszliśmy dalej.

Zagrzebany żiguli wychynął ze śnieżnego kokonu. Miał pękniętą przednią szybę, ale wyglądał czyściej niż przed zniknięciem, jakby zima zmyła z niego plamy. Mijając dom, w którym mieszkał, nadal albo kiedyś, przyjaciel Olega Nikołajewicza, zobaczyłem ekipę tadżyckich robotników, którzy targali po schodach taczki piasku, sterty sklejki i kubły z farbą. Letnia kawiarnia na rogu ulicy otworzyła okiennice, żeby wpuścić do środka gładkie jak balsam powietrze. Topole, które jakiś genialny radziecki planista zasadził w całym mieście, były w okresie rui, rozsiewając wokół białe puchate nasiona - ot, niegroźna czerwcową plaga, „letni śnieg”, jak nazywali to moskwianie, który przykleja się do włosów, wpada do gardła i zbiera się kłakami w rynsztokach, gdzie podpalają go pijane wyrostki.

Bank, w którym mieliśmy podpisać finalną umowę i przeliczyć pieniądze, mieścił się niedaleko mieszkania Tatiany Władimirownej, w części miasta zwanej Kitaj Gorod, chińską dzielnicą. Pamiętam, że tuż obok był dom gry, a naprzeciwko sklep rabatowy z DVD. Spóźniłem się. Był zwykły dzień, chyba poniedziałek, i w biurze mieliśmy dużo pracy z kolejnym kredytem. Pieniądze wciąż napływały do Moskwy szerokim strumieniem i nie przestały napływać nawet po tym, co Kreml zrobił temu zarozumiałemu magnatowi naftowemu, jego nieszczęsnemu prawnikowi i innym z wściekłości udziałowcom mniejszościowym. Kiedy przyszedłem, stały na chodniku przed bankiem, Masza i Katia w spodniach, których nigdy przedtem u nich nie widziałem (bardzo obcisłych w biodrach), Stie-

pan Michajłowicz i jego szcurzy kucyk w marynarce z podej-  
rzanego tweedu, Tatiana Władimirowna w długiej plisowanej  
spódnicy i brązowej bluzce. Weszliśmy do środka, minęliśmy  
rząd posępnych kasjerów za wzmocnionymi oknami, otworzy-  
liśmy opatrzone elektronicznym zamkiem drzwi i znaleźliśmy  
się w czymś w rodzaju sali posiedzeń z więziennymi okienkami  
pod sufitem i letnią wodą w karafce na stole.

Czekało na nas dwoje urzędników: on miał parafować doku-  
menty dla rejestru nieruchomości państwowych, ona przeliczyć  
pieniądze, które Stiepan Michajłowicz przyniósł w wystrzępio-  
nej skórzanej teczce. (Nie wiem, skąd wzięli drugie dwadzieścia  
pięć tysięcy dolarów, nigdy się tego nie dowiedziałem). W kącie  
sali były drzwi z zasuwaną stalową kratą, taką jak w zamkniętym  
na noc sklepie. Rozsunęli ją i metalowymi schodami zeszliśmy  
gęsiego na dół, ci z banku, Stiepan Michajłowicz, Tatiana Wła-  
dimirowna i ja, jej prawnik, w zupełnej ciszy, nie licząc odgłosu  
naszych kroków i kilku sapnięć starszej pani. Szła przede mną  
i kiedy ktoś zamknął kratę, przesuwając ją z piskliwym zgrzytem  
po szynie i trzaskając rygłem, lekko odwróciła głowę pod wpły-  
wem jakiegoś zakorzenionego sowieckiego odruchu.

Pomieszczenie w podziemiach okazało się ślepym, dusznym,  
bezlitośnie przygnębiającym skarbcem z małym drewnianym  
stołem pośrodku i dyndającą nad nim samotną żarówką, salą  
podobną do tych, w jakich zdawaliśmy kiedyś egzaminy. Ściany  
były zrobione ze schowków depozytowych. Urzędniczka, która  
miała przeliczyć pieniądze - życzliwie zmęczona, pulchna,  
w średnim wieku, chyba Ormianka - zajęła jedyne krzesło. Stie-  
pan Michajłowicz wyjął z teczki pieniądze, pięćdziesiąt tysięcy  
dolarów z rublach, żeby je przeliczyła. My staliśmy, dysząc,  
wokół krzesła, podczas gdy ona rozłożyła banknoty pod lampą

fluorescencyjną. Obejrzała każdy przez lupę, taką, jakiej używają handlarze diamentami, potem plik po pliku wrzuciła do hałaśliwej liczarki. Jeszcze potem podzieliła je na trzy kupki, każdą owinęła taśmą elastyczną i włożyła do ciemnoszarej skrzynki. Wypełniła formularz, w końcu wsunęła skrzynkę do otworu w ścianie.

Sapiąc, weszliśmy schodami na górę. Tatiana Władimirowna usiadła przy stole ze Stiepanem Michajłowiczem. Ja stanąłem pod ścianą z Maszą i Katią. Tatiana Władimirowna podpisała nową umowę, pospiesznie przygotowaną przez Tatarkę Olgę: jej mieszkanie za nasze pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Podpisała szybko, bez czytania i spojrzała na nas z uśmiechem. Kopia umowy zostanie wysłana do rejestru nieruchomości państwowych, wyjaśnili bankowcy. Gdy za parę tygodni rejestr przyśle zaświadczenie, że nowym właścicielem jest Stiepan Michajłowicz, wydadzą mu duplikat klucza, który do tego czasu przetrzymają, a Tatiana Władimirowna będzie mogła odebrać pieniądze.

- Gratulacje! - powiedziała Masza.

- Oj, Tatiano Władimirowna! - wykrzyknęła Katia, rzucając się, żeby objąć ją i uściskać.

- Gratulacje! - zawtórowałem.

- Dziękuję - odparł Stiepan Michajłowicz.

- Zmywarka do naczyń! - powiedziała Tatiana Władimirowna i roześmiała się.

Mniej więcej w tym samym czasie znowu zaginął kontroler Wiaczesław Aleksandrowicz. Cały kredyt został już wypłacony, ale on miał potwierdzić, że tamci przestrzegają wszystkich terminów i warunków, zwłaszcza tego, że latem z pływającej plat-

formy popłylnie pierwsza ropa, co oznaczałoby, że firma będzie spłacała zadłużenie zgodnie z harmonogramem. Sęk w tym, że miał wyłączony telefon, a tajemnicze automatyczne odpowiedzi na jego poczcie głosowej informowały, że bardzo przeprasza i prosi o wybaczenie, ale może upłynąć trochę czasu, zanim będzie mógł oddzwonić. Kozak też stał się nagle nieosiągalny. Siergiej Borysowicz poszedł do gmachu naprzeciwko Kremla, gdzie widzieliśmy go ostatni raz. Okazało się, że mieści się tam siedziba firmy naftowej należącej do grubego uzbeckiego mordercy. Siergiejowi Borysowiczowi powiedziano, że nikt tam nigdy o Kozaku nie słyszał i odprowadzono go do drzwi. Kiedy skontaktowaliśmy się z Narodnieftem, przypomnieli nam na piśmie, że nie ponoszą prawnej odpowiedzialności za przedsięwzięcia i działalność spółki joint venture. Paolo uważał, że jak na razie nie ma powodu niepokoić bankierów, ale widziałem, że jest zestresowany: miał ciemne worki pod oczami i zaczął przeklinać po włosku. Kozaka nazywał „przyjacielem Nicholasa”. Ludzie unikali go w biurze i ilekroć znaleźli się z nim w windzie, nerwowo spoglądali na cyferki nad drzwiami, modląc się, żeby jak najszybciej wysiąść.

W dniu, kiedy przyszło zaświadczenie, nie mogłem wyrwać się z pracy, dlatego nie widziałem, jak Tatiana Władimirowna wychodzi z banku z pięćdziesięcioma tysiącami dolarów w plastikowej reklamówce - tak to sobie wyobrażałem - wracając do mieszkania, w którym przeżyła czterdzieści lat i w którym spodziewała się pomieszkać jeszcze kilka tygodni. Ale musiało tak być, mniej więcej dziesięć dni później, w połowie czerwca, kiedy dni są najdłuższe i kiedy zima wydaje się snem. Tego nie mogli ustawić. Za pieniądze odpowiadał bank i nikomu innemu by ich nie wydał. Dlatego musiała je mieć, przynajmniej na początku.



Ale zanim pożegnałem się z nią po tym, jak w skarbcu przeliczono pieniądze i jak podpisała umowę, zaprosiła nas po raz ostatni do siebie. Mieszkała ledwie kilka kroków stamtąd. W korytarzu piętrzyły się sterty porządnie poustawianych pudeł. Meble robiły wrażenie nagich i zawstydzonych. Z półek zdjęto talerze i dyplomy. W kuchennym zlewie stał bukiet kwiatów, które tydzień wcześniej, wraz z nowym radiem, dostała od kolegów z muzeum, odchodząc z pracy.

Ona też dała mi prezent. Powiedziała, że ma mnóstwo rzeczy i nie wie, czy pomieści je wszystkie w Butowie, zresztą po co jej one? Chciała, żebym przyjął coś na pamiątkę naszej przyjaźni. Jej zdjęcie w kole gimnastycznym, które zrobiono, kiedy wciąż miała przed sobą cztery dekady komunistycznych kłamstw i niedostatków, przed dekadą nadziei, kolejnych kłamstw i niedostatków, w końcu przed Maszą i Katią. I przede mną. Broniłem się, ale nalegała. Chyba widziałaś je kiedyś w szufladzie, bo spytałaś, kto to, a ja wymamrotałem coś o pamiątce i w sumie nie odpowiedziałem. Ze wszystkiego, co mam - niewiele tego jak na kogoś w moim wieku i z moim kontem - zdjęcie Tatiany Władimirownej z jej czarno-białej młodości jest jedyną rzeczą, którą chętnie bym zgubił, od której chętnie bym uciekł, ale jakoś nie mogę.

## 16

Jak już pisałem pisałem, zdradził go zapach.

Na bulwar znowu powróciły kwiaty, rabaty jaskrawych fiołków i tulipanów. I można by myśleć, że zgodnie z jakąś tajną klauzulą w rosyjskiej konstytucji, połowa kobiet poniżej czterdziestki zaczęła ubierać się jak prostytutki. A jak się patrzyło w stronę rzeki i hotelu Ukraina, nad kasynami na Nowym Arbacie widziało się mglisty miraż z gorących spalin. Była połowa czerwca i Konstantin Andriejewicz zaczął cuchnąć.

Właśnie wychodziłem, wczesnym wieczorem, pamiętam, że na spotkanie ze Steve'em Walshem w amerykańskiej restauracji na placu Majakowskiego. Kiedy zszedłem na piętro Olega Nikołajewicza, na macie pod jego drzwiami zobaczyłem Jerzego. Był starym, znękanym przez artretyzm białym kotem o różowych uszach i zaskakująco różowych oczach. I tak grubym, jakby był w ciąży. Miał chudy, kościsty ogon i wzrok cierpiącego na nerwicę pourazową. Zadzwoiłem do drzwi, kilka razy, ale odpowiedziała mi cisza. Jerzy śledził mnie różowymi oczami. Zostawiłem go tam, zbiegłem na dół i wyszedłem na smakowite wieczorne powietrze.

Najpierw zobaczyłem Olega Nikołajewicza. Był zwrócony tyłem do mnie, ale wiedziałem, że to on, że stoi tam w wy-

gniecionym garniturze i ze spuszczoną głową, jakby modlił się czy płakał. Ludzie kręcili się wokół niego i rozmawiali, ale on stał zupełnie nieruchomo i samotnie, bo z nim nie rozmawiał nikt.

Gapie zasłaniali mi widok. Ale natychmiast poczułem ten odór, zapach gnijących owoców, który go zdradził. Z odległości jakichś dziesięciu metrów zobaczyłem stopę.

Była tylko jedna: wystawała z bagażnika pomarańczowego żiguli, zwisając nad zamazaną tablicą rejestracyjną. Pamiętam, że była obuta. Nad butem widać było fragment skarpetki, a nad skarpetką kawałek zielonkawego ciała.

Od kolana w górę noga wciąż tkwiła w bagażniku, i dzięki Bogu, ale od razu domyśliłem się, że to Konstantin Andriejewicz, zaginiony przyjaciel mojego sąsiada. Podeszedłem do Olega Nikołajewicza, stanąłem obok niego, zobaczyłem rzednące białe włosy, skłębione na czubku pochylonej głowy, wbiłem wzrok w ziemię i przez trzy minuty, a może całą wieczność, staliśmy tak, on i ja, razem, a jednak osobno.

W końcu powiedziałem:

- Straszne. Po prostu straszne.

Podniósł wzrok, spojrzał na mnie, otworzył usta, przełknął ślinę i znowu zwiesił głowę.

Wokół samochodu kręciło się pięciu czy sześciu milicjantów. Dwóch czy trzech rozmawiało przez komórkę. Byli w tych śmiesznych niebieskich koszulach - takich z taśmą elastyczną, naciągniętych na brzuch, z pistoletem objijającym się o udo - które moskiewscy milicjanci noszą latem. Wyglądali jak goście na leniwym rosyjskim pikniku. Pałac papierosa, na masce siedział nastoletni detektyw, któremu nie chciałem dać łapówki, gdy kilka miesięcy wcześniej próbowałem, choć niezbyt usilnie,

pomóc Olegowi Nikołajewiczowi znaleźć jego nieszczęsnego przyjaciela.

- Cześć - powiedziałem.
- Cześć, Angliku - odparł.

Chyba ucieszył się na mój widok. Był w czarnych dzinsach, lnianej marynarce i ciemnym podkoszulku z kuflem guinnessa na piersi.

- Wiecie już, kto to zrobił? - spytałem.

Roześmiał się. Na twarzy przybyło mu pryszczki.

- Jeszcze nie. Może jutro.
- Dlaczego go tu zostawili?

- Nie wiem. Pewnie chcieli go przewieźć i ktoś ich wystraszył. Albo uznali, że wożenie starszka w bagażniku jest zbyt niebezpieczne. Może chcieli wrócić tu później, ale nie wrócili. Wygląda na to, że trochę już tu leży. Może od zeszłego roku.

Przypomniało mi się, jak Steve Walsh opowiadał mi o metodzie zabójca-amator - zabójca-zawodowiec. Spytałem, czy mogło tak być z Konstantinem Andriejewiczem.

Detektyw myślał przez chwilę.

- Możliwe - odparł. - To amatorszczyzna. Załatwili go młotkiem albo cegłą. Chcesz zobaczyć?
- Nie, dzięki.

Odszedłem na bok, pod cmentarny płot. W błocie próbowała przeżyć żółta trawa. Zadzwoiłem do Steve'a.

- On nie żyje - zacząłem.
- Spóźnisz się? Myślałem, że pójdziemy potem do Alflego. - Alfie's Boarhouse to spelunka niedaleko zoo, gdzie rosyjskie dziewczęta udające prostytutki i prostytutki udające zwyczajne dziewczęta tańczyły na stołach dla pożerających je wzrokiem zagraniczników w średnim wieku. Zawsze lubiłem tę knajpę.

- Konstantin Adriejewicz, przyjaciel mojego sąsiada. Nie żyje.

Opowiedziałem mu o stopie i młotku (albo cegle).

- Mówiłem, że nie żyje - odparł. I dodał: - Pewnie poszło o mieszkanie.

- O co?

- O jego mieszkanie. Ma mieszkanie?

- Tak. Ma. Miał.

- No widzisz. Mówię ci, o to poszło. Najczęściej robią to przez wodę albo przez babę, ale nie licząc tego, zawsze chodzi o mieszkanie. Ktoś rozwalił go przez mieszkanie.

W latach dziewięćdziesiątych tego typu przestępstwa były jeszcze brutalniejsze, tłumaczył mi z nostalgią, z jaką moskiewscy weterani wspominają tę piękną dekadę kradzieży i rozpusty. Po upadku komunizmu władze Moskwy rozdały za bezcen większość mieszkań tym, którzy już w nich mieszkali. Natychmiast rozpoczęły się przekręty. Bywało, że oszust żenił się z właścicielką tego czy innego mieszkania, ściągał do miasta jej kuzynów albo braci z Rostowa czy skądś tam i pozbywał się ich, żeby zostać jedynym spadkobiercą. Albo torturował tych biednych sukinsynów dopóty, dopóki nie zrzekli się roszczeń, a potem rozpuszczał ich w kwasie albo wrzucał do rzeki.

- Ale ponieważ od tamtego czasu - mówił - Rosja się ucywilizowała, opracowali czystsza metodę. Znajdują jakiegoś samotnego staruszka, dają mu w łeb i przekupują sędziego, by poświadczył, że są jego prawowitymi spadkobiercami. I po wszystkim, mieszkanie należy do nich.

- I nie trzeba do tego trupa? - spytałem. - Dowodu, że facet nie żyje? Nikt by go nie szukał?

- Jezu, Nick, myślałem, że jesteś prawnikiem. Nie, nie trzeba żadnego trupa. W Rosji jest tak, że jak znikniesz na pięć lat, to nie żyjesz. *Finito*. Ale, i to jest najpiękniejsze, zaprzyjaźniony sąd może uznać cię za zmarłego już pół roku po zniknięciu. Zgłaszający musi tylko udowodnić, że tuż przedtem widziano cię w niebezpiecznej sytuacji. Co nie jest trudne. Mogłeś na przykład łowić ryby na łodzie. Pływać po pijanemu w rzece. Albo zbierać trujące grzyby w lesie. Pół roku: nie żyjesz i mieszkanie jest jego. Kiedy zaginął ten Konstantin jak mu tam?

- Nie wiem - odparłem. - Nie pamiętam. Chyba w październiku. Coś koło tego.

- Wystarczy. Mogli już je sprzedać.

Do tej chwili udawało mi się wmawiać sobie, jeśli w ogóle o tym myślałem, że to nie takie straszne, to, co wraz z Maszą i Katią zrobiłem Tatianie Władimirownej, może nie jest to nic dobrego, może nawet jest to coś złego, ale nie aż tak złego. Nie aż tak. Powinienem był słuchać. Mogłem się domyślić. Może się nawet domyśliłem i jakby nigdy nic ciągnąłem wszystko dalej. Ale kiedy Konstantin Andriejewicz wystawił nogę z bagażnika i kiedy Steve przedstawił mi zarys historii oszustw mieszkaniowych, nie mogłem dłużej udawać, że nic nie rozumiem.

- Ale żeby przekupić sędziego - powiedziałem - musieliby mieć pieniądze, tak? Pieniądze i znajomości. A jeśli ich nie mają? Ci oszuści. Jeśli to drobne płotki, przyjezdni, ot, dwóch młodzików?

- Są inne sposoby - odrzekł Steve. - Musieliby dorwać jakiegoś naiwniaka, najlepiej takiego bez krewnych. Trzeba do tego trochę cierpliwości i pomysłowości, ale to jak najbardziej wykonalne. Jest pełno takich przypadków. To moskiewskie przestępstwo doskonałe. Prywatyzacja plus wysokie ceny mieszkań

plus brak skrupułów równa się morderstwo. Ale skąd wiesz, że to plotki?

- Nie wiem - odparłem, szybko się wycofując. - I po kilku sekundach dodałem: - Był w samochodzie. Na mojej ulicy. Pod śniegiem. To znaczy, samochód był pod śniegiem. Leżał tam chyba przez całą zimę. W tym śniegu.

- Przebiśnieg - powiedział Steve. - Twój znajomy to przebiśnieg.

Tak ich nazywają, mówił, tak nazywają zwłoki pochowane lub ukryte zimą, wynurzające się spod śniegu w czasie roztopów. To głównie pijacy i bezdomni, ale czasem trafia się i zaginiona ofiara morderstwa. Przebiśniegi.

- Tak, jak ci mówiłem, Nicky: kiedy nadejdzie koniec świata, na pewno nadejdzie z Rosji. To jak? Idziesz do Alfiego?

Rozłączyłem się i wróciłem do Olega Nikolajewicza. Stał już prosto, ale wciąż nieruchomo.

- Olegu Nikolajewiczu - powiedziałem. - Bardzo mi przykro. Bardzo, bardzo przykro.

- Bóg jest w niebie - odparł, patrząc na stopę. - A car daleko.

Mógłbym powiedzieć, że to sumienie mi kazało. Chciałbym tak powiedzieć. Może było to sumienie, ale też ciekawość i coś jeszcze, coś ohydniejszego, swego rodzaju podziw dla moich własnych dokonań, daleki kuzyn dumy. Chciałbym również powiedzieć, że zrobiłem to natychmiast, jeszcze tego samego wieczoru, wieczoru stopy. Tymczasem prawda jest taka, że nie było to ani tego dnia, ani nazajutrz. Ale pojechałem tam w miarę szybko, chyba w ciągu tygodnia: w ciągu tygodnia pojechałem poszukać Tatiany Władimirawnej. Chociaż wcale nie byłem pewien, czy ją znajdę.

Z Maszą i Katią nie rozmawiałem, odkąd poszliśmy do banku przeliczyć pieniądze i podpisać umowę. Tego się właśnie nie spodziewałem, tego nagłego końca. Dzwoniłem do Maszy wiele razy, ale w słuchawce rozbrzmiewał ciągle rosyjski sygnał zespane telefonu - trzy ostre dźwięki, z których pierwszy był tak wysoki, że mógłby roztrzaskać szkło albo przyprawić o obłąd psa, a następne jeszcze wyższe - i zniechęcająca wiadomość sieciowa, że jej komórka jest wyłączona albo poza zasięgiem. Zadzwoiłem jeszcze raz, kiedy zacząłem myśleć o Tatianie Władimirownej. W końcu poszedłem do domu nad stawem i nacisnąłem guzik domofonu.

Naciskałem go i naciskałem, stojąc na cienistym dziedzińcu w piękną, ciepłą sobotę. Kiedy z kamienicy wyszła jakaś Japonka, uśmiechnąłem się do niej, wszedłem do środka i wbiegłem na górę. Zapukałem do drzwi, najpierw cicho, jakby spała za nimi dziecko albo jakbym w ogóle nie chciał, żeby ktoś mi otworzył. Potem pukałem coraz głośniej i głośniej, szybciej i szybciej, jak KGB w pracowitą noc. Ale nikt na to nie zareagował, nie licząc grubego blond babsztyla w szlafroku i lokówkach, który, stoczywszy się po schodach z wyższego piętra, oparł się o poręcz i gapił na mnie, dopóki nie odszedłem.

Przystanąłem na ścieżce nad stawem. Była już spalona słońcem i pokryta kurzem, białawym pyłem, który wzbijał się w powietrze obłoczkami, osiadał na spodniach i smakował jak kreda. Poszedłem do metra i pchnąłem ciężkie szklane drzwi, które zawsze wracają, grzmocąc pasażerów tak, jak ich grzmoci ich historia. Przestałem już przytrzymywać je dla tych, którzy szli za mną, po prostu puszczałem bez patrzenia, nie okazując nikomu łaski w tym mieście gladiatorów.

Pojechałem do Butowa: Tatiana Władimirowna mogła się



w tym czasie przeprowadzić, przynajmniej teoretycznie. Tym razem zatrzymałem przed stacją taksówkę pogodnie rozgoryczonego Uzbeka, który twierdził, że już wkrótce, już zaraz, mużłmanie powstaną przeciwko Rosji i całemu światu w wielkiej wojnie wojen. Kiedy na skraju miasta skręciliśmy za róg, zobaczyłem, że na końcu drogi wyrosła dżungla drzew i krzewów, które rozpleniły się tam z rosyjską letnią gwałtownością. Widziałem ludzi z dziećmi i butelkami, wchodzących niespiesznie do lasu między starymi drewnianymi chatkami. Zatrzymaliśmy się przed blokiem przy Kazańskiej - przed blokiem Tatiany Władimirownej, Stepana Michajłowicza, MosStrojInvestu albo niczym.

Zadzwoniłem do mieszkania, w którym byliśmy zimą. Nikt mi nie odpowiedział. Nacisnąłem wszystkie numery naraz, potem na chybił trafił. Tym razem sztuczka nie zadziałała. Po chwili zdałem sobie sprawę, że wychodzące z domofonu kable, czerwony i niebieski, zwisają do niczego niepodłączone. Grzmotnąłem pięścią w drzwi. Przeszedłem na drugą stronę drogi i spojrzełem na blok.

W tle świeciło słońce i musiałem zmrzyć oczy, chcąc zobaczyć, czy ktoś tam mieszka. Długo patrzyłem w narożne okno za balkonem na siódmym piętrze, które miało należeć do Tatiany Władimirownej. Nie poruszało się w nim nic żywego. Wydawało mi się tylko, że widzę szafki na tylnej ścianie w kuchni, ale nic więcej. Balkon był nagi. Potem spojrzełem wyżej i zobaczyłem, że nie zamontowano tam jeszcze okien. Na parapecie ślepego oczodołu siedziała tłusta moskiewska wrona.

Ruszyłem w stronę stacji metra. Postanowiłem - co mnie to kosztowało? - spytać kogoś o ten blok. Wiedziałem, że już nigdy tam nie przyjadę. Przemaszerowałem przez wysoką trawę na

podwórzu najbliższej daczy i stanąłem pod drzwiami. Olbrzymiego psa, który spał obok sterty polan, zauważyłem dopiero później. Zapukałem. Otworzył mi starszawy mężczyzna - miał może siedemdziesiąt pięć lat, trudno było powiedzieć - w zimowej kurtce, ale bez butów i skarpetek.

Przeprosiłem go za najście i spytałem, czy wie coś o bloku naprzeciwko.

- Nie - odparł.

- Nic?

Przyglądał mi się przez kilka sekund, próbując pewnie odgadnąć, jakież to oszust przed nim stoi. Miał nabiegłe krwią oczy, trzydniowy zarost na twarzy i tylko kilka zębów.

- Chyba zabrakło im pieniędzy - powiedział.

- Komu?

- Nie wiem. - Wzruszył ramionami. - Szefom. Podobno mają go zburzyć.

- Kto tak mówi?

- Ludzie.

- To znaczy, że nikt tam nie mieszka?

- Nikt. Zresztą nie wiem. Mniej wiesz, lepiej śpisz. - Posłał mi na pocieszenie dziurawy uśmiech i zamknął drzwi.

Miałem jedynie mgliste pojęcie, gdzie mieszkają Masza i Katia, ale odwiedziłem wszystkie inne miejsca, jakie tylko przyszły mi do głowy, albo prawie wszystkie. Gdybyś spytała mnie o to wtedy, pewnie powiedziałbym, że wciąż szukam Tatiany Władimirownej, ale była to tylko część prawdy i, szczerze mówiąc, bynajmniej nie zasadnicza. Chodziło również o moje pieniądze, o dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, ale tym też nie za bardzo się przejmowałem.

Najpierw poszedłem do sklepu z telefonami przy Galerii Trietiakowskiej. Było gorąco i kłębił się tam tłum spoconych klientów wachlujących się ulotkami ze specjalną ofertą. Dziewczyna, z którą rozmawiałem, powiedziała, że jest zajęta, ale że Masza rzuciła pracę. Kierownik odparł, że nie, nie ma jej zamiarów i kazał mi wyjść. Poszedłem do restauracji nad Neglinką, gdzie w sylwestra widziałem kelnerującą Katię. Mają tam mnóstwo dziewczyn o imieniu Katia, żartowali, mogą sobie wybrać, ale ta, której szukam, już u nich nie pracuje.

Po Odessie byłem już pewien, że jej noga nawet nie postąpiła na MGU. Ale poszedłem tam i tak, do tego obłąkanego stalinowskiego gmaszydła na Wzgórzach Worobiowych. Pamiętam, para nowożeńców robiła sobie zdjęcie na esplanadzie, która biegnie przed uniwersytetem, nad miastem, nad rzeką, Kremlem, cerkwiami i całym tym chaosem. Panna młoda wyglądała jak beza na ramiączkach, na pewno dużo mniej skromnie niż ty będziesz wyglądała na naszym ślubie, jeśli po tym wszystkim mnie nie rzucisz. Przyjaciół miała kolorowych jak pawie, a drużba i pozostali mężczyźni byli w ponurych gangsterskich garniturach. Młodzi robili wrażenie wzruszająco skazanych na zgubę. „Gor'ko, gor'ko - gorzko, gorzko” - krzyčili goście w rytualnej zachęce, każąc im objąć się, scałować ze swych ust całą gorycz, aby osłodzić sobie nowe życie. Posągi na fasadzie gmachu, bohaterskich intelektualistów wymachujących książkami, poklepujących globusy albo gapiących się idiotycznie w przyszłość, skojarzyły mi się z tymi na peronie stacji Płuszczad' Rewolucji, gdzie pierwszy raz zobaczyłem Maszę. Ochrońnik przy głównym wejściu nie chciał wpuścić mnie do zielonego holu, chociaż nie wiem, co bym tam robił, nawet gdyby udało mi się wejść. Stałem więc pod drzwiami, pytając

śliczne dziewczyny w krótkich spódniczkach i chłopców w takich dzinsach, czy znają Katię, aż poczułem się jak kretyń, jak poniżająco stary idiota. Kiedy odchodziłem, omal nie przewrócił mnie jakiś rolkarz. W oślepiającym słońcu mrugała do mnie gwiazda ze szczytu głównej wieżycy.

Zadzwoiłem do MosStrojInvestu. Trochę to trwało - chyba stali u progu bankructwa - ale w końcu się dodzwoniłem. Nigdy nie słyszeli o Stiepanie Michajłowiczu ani o Tatianie Władimirownej. Stiepan Michajłowicz musiał mieć pewnie znajomków w firmie albo wśród budowlanców, kogoś, kto pożyczył mu klucze do mieszkania w Butowie. Może właśnie od tego się to wszystko zaczęło, od przynęty. Musieli mieć kogoś jeszcze, paru kumpli, którzy skombinowali lewą dokumentację. Kumpli i mnie, faceta od dokumentacji prawdziwej i od uspokajania Tatiany Władimirownej. Pewnie uznali, że jak dadzą jej pięćdziesiąt tysięcy, wszystko będzie wyglądało prawdziwie.

Jedynym miejscem, gdzie mogłem pojechać, ale nie pojechałem, była dacha należąca jakoby do starca, który pracował kiedyś na kolei, ta z banią wielkości ciasnej szafy i magiczną sypialenką na stryszku, miejsce, gdzie dowiedziałem się, że Masza i Katia nie są siostrami. Nie wiem, chyba była dla mnie zbyt święta, wspomnienie, które chciałem zamrozić w zimowym lodzie, nie brukając go słonym potem i rozczarowaniami lata. Uznałem, że to za dużo. Pomyślisz, że mogłem pójść na policję, że powinienem był pójść. Wiem, że tak myślisz. Ale co bym im powiedział? Bo co się niby stało? Ot, kobieta sprzedała mieszkanie. Zniknęły dwie dziewczyny. Nic się nie stało. Poza tym, nawet jeśli były jakieś machlojki, maczałem w nich palce.

W ciągu tych kilkudniowych poszukiwań raz przez chwilę myślałem, że widzę Tatianę Władimirowną, a może tylko to

sobie wmówiłem. Na Twerskiej, przy placu Czerwonym. Szedłem na nerwowy lunch z Paolem do letniej restauracji na tarasie przed konserwatorium. Wydawało mi się, że pięćdziesiąt metrów dalej widzę na chodniku kręłą sylwetkę kulomiotki, że poznaję ten niepowstrzymany krok - powolny, lecz zdecydowany jak krok żołnierza nacierającej armii - jej obcięte pod garnek włosy. Na chwilę wrosłem w ziemię, a potem puściłem się biegiem. Ale chodnik był zatłoczony, poza tym wokół stoiska z podkoszulkami z podobizną Lenina i z matryoszkami ze Stalinem stał gęsty tłum turystów. Czuję się jak we śnie, wiesz, kiedy się biegnie i biegnie, ale jakby ciągle się stało w miejscu. Zanim dotarłem na róg ulicy, pod gmach Centralnego Telegrafu, straciłem ją z oczu. Zajrzałem za murek u szczytu schodów do przejścia podziemnego. Skręciłem w Twerską i doszedłem aż do sklepu Levisa. Staruszka zniknęła.

Możliwe, że to była ona - nie twierdzę, że nie. To mogła być ona. Całkiem możliwe, że błąka się teraz po Moskwie czy Sankt Petersburgu z pięćdziesięcioma tysiącami dolarów w plastikowej reklamówce i dziecinnym uśmiechem na twarzy. Może na tym poprzestali. Ostatecznie mieli już jej mieszkanie i wiedzieli, że babuszka nigdy go nie odzyska. Dokumenty były w porządku, dzięki Tatarce Oldze. Tatiana Władimirowna nie mogła nic zrobić, nie mogła się nikomu poskarżyć. Może tylko mnie. Wiedziałyby, gdzie mnie szukać, gdyby szukała.

Ale nie szukała i wątpię, żeby tamci chcieli, by zrobiła zamieszanie na chodniku albo zaczęła wydawać pieniądze, które mogły należeć do nich. „Nie ma człowieka, nie ma problemu”, mówi stare rosyjskie powiedzonko, i podejrzewam, że załatwili to tak, by nie było żadnego problemu. Nawet latem, bez śniegu. Nigdy nie dowiem się tego na pewno, ale tak myślę.

Nie wiem nawet, czy ona sama wierzyła w przeprowadzkę do Butowa, bo chyba nie. Chyba nie wierzyła, że pójdzie na grzyby do lasu, że będzie pływała w stawie, że puści swoją zmywarkę do naczyń i popatrzy na kopuły cerkwi z nowego balkonu. Nie jestem pewien, czego się spodziewała, ale myślę, że od samego początku wszyscy wiedzieli więcej ode mnie, od niej, od Maszy i Kati. Utrzymywali to przede mną w tajemnicy, tak jak się ukrywa brudną tajemnicę przed dzieckiem, aż w końcu dłużej się nie da i wszystko wychodzi na jaw. Czasem myślę, że na swój dziwaczny sposób od samego początku był to spisek przeciwko mnie.

A może i nie. A może - a raczej prawdopodobnie, jeśli mam być do końca szczery - to ja spiskowałem sam przeciwko sobie, by ukryć przed sobą prawdę. Prawdę, że przekroczyłem gdzieś pewną granicę, może w restauracji, na tylnym siedzeniu w taksówce, pod Maszą lub na niej czy w windzie na placu Pawelec - kim. Nie wiedzieć kiedy i jak, stałem się kimś, kto mógł się z tym pogodzić, i choć wyczuwał, że coś jest nie tak, jednak to lekceważył. Trzymał twarz i uśmiechał się, dopóki dostawał, co chciał. Nie wiedziałem, że kimś takim mogę się stać ja, dopóki nie przyjechałem do Moskwy. Ale mogłem i się stałem.

Właśnie tego dowiedziałem się podczas moich ostatnich rosyjskich roztopów. I nie była to wcale lekcja o Rosji. Dowiedziałem się, że kiedy kończy się jakiś związek, nie kochanka wtedy poznajesz. Poznajesz siebie samego.

Byłem człowiekiem po drugiej stronie drzwi. Moim przebiegnięciem byłem ja sam.

W końcu, pod presją bankierów i naszych londyńskich szefów, pojechaliśmy z Paolem na daleką północ, żeby samemu sprawdzić, co z tą platformą. Po odprawie w przypominającym rzeźnię terminalu linii krajowych na lotnisku Szeremietiewo wsiedliśmy do samolotu posklejanego taśmą izolacyjną i nadzieją. Pięknie to z góry wyglądało, ten arktyczny krajobraz: sosnowy las wciąż przyprószoney upartym śniegiem, małe spienione strumyczki meandrujące między drzewami i morze, ciemne i spokojne.

Lotniskiem położonym najbliżej platformy był Murmańsk, miasto, gdzie dorastały Masza i Katia. Skojarzyłem to sobie dopiero w podróży. Teraz, patrząc wstecz, to, że tam skończyłem podróż życia, wydaje się właściwe i bolesne zarazem. Ale wtedy cieszyłem się jak podekscytowane dziecko, chociaż było już za późno i bardzo źle. Nie mogłem się doczekać, kiedy zobaczę parki, w których siadywały, chodniki, którymi mogły chodzić, kiedy zobaczę widoki, które im wtedy towarzyszyły. Oczywiście był tam również mój dziadek, kiedyś, w tym piekle na ziemi. Ale chyba nie za często o nim myślałem. Na skraju miasta stał wielki pomnik ofiar wojny, ale go nie widziałem. Nie miałem czasu.

Recepcjonistka powiedziała, że sądząc po adresie, firma Kozaka mieści w starym sowieckim osiedlu mieszkaniowym. Nie daleko diabelskiego młyna obracającego się powoli na wzgórzu nad dokami. Zadzwoniliśmy, ale nikt nie podniósł słuchawki.

Dlatego nazajutrz pojechaliliśmy tam sami, na wybrzeże, do miejsca, skąd - według Wiaczesława Aleksandrowicza - już niedługo miano przepompować pierwszą ropę na tankowiec. Droga urywała się kilkaset metrów od brzegu. Wysiedliśmy z taksówki i poszliśmy wyboistą ścieżką. Było gorąco i roiło się od komarów. Zarzuciliśmy marynarki na ramię i zakleliśmy. Na płaskiej równinie zobaczyliśmy kwadratową dziurę wielkości kortu do squasha, błotnistą, lecz już wyschniętą, taką, w której porywacz mógłby przetrzymywać uprowadzoną kobietę w thrillerze. Ale nie było tam ani rurociągu, ani supertankowca, ani ropy. Nie było nic.

Paolo chwycił za papierosa i wypalił go za jednym sztachnięciem. Staliśmy tam z dziesięć minut, rzucając kurwami, tak to przynajmniej pamiętam. Potem wróciliśmy do hotelu, żeby się urżnąć.

Poszliśmy do baru na najwyższym piętrze, prowadzonego przez dagestańskiego barmana i koreańską burdelmamę. Piliśmy długo i dużo. Latem jest tam jasno przez całą dobę i o trzeciej nad ranem widzieliśmy przez okno dźwigi w dokach, które na tle sentymentalnie różowych chmur wyglądały jak sparaliżowane owady z krążącymi wokół mewami. Wmawialiśmy sobie, że to nie nasza wina. Dokumenty były w porządku. Może daliśmy Kozakowi więcej luzu, niż na to zasługiwał. Może myślałem czasem o niebieskich migdałach. Ale nie byliśmy przecie inżynierami ani prywatnymi detektywami: byliśmy tylko prawnikami. W zasadzie zgodziliśmy się co do tego, że mieliśmy



po prostu pecha, bo daliśmy dupy akurat wtedy, kiedy Kreml zmienił zasady gry, kiedy ktoś z góry uznał, że robienie uczciwych interesów i zgarnianie miesięcznych zysków wymaga za dużo pracy i że łatwiej jest oskubać jakiś bank.

Ale wiedzieliśmy, że przylgnie to do nas na zawsze. Że ja nie zostanę współnikiem, że Paolo wyleci, że nie dostaniemy premii i pewnie pożegnamy się w Moskwę. Że skończyło się życie bez ograniczeń.

- Pieprzone Wyspy Dziewicze - powtarzał Paolo. Na skwerze przed hotelem widziałem obesrany przez ptaki pomnik Lenina. - Pieprzony Kozak. Pieprzona Rosja.

Żrenice zwężyły mu się do złych czarnych kropek. Potem, kiedy o nim myślałem, zastanawiałem się, czy może - tylko może - był w to jakoś zamieszany. Myślałem o tym, jak rozmawiał z Kozakiem, jak się wściekał, myślałem o naszym sylwestrowym spotkaniu w Narodnieftie, kiedy zatwierdziliśmy kredyt, i próbowałem przypomnieć sobie chwile czy znaki, które mogłem przeoczyć. Ale nic się nie zgadzało albo zgadzało się nie do końca.

Piliśmy za nas, potem za Moskwę i za ich szczwanego prezydenta. Na pocieszenie Paolo zabrał do pokoju pulchną współpracownicę koreańskiej burdelmamy. Ja położyłem się i leżałem, patrząc w mleczną arktyczną pustkę. Chciało mi się płakać, ale nie płakałem.

Kilka godzin później - nie wiem, o której, ale wciąż byłem pijany, przygnębiony, jak ktoś, kto nie ma nic więcej do stracenia - wstałem i poszedłem na spacer w kierunku dźwigów. Pomazaną graffiti kładką przeszedłem nad torami i znalazłem się na nabrzeżu załadunkowym. Usłyszałem muzykę i tuż nad wodą zobaczyłem otwartą kafejkę.

Była tam wyłożona płytkami podłoga, lada i jeden człowiek, grubas w fartuchu z mocno wytatuowanymi rekami.

- Dzień dobry - powiedziałem.

- Słucham - odparł.

- Kawę poproszę.

Grubas wsypał do szklanki łyżeczkę neski i wskazał mi termos z gorącą wodą na końcu lady. Zamieszałem kawę i usiadłem. W kafejce pachniało naftą. Złowieszczo buczała antyczna lodówka.

Przypomniało mi się, co Masza mówiła o swoim ojcu. Spytałem:

- To tu stacjonują atomowe lodołamacze?

- Nie - odparł grubas.

- A gdzie?

- Za zatoką. Mają tam oddzielną bazę wojskową. Tajną. - Okręty podwodne też tam są, dodał. To tam przyholowali ten, który zatonął przed kilkoma laty, żeby usunąć z wnętrza spuchnięte ciała tych biednych chłopców. Widziałem, że ma ochotę pogadać, chociaż udaje, że nie ma.

- To tam cumuje „Pietrograd”?

- „Pietrograd”?

- Ten lodołamacz.

- Nie. Nie ma takiego.

- Jest. Na pewno. To znaczy, chyba... A może kiedyś był, ale już nie pływa?

- Nie - oparł grubas. - Nie ma takiego lodołamacza. Przepracowałem w bazie dwadzieścia pięć lat. Byłem mechanikiem. Nie ma tu żadnego „Pietrograda”.

Objąłem dłońmi szklankę. Trzęsły mi się ręce. Przypomniało mi się coś jeszcze, kolejny szczegół z dzieciństwa Maszy i Kati.

- A ten młyn - spytałem - to wielkie koło. - Wskazałem przez ramię w kierunku wzgórza. - W latach osiemdziesiątych był drogi? Nie za drogi dla dzieci?

- Wtedy go tu nie było - odparł barman. - Postawili go dopiero w dziewięćdziesiątych, jakieś dziesięć lat temu. To była ostatnia rzecz, jaką podarował nam Związek Radziecki. Dobrze to pamiętam, bo się wtedy ożeniłem, tego samego roku. Podpisaliśmy papiery i poszliśmy pojeździć na diabelskim młynie. - Wbił wzrok w podłogę może z nostalgią, może z żalem, trudno było powiedzieć. - Bilet kosztował dwadzieścia kopiejek - dodał. - Ale w latach osiemdziesiątych go tu nie było.

Narodnieft wyparł się całej odpowiedzialności za szwindel Kozaka. Zwrócili nam uwagę, że po ukończeniu budowy mieli tylko dostarczać ropę i regulować opłaty, nic więcej. Ich wejście na giełdę uległo opóźnieniu. Przeróżni ministrowie, do których pisaliśmy, kazali nam się odwalić, tylko mniej grzecznie. Wiaczesław Aleksandrowicz, nasz kontroler, już się nie odezwał. Musieli przekabacić go na swoją stronę i zrobili to prawdopodobnie już wtedy, kiedy pierwszy raz zniknął, a potem pojawił się z fałszywym raportem. Nie wiem jak, może groźbami, może pieniędzmi czy kobietami, może wszystkim naraz. Nie dziwię mu się. Dla naszej firmy jedynym pocieszeniem było to, że arktyczne fiasko z Kozakiem szybko przyćmiły wydarzenia jeszcze gorsze: wielkie wywłaszczenia w Moskwie, czołgi na Kaukazie, strach i urazy, które przez plac Czerwony rozchodziły się z Kremla na cały ten nikiemny, zapierający dech w piersi rosyjski kontynent. „Wall Street Journal” i „Financial Times” poświęciły nam kilka akapitów, dochrapaliśmy się również zaszczytnej wzmianki w artykule Steve'a Walsh'a o naiwnych bankierach na dzikim wschodzie.

Zaraz potem Rosjanie i Amerykanie znowu zaczęli się kłócić, Kreml przesunął wybory i większość obcokrajowców ruszyła na lotnisko. Ale myślę, że Paolo by został, gdyby firma nie wysłała go na pacyfikację bankierów. Podobno przenieśli go do Rio.

Zamiast mnie wyrzucić, wezwano mnie do Londynu i, jak wiesz, skierowano do pracy w wydziale korporacyjnym centrali, bym z należytą sumiennością przesiadywał w podziemiach sprzedawanych czy kupowanych firm, wertując papiery i pod żadnym, ale to żadnym pozorem nie rozmawiając z klientami; to tak, jakbym był detektywem i jakby wysłano mnie z powrotem na ulicę. Z powrotem do życia, jakie teraz wiodę. Do starych uniwersyteckich przyjaźni, pełnych skrępowania i podtrzymywanych z obowiązku, do pracy, która mnie dobija. Do ciebie.

Myślę, że gdybym wciąż miał Maszę, mógłbym po prostu odejść z firmy i zostać w Moskwie, może nawet spróbowałbym znaleźć pracę u jakiegoś dobrze zapowiadającego się magnata stalowego czy aluminiowego barona. Wiedziałem, że mnie nie kocha - nie musiała mnie kochać. Pewnie ciągnąłbym to dalej, pewnie widywałem się z nią parę razy w tygodniu, parę razy w tygodniu zabierał ją do siebie do domu. Wiedząc, że moje inne czy lepsze wydanie nie istnieje, mógłbym być teraz gdzie indziej, pewnie w Moskwie, gdzie zakotwiczyłby mnie bezwład zbliżającego się wieku średniego. I chyba nie przejmowałbym się za bardzo tym, co z jej opowieści było prawdą, a co nie, ani nawet tym, co zrobiła. Bez Tatiany Władimirownej też mógłbym żyć. Pewnie udałoby mi się o niej zapomnieć. Dlatego myślę, że Masza była w sumie lepsza ode mnie. Mając Sieriożę, miała lepszą wymówkę. I przynajmniej zachowywała się tak, jakby zrobiła coś złego. Nie wiem, kto tym wszystkim kierował, ale mam nadzieję, że dostała porządną działkę.

Kilka dni przed wyjazdem z Rosji poszedłem znowu do starego mieszkania Tatiany Władimirownej. Ostatni raz i szczerze mówiąc, bardziej z nostalgii niż z pobudek moralnych czy szlachetnych. Na chybił trafił nacisnąłem kilka guzików na domofonie i ktoś mnie wpuścił. Wszedłem na górę. Drzwi były wyłożone rdzawoczerwoną skórą, a w lewym górnym rogu zainstalowano przyprawiającą o gęsią skórę kamerę, która śledziła każdy mój krok, jakby miała mnie zaraz rozłupać na pół laserem. Zadzwoiłem, usłyszałem kroki, poczułem, że przez judasza przygląda mi się czyjeś oko, potem szczęknęły trzy czy cztery zamki i trzasnęła zasuwa.

Był w jedwabnym kimonie i miał na twarzy zieloną maseczkę, dlatego w pierwszej chwili go nie poznałem.

- Przepraszam - powiedziałem niepewnie, próbując go sobie skojarzyć. Wiedziałem, że go znam, nie pamiętałem tylko skąd. Może z pracy, myślałem, albo z jakiejś imprezy, może z ambasady, gdzie byłem tylko raz, na przyjęciu z okazji urodzin królowej.

- Tak?

- Przepraszam...

Staliśmy tam, obydwaj czekając, aż dokończę zdanie i widziałem, jak znużenie walczy na jego twarzy z lekkim niepokojem. I wtedy go sobie przypomniałem. Był to ten Rosjanin w eleganckim zamszowym palcie, który wychodził z mieszkania Tatiany Władimirownej, gdy przyszedłem do niej przed kilkoma miesiącami. Wciąż miał nienagannie uczesane włosy. Zerknąwszy ponad jego jedwabnym ramieniem, zobaczyłem, że syberyjskiego żyrandola już nie ma i że ściany przemaalowano na zielono. Był za to nieśmiertelny parkiet. Gdzieś w głębi szumiała woda z kranu i grało radio. Pomyślałem: sprzedali je, zanim je od niej wycyganili.

- Nie wie pan przypadkiem, gdzie jest ta starsza pani, która tu kiedyś mieszkała? Gdzie jest Tatiana Władimirowna?

- Nie - odparł. - Nie wiem. Niestety.

Uśmiechnął się i powoli zamknął drzwi.

Wyszedłem na ulicę i przystanąłem nad stawem. Pomyślałem, że jeszcze raz, po raz ostatni zadzwonię do Maszy. Tym razem w słuchawce pipczało i pipczało, ale automatyczna wiadomość, że telefon jest zepsuty, się nie włączała. Popipczało jeszcze trochę i wreszcie odebrała.

- *Allol* - Tym niecierpliwym rosyjskim głosem z cyklu czas to pieniądz. - *Alloi*

- Katia?

Zamilkła. Po drugiej stronie stawu, w pobliżu budynku z czarodziejskimi zwierzętami, ktoś roztrzaskał butelkę. Pewnie zostało im kilka impulsów na karcie i nie chciały ich zmarnować. Może doszły do wniosku, że ja czy ktokolwiek inny, kogo próbowały zgubić i z kim nie chciały rozmawiać, zrezygnował już z wydzwaniania i mogą spokojnie włączyć komórkę.

- Mówi Kola.

Cisza. A potem:

- *Da*, Kola.

- Jak się masz?

- Normalnie.

- Mogę rozmawiać z Maszą?

- Nie, Kola. To niemożliwe. Masza wyjechała.

- Do Sierioży? - spytałem nieswoim głosem. - Pojechała do Sierioży?

- *Da*, do Sierioży.

Nie przemyślałem dobrze tego, co chciałem powiedzieć, co chciałem z siebie wyrzucić. Czuję, że Katia zaraz się rozłączy.

Wróciłem do samego początku.

- Dlaczego ja, Katiu? Dlaczego wybrałyście akurat mnie?

Znowu zamilkła, pewnie zastanawiając się, czy prawda może jej zaszkodzić. Chyba uznała, że nie, że nic nie mogę im zrobić.

- Za długo na nas patrzyłeś - odparła. - W metrze. Zobaczyliśmy, że jesteś łatwy. Miałyśmy inne możliwości. Ale potem powiedziałeś, że jesteś prawnikiem. To było dla nas bardzo interesujące, bardzo przydatne. I że jesteś obcokrajowcem, to też. Ale to mógł być zupełnie ktoś inny. Szukałyśmy tylko kogoś, komu mogłaby zaufać.

- I to wszystko? To znaczy, dla Maszy. Tylko tyle. Byłem przydatny.

- Może nie wszystko, Kola. Może nie. Nie wiem. Proszę. - Wciąż miała ten sam głos, ni to dziecięcy, ni dorosły, ale bardzo zmęczony. - To był interes - dodała. - Tylko interes.

- Dlaczego i pieniądze? - spytałem. - Dlaczego wzięłyście moje pieniądze?

- A dlaczego nie?

Pamiętam, że wcale nie byłem tak wściekły, jak chciałem.

- Kiedy spotkałem cię w tej uzbeckiej restauracji, wtedy, zimą, dlaczego nie chciałaś, żebym powiedział o tym Maszy?

- Bałam się, że będzie zła. Że pomyśli, że coś zauważyłeś. Dla mnie to niedobrze, kiedy Masza jest zła.

- Naprawdę jesteście kuzynkami? Powiedz. Naprawdę jesteście z Murmańska? Kim jest Stiepan Michajłowicz?

- To nieważne.

Pozostało mi tylko jedno pytanie.

- Gdzie ona jest? Gdzie jest Tatiana Władimirowna?

Katia przerwała połączenie.

Ostatniego popołudnia przed wyjazdem z Rosji, ostatniego dnia z czterech i pół roku, czasu, który ciągnął się jak całe życie, poszedłem na plac Czerwony. Minąłem bulwar, letnie kafejki, namioty z piwem i znalazłem się na placu Puszkina. Skręciłem w Twerską, do przejścia podziemnego pod tą zwarioną sześciopasmówką. Od strony salonu Ferrari i pomnika Marksa szedł tłumek zatwardziałyich komunistów z groźnie zmarszczonymi brwiami i wystrzępionymi flagami z sierpem i młotem. Czekają na nich trzystu milicjantów z przewencji - większość siedziała w autobusach, którymi zwykle jeżdżą, kilku stało na zewnątrz, paląc papierosy i postukując pałkami o tarcze. Grupka chińskich biznesmenów robiła sobie zdjęcie z facetem udającym Lenina.

Przeszedłem przez bramę. Przedemną, nad wyłożonym kostką placem, strzelały w niebo bajkowe kopuły cerkwi Wasyla Błogosławionego. Wysoko nad azteckim mauzoleum krwawo błyszcząły w słońcu gigantyczne gwiazdy na kremlowskich wieżach. Był środek lata, mimo to czuło się, że na drugim brzegu rzeki siły zbiera szykująca się do powrotu zima. Miało się wrażenie, że w ciepłe kielkują już zalążki zimna. Stałem na środku placu, smakując powietrze i miasto, aż jakiś policjant kazał mi iść dalej.

Pytałaś, dlaczego nigdy nie rozmawiam z tobą o Rosji. Częściowo dlatego, że było to tak daleko i tak dawno temu. Moje stare życie bez trzymanki, zbyt trudne do opisanego, zbyt osobiste. Pewnie jest tak ze wszystkimi. Twojego życia nie przeżyje nikt oprócz ciebie, bez względu na to, czy mieszkasz w Chiswick czy w Gomerze, i próby ujmowania go w słowa mają niewielki sens. Częściowo też dlatego, że ponieważ tamto życie się skończyło, uznałem, że będzie lepiej, jeśli pozwolę mu umrzeć. Aż



do tej pory nie sądziłem, że mogę ci o tym opowiedzieć, dlatego milczałem.

Ale milczałem nie tylko z tego powodu. Ponieważ jestem, a raczej próbuję być z tobą szczery, ponieważ mówię ci prawie wszystko, powinienem ci również zdradzić inny powód, być może główny. Co z tym zrobisz, zależy tylko od ciebie.

Tak, oczywiście, kiedy o tym myślę, mam wyrzuty sumienia, trochę mam. Ale najbardziej ciąży mi poczucie straty. Właśnie to najbardziej boli. Brakuje mi toastów i śniegu. Brakuje mi go-nitwy neonów na bulwarze w środku nocy. Tęsknię za Maszą. Tęsknię za Moskwą.